1068.

Feliciyan Gawrońska

1068

Złoto i Błoto.

Felicya Gawrońska
Szczawnica.

W BIBLIOTECE POWIEŚCI
podróży, pamiętników i opowiadań historycznych
wyszły następujące dzieła:

Feuillet, **Hr. de Camors.** — Caballero, **Klemencja,** p. hiszp. — Dickens, **Klub Pickwicka.** — Berthoud, **Poświęcenie kobiety.** — Hohol, **Pomniejsze powieści.** — Pablo de los Rios, **Dygnitarze.** — W. Collins, **O zmroku.** — K. Gocransons, **Synowie Barona.** — J. I. Kraszewski, **Na cmentarzu na Wulkanie.** — W. Bersezio, **Rina,** romans włoski. — K. Enault, **Przeznaczenie.** — Gryzoń, **Wojewodzic.** — K. Reade, **Kto chce kochać, cierpieć musi.** — K. Pieńkowski, **Powieści.** — T. Szumski, **Zmierzchy i świty.** — F. J. Smith, **Boleść i Radość.** — P. Wilkońska, **Na dwóch krańcach.** — C. Reade i D. Boucicault, **Skazaniec.** — W. Collins, **Panna czy Pani?** — C. F. Ridderstadt, **Czarna ręka.** — J. Tretiak, **Pamiętniki Daniela.** — J. Carcano, **Angiola Maria.** — Z. M. Schwartz, **Namiętności.** — J. F. Smith. **Straszna gospoda.** — L. Wilkońska, **Powołanie.** — F. Carlen, **Rok zamężcia.** — L. Bulwer, **Rienzi.** Ostatni trybun rzymski. — F. Hacklaender, **Burzyk.** Powieść z nad jeziora. — H. Conscience, **Talizman.** — Schwartz, **Dwie Matki.** — F. Carlen, **Kapryśna kobieta.** — Schwartz, **Wdowa i jej dzieci.** — K. S. Bodzantowicz, **Powieści pomniejsze.** F. Carlen, **Bracia mleczni.** — Yonge, **Dziedzic z Redclyffe.** — Dr. Antoni J. **Opowiadania historyczne.** — F. Gerstäcker, **Regulatorzy z Arkanzas.** — Sędzimir, **Księżniczka z gminu.** — W. Ainsworth, **Crichton.** — F. Wetherell, **Szeroki świat.** — M. Jokaj, **Złoty człowiek.** — Schwartz, **Przyszłość Gertrudy.** — Dr. G. Ebers, **Córka króla egipskiego.** — F. Carlen, **Róża z Tistelenu.** — H. Stanley, **Jak odszukałem Livingstona.** — M. Jokaj, **Moje, Twoje, Jego.** — **Pamiętniki — Paska.** J. N. Niemcewicz, **Jan z Tenczyna.** — Schwartz, **Pan z rodu i kobieta z gminu.** 3 tomy. — J. Scher, **Charaktery osób historycznych.** — H. James, **Amerykanin.** — Schwartz, **„Korsykanka" „Dwaj bracia".** — A. Wilczyński, **Kłopoty starego komendanta.** 3 tomy. — A. Bronikowski, **Powieści historyczne: Kazimierz Wielki i Esterka,** Moina. — Maremné, **Błękitna książeczka.** — Dr. Antoni J., **Gawędy z przeszłości** 2 tomy. — A. B. Edwards, **Tysiąc mil na falach Nilu.** 2 tomy. — W. Przyborowski, **Rubin Wezyrski.** — **Księżniczka z Minstenborga,** powieść hist. z XIV. wieku. — F. Brackel, **„Nora".** — L. Kubala, **Szkice historyczne** serya I. II. wyd. II. — Schwartz, **Bratowe.** — M. Jokaj, **Nowy Dziedzic,** 2 tomy. — Sawicki, **Podróże.** — J. I. Kraszewski, **Pan z Panów.** — Wybicki, **Pamiętniki.** — B. Sas, **Mozajka.** 2 tomy. — Jan Zacharjasiewicz, **Teorya pana Filipa.** — Schwartz, **Przygody mojego życia.** — S. Wiśniowski, **Powieści.** — Kitowicz X. **Pamiętniki.** 3 tomy. — O Feuillet, **Historya Paryżanki.** — M. Jokaj, **Serce kamienne,** 3 tomy. — Kitowicz X., **Opis obyczajów i zwyczajów,** 2 tomy. — **Listy Jana III. króla polskiego** do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń r. 1683. — Schwartz, **Ofiara zemsty.** — A. Bronikowski, **Jan III. Sobieski i dwór jego,** 2 tomy. — Jan Zacharjasiewicz, **Jedna krew.** — **Pomyłka serca.** — K. Bodzantowicz, **Rodzina Konfederatów,** 2 tomy. — Schwartz, **Na rozstajnych drogach.** — Wł. Tarnowski, **Archiwum Wróblewiecki.** — A. Wilczyński, **Opiekunowie wdowca.** — J. F. Coopera, **Ostatni Mohikanin,** 2 tomy. — Tatomir L., **Ferye alpejskie.** — Kraszewski J. I., **Złoto i Błoto,** powieść 3 tomy.

ZŁOTO i BŁOTO

Powieść współczesna

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK W SZCZAWNICY Willa pod KRASZEWSKIM

Tom II.

Felicya Gawrońska
Szczawnica.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.
1884.

Biblioteka J. I. Kraszewskiego ROMANÓW
MU /M/ 6295

Drukiem Kornella Pillera.

W pięknej kamienicy na Nowym Swiecie, świeżo z wielkim zbytkiem odnowionej i przyozdobionej tak, że na pałacyk wyglądała, krzątano się niezmiernie od rana, jak gdyby tegoż dnia spodziewano się w niej gości... Przechodzący ulicą, którzy dawniej ten dom opuszczony nieco znali, wydziwić się nie mogli szybkości, z jaką zupełnie powierzchowność swą zmienił i nagle wyszedł na takiego eleganta. Architekt, który się podjął tej metamorfozy, miał snadź *carte blanche* od właściciela, i wcale kieszeni jego nie szczędził, a o swojej nie zapominał też zapewne. Wszystko było z wielkim wykonane smakiem, ale z uderzającym zbyt może przepychem, który trącił chętką popisu... Brakło prostoty tej odrodzonej budowie, tak, jak jej brak niemal wszystkim naszego wieku...

Dowód to może, iż prawdziwej piękności mało mamy poczucia, gdy ją bogactwem szczegółów zastępować musimy.

Od dachu do ziemi, wszystko tu bardzo starannie obmyślane było, aby pokryć trywialną niegdyś fizyognomię kamienicy i uczynić ją wytworną budową.

Do okien poprzyczepiano kamienne balkony, u wjazdu postawiono cztery przepyszne karyatydy uginające się pod ciężarem portyku... Między oknami powykowywano nisze i poumieszczano w nich posągi, gzemsy płaskie zyskały wydatne profile... Gdziekolwiek było miejsce na maskaron, girlandę, na orna-

mentacyę, umieszczono je wszędzie. Co większa, w wykonaniu tych ozdób czuć było, że nie zostały pochwycone z tego ogólnego zasobu *des lieux communs*, którym się najczęściej bezmyślnie posługują architekci, ale zastosowane były, wymyślone do tego gmachu... Śliczne posążki w niszach wystawiały cztery pory roku, po nad frontem rzeźbiona grupa allegoryczna w inny sposób ten sam motyw ujęła czterema wiekami człowieka...

Przedewszystkiem jednak czuć tu było wiosnę i wesele młodości...

W wieńcach plączących się między gzemsami, kwiatów było więcej niż owoców, nawet cztery karyatydy śmiały się kształtami ledwie rozwitemi, jakby im lekko było dźwigać kamienie na ramionach młodości... Tu i owdzie wyrastał z kamienia dzieciak, z figlarną minką i pucołowatą twarzyczką... Dom zdawał się przeznaczony jak te pudełka, które robią na klejnoty, do przechowywania szczęścia, do strzeżenia młodzieńczych uciech, aby ich niezwarzyło tchnienie burzy.

Marmury i kamienie użyte do przyobleczenia frontu wszystkie były barw wesołych, powietrznych, w piękną harmonię zlewających się z sobą. Z za okien jednotaflowych z dala już widać było bogate opony i wzorzyste firanki... Wszystko co komfort XIX wieku dać może, złożyło się na uwydatnienie tego cacka, obudzającego zazdrość w przechodzących...

Począwszy od wjazdu zasklepionego, którego posadzka była z wielkich płyt marmuru szarego, a dokoła w nim podobne do zewnętrznych, tylko odprostowane karyatydy trzymały świeczniki bronzowe — wszystko tu z niezmiernym przepychem jaśniało. Tuż w prawo za oszkloną ścianą otwierały się majestatyczne wschody, szerokie, białym wyłożone marmurem, o białych takichże poręczach, które ciemnoczerwony aksamit okrywał, aby rączka spocząć na nich mająca, nie poczuła chłodu kamienia. Srodkiem biegł wzorzysty dywan strzyżony, po którym szło się jak po ukwieconym trawniku. Z obu stron ustawione majolikowe wazony rozkwitłych krzewów, uroczo się malowały na ścianach, a na nich dwa u góry marmurowe posągi, występowały jak niegdyś w poświęconych Grecyi gajach... Był to chłopak i dziewczę, które witać się zdały gości i nieść im dary kwiatów i owoców...

Tuż dwa znowu kandelabry, podtrzymywały grupy, piękne jakby je wyrzeźbił Brodzki... Wspinały się na nich genjuszki, niby walcząc z sobą, kto do góry podniesiony świecznik uchwyci. Artysta związał nagich chłopaków, splątał im ciałka, rączki, nożęta tak misternie, tak wdzięcznie, iż kupka cała liniami ogólnemi zachwycała... Wśród nich wiła się latorośl winna z liśćmi i gronami, przerywając pozaokrąglane kształty, fantastycznemi wyrzynaniami swych zwojów...

Drzwi, które widać były u góry, służące do wnijścia głównego, same też były dziełem sztuki. Okrywała je rzeźba na drzewie misterna w splotach liści, wśród których znowu wracały chłopaki swawolące. Po nad gzemsem bogatym dwoje dzieci oplecione girlandami podtrzymywały herb, złożony z dwóch tarcz...

Promienie wiosennego nad zachodem już słońca, wciskały się przez główne wnijście do wspaniałego zajazdu, gdy – nie wjeżdżając do środka, zatrzymał się przed nim powóz i z niego wysiadł podżyły już, nie młody, lecz żwawy jeszcze mężczyzna.

Natychmiast szwajcar w bogato szytym stroju, z laską pozłocistą dał znak czekającemu w głębi lokajowi, który pobiegł w dziedziniec... Przybywający nie był jak do odwiedzin ubrany, strój miał na sobie powszedni i niewykwintny, lecz nacechowany ręką

biegłego zagranicznego krawca; nie zdawał się przybywać do ludzi, ale do domu, bo od progu zaczął najmniejsze jego oglądać szczegóły z widocznem zadowoleniem...

Szwajcar stał wyprostowany, z laską w ręku przyzwoicie odsadzoną, przybrawszy postać urzędową, zdawał się salutować przybyłego. Był to piękny mężczyzna, wybrany do tej funkcyi strażniczej, która wymaga prezencyi, twarzy nie rażącej i pewnego majestatu, czasem posuniętego aż do komizmu.

Przybyły zaledwie się miał czas rozpatrzyć u wjazdu, gdy od dziedzińca nadszedł witając grzecznie człowiek młody, ubrany ze smakiem i elegancyą.

— Przybywam — odezwał się pierwszy witając go ręki skinieniem — poprzedzając właścicieli, aby obejrzeć pańskie arcydzieło i podziękować mu za nie... Wstrzymywałem się umyślnie z rozpatrywaniem części niedokończonych pałacu, mając zupełną ufność w panu, któryś się podjął oddania nam tego cacka gotowem... Bądźże pan łaskaw mnie prowadzić... Jak dotąd — prawdziwie jestem zachwycony...

— Niestety! ja mniej może jestem rad z własnego dzieła, niż się spodziewałem — odparł młody budowniczy... Pomiędzy pomysłem, rysunkiem, a wykonaniem, zwłaszcza gdy wiele jego części daleko zamawiać należy i sprowadzać — jest zawsze nieprzewidziana różnica...

Ton jakiś razi... kształt się niespodzianie uwydatnił, wyszło to co winno było znikać, znikło co powinno było wychodzić... Ludzkich to dzieł losy... Gdyby marzeniem i tchnieniem tworzyć można było — inaczejby wyglądały dzieła człowieka... Gdyby jedna inteligencya i ręka mogła wykuć wszystko razem...

— A! a! przerwał przybyły — chodźmy... nie odbieraj mi pan złudzeń.

— Ja księcia z góry uprzedzam, że nie jestem zupełnie spokojny, rzekł młodszy — ale zrobiłem com mógł i co było tylko możliwe...

To mówiąc skłonił się pan Monti budowniczy przed księciem Augustulem, i wiódł go przez otwartą ścianę oszkloną na wschody...

Widok wnijścia wprawił niemal w osłupienie księcia, który stanął głowę podnosząc uszczęśliwiony... Z wolna potem poczęli wchodzić na wschody... lokajów dwóch w aksamitnej liberyi granatowej ze srebrem, przodem idąc otwierało podwoje...

Obszerny przedpokój już sam wyglądał na salon prawie. Dębowe ławy rzeźbione w koło, przypominały stalla kościelne, najmniejszy sprzęt był umyślnie do całości dobrany... Drzwi drugie okrywała markieterya na czarnem tle kością słoniową, w stylu odrodzenia wykonana z fantazyą wielką... Snuły się po hebanie zmatowanym, którego gzemsiki tylko lśniły się polorem, gałęzie roślin marzonych, po których wspinały się aniołki, ptaki, chimery, dzikie zwierzęta...

Drzwi te wiodły do wielkiego salonu, jasnego, marmoryzowanego... w którym blado-żółte *giallo antico* żeniło się ze śnieżysto-białym karraryjskim marmurem ozdób... Posadzka odpowiadała robotą drzwiom, ale barwą stosowała się do salonu. Portyery, firanki, meble były blado-niebieskie. Na ścianach dwa olbrzymie zwierciadła, w środku komin tak rzeźbiony jak kandelabry, lecz piękniejszy od nich jeszcze. Artysta, ten sam, który je dłutował, tu puścił cugle fantazyi. Otaczały ognisko dzieciaki, lecz mające do czynienia z tem co do naniecania ognia służy... Niektóre z nich miały na sobie kapturki i odzieże, z pod których rączki i nóżki wyglądały bose... Tu draperye urozmaicały nagość i uwydatniały ją, podnosiły. Pięknym też motywem

pod ręką biegłego rysownika stały się gałęzie suche, jodła, sosna, mchy i poczepiane na nich rośliny zimą zwarzone... Gromadka tych pomarzłych chłopiąt tak się zdawała zajęta koło ognia, tak zaglądała, dmuchała iż straszno było, aby się to nie zapaliło...

Na kominie stojący zegar ogromny nie był nowy, — odzłocono tylko bronz stary z czasów Ludwika XV, któremu dwa świeczniki stosowne odpowiadały i dwie sewrskie wazy olbrzymie...

— Widzi książę, iż salonu nie przeładowaliśmy, a wygląda wspaniale...

— W istocie... aż nadto może! westchnął książę...

— Zegar i świeczniki dosyć drogie trzeba było sprowadzić z Paryża, rzekł budowniczy — nigdzie nic podobnego dostać nie można, a tu znowu nic innego postawić nie wypadało... Byłby to kryminał! Dzisiejsze bronzy to tandeta... Z owych czasów szczęśliwych, kunsztmistrze byli razem rękodzielnikami i kochali się w swem rzemiośle...

Mówiąc przeszli salon, którego część właśnie promień zachodzącego słońca ozłacał i w całym dawał mu jaśnieć blasku. Książę milczał, ale na twarzy jego widać było rozpromienienie takie jak w salonie.

Odsłoniono portyerę, rozsunęły się drzwi kryjące w ścianach, weszli do gabinetu niebieskiego... Meble goblinowe białe w kwiaty żywych barw czyniły go wesołym. Trochę złota, bardzo oszczędnie rozrzuconego, podnosiło barwę ogólną... Dywan biały dobrany deseniem do goblinów zaścielał posadzkę całą... Dwa duże krajobrazy Oskara Achenbacha wystawiające włoskie widoki, wisiały na ścianach, w ramach, których rzeźby byłe godne tego co otaczały...

Za gabinetem niebieskim szedł mniejszy salon, z listwami drewnianemi pozaciąganemi obiciem wyciskanem, skórzanem... Ciemniejszy nieco, surowszego

stylu salon ten był miły i jakby dla poufalszych przeznaczony gości. Drewnianemo obleczenin ścian odpowiadały sprzęty rzeźbione podobnie, także okryte skórą... Tu komin odznaczał się szczególniej piękną barwą marmuru zielonawego i wielką linij swych szerokich prostotą...

— Mój drogi panie — zakrzyknął książę oglądając się do koła... wszystko to cudownie piękne, dobrane kunsztownie, ale też szalenie musiało kosztować...

— Przyznam się księciu — odparł uśmiechając się budowniczy, — że tworząc coś tak artystycznego, zupełnie z pamięci wymazałem wszelkie względy oszczędności. Piękno zdobywa się ofiarami tylko — niestety! — Widzi jednak książę, jak nic nie ma tu świecideł, fałszywych blasków, i szychu... *c'est solide*...

Szli dalej. Trudno nam krok w krok postępować za nimi, abyśmy się nie znużyli wspaniałościami temi...

Sala jadalna z dwoma bufetami zajmującemi całe ściany poprzeczne, odznaczała się także rzeźbami zbytkownemi, wielkiego smaku i wdzięku... Wedle obyczaju krajowego, budowniczy na ścianach zostawił miejsce na cały szereg portretów jeszcze nie wstawionych, których bogate ramy dębowe, wewnątrz złotemi paseczkami określone, czekały na antenatów...

Bardzo wdzięcznie rzucony był u góry balkonik dla muzyki, z marmurowemi balasami, na których rzeźbiarz od niechcenia rozwiesił niby zapomnianą zasłonę... Okrywała ona część zbyt jednostajnej galeryi..,

Nie zbywało ani na oddzielnych appartamentach dla pani, pełnych barw jasnych i wesołych, udrapowanych w koronki i utkanych atłasami, ani na zimowym ogrodzie już pełnym palm i poczepianych na pniach starych fantastycznych orchideach...

Książę jednak najciekawszy był tego mieszkania skromnego na drugiem piętrze, które było dla niego samego przeznaczone...

Pan Monti dobrze o tem wiedział, jak również i o wpływie księcia w tym domu; można się więc było spodziewać, że dołoży starań, aby sybarycie i egoiście dogodzić...

Opatrzywszy całe pierwsze piętro, dla obojga państwa przeznaczone, razem z połączoną z niem częścią parteru, do którego kilkoro wewnętrznych, misternie poczepianych prowadziło schodków, książę nieśmiało i cicho wspomniał o tem przyszłem mieszkaniu, które niekiedy miał zajmować.

— Właśnie idziemy tam — odezwał się Monti, — a książę mi pozwoli nim dojdziemy do niego, wytłómaczyć się z teoryi, na której oparłem urządzenie tego zacisznego kątka... Każdemu dziełu jasna, pewna idea powinna służyć za podstawę... Książę potrzebujesz głównie wygody i spoczynku, ale zarazem wykształcony smak jego wymagać musi, aby to na czem wzrok ma spoczywać, było, że tak powiem — błogo uspakajającem... Tu więc należało się wstrzymać od barw zbyt z sobą się kłócących, od wszystkiego mogącego nazbyt niepokoić oko i uwagę. Z drugiej strony jednostajność w sztuce odbiera jej urok cały, kontrast jest tak samo koniecznością, jak parallelizm, interwalle, — i inne środki wypowiedzenia myśli. Zadanie więc było trudne... Barwy dopełniające musiały tu być użyte w gammie przygłuszonej... linie nawet trzeba było łagodzić...

Książę uśmiechał się, chociaż nie wiadomo czy uważał co mówił Monti, tak niecierpliwy był ujrzeć co mu obiecywano...

Niemal z tym samym zbytkiem wykonane było drugie piętro. I tu posadzki były z marmuru, drzwi rzeźbione i wysadzane, choć nieco skromniej...

W przedpokoju sprzęty były dębowe obite skórą; z niego wchodziło się do dużego salonu, którego ściany okrywały tafle różnego drzewa w ramach smakownie ozdobionych. Na tem tle brunatnem meble koloru krwi odbijały bardzo ładnie.

Było to, jak się książę wyraził — niezmiernie dystyngowane...

Ciężki stół stojący przed kanapą, może niewłaściwie trzymały cztery satyry tańcujące... Czy złośliwy Monti chciał staremu dać co do zrozumienia? wątpimy, ale rzeźba była artystycznie piękna....

Ciemno-zielony pokój sypialny, z trochę złota, bardzo się też podobał księciu; z niego drzwiczki wprost prowadziły do łazienki wyłożonej marmurem różowym. Obejrzawszy wszystko, z czułością począł Augustulus dziękować architektowi i unosić się nad gustem jego... Nie marzył w istocie nawet o niczem podobnem...

Część domu reprezentacyjna, mieszkalna odpowiadała gospodarskiej części jego, także wartej widzenia, bo począwszy od kaloryteru w suterenach, do kuchni eleganckich jak salony, opatrzonych w wodę płynącą i fontanny, do stajen wykładanych marmurem i fajansem, wszystko było pańskie i prześliczne.

Skromny pan Monti, gdy skończyli przegląd pałacu i mieli wchodzić do znajdującego się za nim małego ogródka — odezwał się na pochwały księcia odpowiadając:

— Mogłoby się to było, we Włoszech, we Francyi, w Anglii zrobić nierównie łatwiej i wspanialej. Tam już kunszt życia, skala wygód, pojęcia piękna w budowach i sprzętach daleko wyżej są wyrobione niż u nas. Myśmy wtem nowicyusze... w Polsce dopiero po wojnach szwedzkich, co kraj ogołociły z przepychu Kazanowskich i Ossolińskich — zaczęto za Sta-

nisława Augusta biednie się dźwigać, aby z szatrów i ruin dobyć na światło dzienne... Nie było i nie ma rzemieślników. Życie też powszednie tyle wymagało na zjedzenie i wypicie, iż na inne nie stawało potrzeby... Zbytek zamiast w marmur i złoto się obracać, szedł do kuchni i siedział w rondlu... Powoli jednak i my komfort z artyzmem połączony pojmujemy, a raczej pojmować się uczymy..

Żelazne drzwiczki, coś niby w rodzaju bronzowych zdobiących wenecką loggietę — prowadziły do ogródka.

Był niewielki, wzniesiony jak taras, i nie wiele też z niego zrobić było można. Szczęściem starych kilka drzew pozostało w nim, i około nich ugrupowało się to co miało stanowić ogródek...

Musiano się ograniczyć trochą murawy, na której wzorzyste z kwiatów utkano kobierce; a budowniczy, który bodaj miał brata rzeźbiarzem i dla tego tak marmurami szafował, nie żałował tu ozdób tego rodzaju. W pośrodku urządził fontannę — nadzwyczaj bogato i nadto monumentalnie. Trzy syreny zajmowały środek jej, bawiące się z dzieciakiem, którego unosiły nad sobą... Po bokach jeszcze były delfiny i różne stworzenia wodne... Dwa czy trzy posągi oprócz tego rozstawiono w kątach ogródka... Stylem wybornie się on godził z pałacykiem, chociaż książę go znajdował za szczupłym, a przyznawał, że w małym kątku misterniej się urządzić nie było podobna.

Gdy książę zaproszony przez p. Montego do jego mieszkania w oficynie dla spoczynku, udawał się za nim, uszczęśliwiając go odwiedzinami przez wdzięczność za tak wyborne pojęcie myśli i planu swojego — na dole u drzwi pałacu inna się scena odegrywała.,. Do stojącego tu szwajcara, który wypadkiem rodem był z okolic Zamoroczan, i niekiedy

tam swoją familię odwiedzał — (winien był temu swą nominacyę) — zbliżył się człowiek ubrany licho, w długich butach, w czapce wytartej, z kijem w ręku... Miał pozór ubogiego chodzącego po jałmużnie, i szwajcar znający swe obowiązki, ostro mu się postawił u progu, stukając laską, co miało wyręczyć i zastąpić podniesienie głosu...

Przybyły włóczęga z niezmierną ciekawością wpatrywał się w portyk pałacu... nie zważając na szwajcara, a ten z równą ciekawością począł też wlepiać oczy w nieznajomego.., Twarz ta takie na nim uczyniła wrażenie, że laska, którą z razu trzymał wyprostowaną, pochyliła się i na ramię opadła.

— Jak Boga kocham — pan Łukasz! zawołał szwajcar.

Imieniem tem nazwany człowiek zadrżał, i dopiero się teraz począł wpatrywać w twarz rumianą i mocno wyszwarcowane wąsy pseudoszwajcara.

— Chyba pan Marcin Żabka? rzekł przez zęby cedząc.

— Nie Żabka, ale Żabczyński — do usług... Słowo daję. Co pan tu robisz? Dawno z Zamoroczan? począł szwajcar zupełnie udobruchany, tracąc swą sztywną postawę urzędową.

— Z Zamoroczan? powtórzył pan Łukasz... Ja — ja od śmierci nieboszczyka... nogą tam nie byłem...

Ruszał ramionami.

— Cóż pan tu robisz?

Nie odpowiadał długo p. Łukasz...

— Co? at — zwlokłem się — myślałem, że gdzie znajdę przyporzysko, służbę... aby chleba kawałek... Pan wiesz... żołnierz stary jestem...

— A to się pan u Czermińskich nie utrzymał? pytał szwajcar.

— Bom się nie chciał tam trzymać — z wolna począł Łukasz. Zachcieliście! smutno mi było — gdy nie stało starego Czermińskiego, wolałem w świat...

Jaki on był to był, co tam ludzie na niego gadali — a ja go kochałem, dla mnie dobry był...

Kiwnął głową...

— W Warszawsku tem — rzekł z góry patrząc na biedaka szwajcar — o siaką taką służbę trudno, zwłaszcza staremu. Chybaby gdzie za stróża... Nie ujmując panu Łukaszowi, bo to ja przecie na to patrzałem, że mu się lepiej działo — oni tu pozornych ludzi szukają, z prezencyą... Skulony i odarty... u nich kulfona nie wart... A znowu gdzież p. Łukaszowi być stróżem?

Pomyślał zagadnięty.

— Dla czegoż? rzekł: wszystko to lepiej niż pod kościołem siąść i rękę wyciągać... Gdyby kąt ciepły, chleba kawałek, póki ręce służą — zamiatałbym jak i drugi. Honoru nie plami śmiecie...

Westchnął...

Szwajcar się zamyślił mocno, oczy jego od stóp do głowy mierzyły stojącego przed nim... Od czapki wracały do butów, od obówia szły napowrót ku górze...

— Tu u nas, odezwał się — strasznie oni na wielką zakroili paradę. Stróża jeszcze nie mamy, to prawda, ale oni chyba zapotrzebują, żeby w lakierowanych chodził butach... Ja ledwie nieledwie, i to gdy wypróbował ten Włoch bestya, że ubrany wyglądam niczego, dostałem miejsce...

Nie — i taki-bo oni waćpana znają...

Łukasz głową kiwnął:

— Nie myślę ja u nich służby szukać... ale jeślibyś gdzieindziej mi nastręczył...

— Może to być — odparł Żabczyński — postaram się, ręka rękę myje...

Mówili jeszcze z sobą, gdy książę, którego przeprowadzał p. Monti, wyszedł niezmiernie ożywiony, rozmawiając z nim. Łukasz się wnet na bok usunął,

szwajcar wyprostował i odwrócił od niego jakby go nie znał...

Powóz stojący u bramy podjechał dla zabrania księcia Augustula...

— Więc, kochany panie Monti — odezwał się odjeżdżający — *c'est dit*, ja się mogę tymczasem wprowadzić do mojego apartamenciku... Dla marszałkowej, zmiłuj się, pokoje jej każ wyświeżyć. Są śliczne, ale zieloności i kwiatów brak jeszcze, a ona, co sama jeszcze jest kwiatem, bardzo je lubi.

— O to najłatwiej, odparł Monti: w oranżeryi mamy ich więcej niż potrzeba... Umyślnieśmy się o zapas postarali... Ale kiedyż się państwa młodych i pani Falimirskiej spodziewać możemy?

— Jutro lub po jutrze — rzekł książę... Dziś odbiorę zawiadomienie. Na przyjęcie nic nie potrzeba, prócz żeby mieli co pić i jeść i żeby personel kuchenny był w komplecie... Nie przyjedzie z nimi nikt, oprócz brata, który ich przeprowadza, i matki... Pierwsze dni spędzimy w ciszy, *en famille*. Młode szczęście potrzebuje się w gniazdku ukrywać — a gniazdko, z waszej łaski, mają jakby z bajki Tysiąca nocy...

Skłonił się pan Monti.

— Co się tyczy tych rachunków, które mi pokazywałeś — proszę być zupełnie spokojnym. Pieniądze przywiozą z sobą. Prawda, że budżet nasz o wiele przeszły wydatki — ale ja wytłómaczę to Leosiowi. Najmniejszej z tem nie będzie trudności. Mają grosza dosyć... Tak go używać, to prawdziwa rozkosz — *c'est noble*...

Książę wyszedł, i skłoniwszy się jeszcze, siadł do powozu, oczyma uszczęśliwionemi obejmując piękną facyatę pałacową.

Dumny był nią i całą tą budową, wyobrażając się jej twórcą. W istocie w ogólnych rysach skreślił

program jakiś p. Montemu, który rozwijając go, miał tę zręczność, iż wszystko przedstawiał księciu, jako pomysł jego własny. Książę Augustulus prawił więc swym znajomym o pałacu tym, jako o utworze, którym się miał szczycić, jako o czemś, w co włożył całą swą duszę...

Powóz księcia oddalił się z wolna, a szwajcar, który tylko dla niego przywdział oficyalne szaty, począł zaraz zdejmować je z siebie, i dębowe wrota, misternie kute we floresy, zamykał, aby spocząć... Jedną już ich połowę był zatrzasnął, gdy spojrzawszy w ulicę, dostrzegł jeszcze w niej stojącego z oczyma w pałac wlepionemi pana Łukasza...

Litość go wzięła nad biedakiem, a miło też było dobyć przy nim coś ze wspomnień o Zamoroczanach.

— Panie Łukaszu — odezwał się kiwając ręką, którą już wydobył z szamerowanego fraka — a proszę do mnie do loży... Choć ciasna — pomieścimy się... Mam kieliszek wódki co się zowie, i serdelki na zakąskę... Pogawędzimy... albo co?

Łukasz, choć się nieco wahał z razu, podszedł, pomógł sam do zamknięcia drugiej połowy drzwi monumentalnych — i powlókł się do izdebki Żabczyńskiego, który zdjąwszy swój mundur, do prostego śmiertelnika był podobny.

Tu przy kieliszku i serdelkach rozpoczęła się romowa żywa o czasach przeszłych, o Czermińskich i ich fortunie — a Żabczyński, który już rozpatrzył się we wspaniałościach i zasłyszał co one kosztowały, kiwnął w końcu głową.

— Aby tylko starego Czermińskiego krwawy pot starczył na te fumy długo... rzekł cicho. Bardzo, mosanie, na fis wzięli, z górnego tonu... trudno długo się w nim utrzymać... Fortuna mówią straszenna — a no! nie ma studni beze dna...

Ale co nam do tego? Trzeba o sobie tymczasem pamiętać...

I nalał kieliszek.

— Do acana, panie Łukaszu — w ręce twoje, w gardło moje... I napili się oba... a wzięła się przy serdelkach przyjaźń wielka, tak, że zaręczyć nie możemy czy nazajutrz installowany stróż pałacowy, który się we dnie nigdy nie pokazywał, nie był jedną i tąż samą z panem Łukaszem osobą.

Czem się różni wielkie miasto od małego miasteczka? Juściż nie ilością domów i rozległością miejsca, które zajmuje. Są ogromne mieściny i są maleńkie stolice... W wielkiem mieście ludzie toną, nikt o nikim nie wie, nikt się o sąsiada nie troszczy, mało ludzi zna się z sobą — w miasteczkach przeciwnie wszyscy wzajem na siebie patrzą, pilnują się, rachują co mają, dowiadują się co jedzą i zabawiają przeważnie obserwacyą sąsiada.

Dla tego to może pobyt w małem miasteczku jest z wielu względów niedogodny, i ludzie do wielkich miast płyną. Tu jest się w pośród ruchu i życia a samym — patrzy się na wiekuisty dramat z obojętnością spektatora, który za miejsce zapłacił i wyjdzie po widowisku, o los aktorów się nie troszcząc.

Nie chciałbym bynajmniej krzywdzić najmilszego z miast europejskich — Warszawy; ale ona jest trochę małą mieściną, choć miastem ogromnem. Tu się niemal wszyscy znają, a nawet konie, któremi kto jeździ, powóz, którego kto używa... i najmniejsza zmiana w życiu trochę wybitniejszych osobistości do zbytku wszystkich zajmuje. Książę Augustulus był też w ogóle bardzo popularny swego czasu. Obracał się i w kołach arystokratycznych, i w świecie finansowym, dającym dobre obiady, i między urzędowemi postaciami, ażeby być dobrze widzianym wszędzie. A że miał piękne imię stare, obejście się miłe, roz-

mowę dowcipną, i wszystkim się akkomodując nie szkodził nikomu, lubiono go powszechnie. Dawniej, gdy książę znaczniejszy dom prowadził i nie owdowiał był jeszcze, gdy fortuną władał większą, naturalnie estymowano go wyżej — z czasem gdy przestał dawać obiady, zapraszać, trzymać konie... i zszedł na emeryta — choć go dobrze przyjmowano, mniej już ważył... Nie miał takiego wpływu jak dawniej. Odkłaniwano mu się chętnie, lecz nie kłaniano się jak to bywało. Wielu dobrych niegdyś przyjaciół, znacznie dlań ostygło... Książę nie zdawał się na to zważać; ani mieć do nich żalu, znajdował to naturalnem, bo sam pewnie postąpiłby podobnie. Nie nadwerężało to jego uprzejmości dla drugich — niemal ją zwiększało jeszcze. Nie lubił się książę martwić i skłonny był wszystko na dobre tłómaczyć.

Jednakże gdy teraz, przybycie młodych Czermińskich, nad którymi rozciągnąć miał opiekę, przepyszny dom, w którym miał zamieszkać, fama ich bogactw niezmiernych, znowu na księcia zwróciły uwagę ogółu — ucieszył się nieco maleńką zemstą, jaką mógł wywrzeć na zobojętniałych.

Szczególniej go bolało zupełne usunięcie się bogatego i ze wszech miar niepospolitego człowieka, rodzonego siostrzeńca, Teofila hrabiego Bronickiego... Kochał książę swą siostrę a jego matkę, lubił i opiekował się Teofilem... przykro mu było niewymownie, że siostrzan, jakby z obawy, aby wuj mu się nie stał ciężarem — cofnął się od niego i niemal zerwał stosunki.

Hrabia Teofil, mający już lat około trzydziestu, wychowany na urząd do wielkiego świata, żył tylko w nim, i jak nowo nawróceni na wiarę zwykle są najgorętszymi fanatykami, tak on ze swem hrabstwem, trochę podejrzanem, był zapamiętałym arystokratą.

Posługiwał się swoim wujem księciem do rodowodu, ale z innych względów znać go nie chciał.

Dziwna to była oględność i obawa — bo hr. Teofil żył bardzo pańsko, pieniędzy rozsypywał wiele i miał ich dosyć; — lecz egoizm snadź odziedziczył po matce i jej bracie, i nie rad był żadnym ofiarom.

Nie zerwali z sobą stary wuj i młody hrabia, widywali się, byli z sobą grzecznie, lecz unikał Teofil zbyt ścisłych stosunków, nie dawał wglądać w swe interesa, nie zapraszał na wieś... pozostał w ceremonialnem oddaleniu.

Być bardzo może, iż stan interesów książęcych, zmniejszenie stopniowe etatu jego, budziło obawę ruiny i zawołania o pomoc.

Hr. Teofil zwykł był mawiać: „Jeżeli się ma tracić, co zawsze jest złem, to przynajmniej niechże ja sam mam tę satysfakcyę... nie drudzy z mojego.“ Życie, jakie prowadził na wsi i w Warszawie, było połączeniem skąpstwa i rozrzutności, rachuby i fantazyi.

W mieście, gdy szło o to, aby się od utracyuszów nie odstrychnąć i na pewnej stopie pańskiej utrzymać, na wydatki głośne hrabia Teofil był czasami aż do zbytku hojny — na wsi pyszno-skąpski rachował się z groszem i niby pilno gospodarzył, lecz najnieszczęśliwiej. Gospodarstwa nie rozumiał, oszukiwano go.

Nie znalazłszy sobie partyi po myśli, nie żenił się, nudził, rzucał i żył coraz czemś nowem... Zbierał książki, passyonował się do obrazów, przedsiębrał studya, które równie łatwo mu było zaniechać, grał na przemiany role poważnego, lekkiego, namiętnego... Wewnątrz zaś — kto wie — był to może człowiek, jakich u nas wielu — niedokończony, bez woli wytrwałej, którym nie było komu pokierować, a on sam sobą nie umiał. W każdej sprawie nowej z razu

MK/M/62.95

się ogromnie namyślał, ważył, potem najczęściej niedorzecznie roznamiętniał — i dochodził do jakiegoś fiasco...

Życie mu się nie wiodło.

W salonie był bardzo miły, często dowcipny, lecz tracił na tem, że wszyscy go znając, nie wiele nań rachowali. Nie brano go na seryo, acz się aż nadto poważnym być starał...

Gdy się po Warszawie rozeszła wieść, że książę przenosi się do pałacu Czermińskich, i że ma władać tym młodym bogaczem, który pod jego zostaje opieką, gdy zaczęto cuda opowiadać o urządzeniu domu, którym się Monti, jako swem arcydziełem przechwalał, — zabolało hr. Teofila mocno, iż — tak jakoś oziębiło się między nim a wujem.

Postrzegł, że znowu zbłądził i chybił zbytnią ostrożnością, oddalając się od niego. Na nowo się teraz właśnie starać zbliżyć było nadto wyraźnem... Książę bywał, mimo dobroci swej sarkastyczny, a hr. Teofil nadzwyczaj był drażliwy.

Przypadek, który często cuda robi, zrządził, że się pogodnego dnia, idąc pieszo, spotkali nos w nos, na Krakowskiem Przedmieściu... Hr. Teofil przybrał twarz zadumaną... Książę mu się z dala począł uśmiechać.

— *C'est bien heureux*, rzekł zbliżając się, iż się choć na ulicy widzimy, i że przynajmniej wiem, iż żyjesz i jesteś zdrów...

— Ale, kochany wuju — odparł Teofil — nie wiedziałem gdzie go szukać. Gdy ja jestem w Warszawie, księcia nie ma... na wsi... za granicą...

— Mój drogi — przerwał książę — daj pokój wymówkom: kto kogo chce znaleść, to go wyszuka... Nie mam ci za złe, ja się stałem starym nudziarzem — tyś młody... Nie idziemy do dary, co nie przeszkadza, byśmy się, jak należy na blizkich krewnych, nie kochali...

Hr. Teofil zamilkł.

— Czy pozostajesz w Warszawie? czy jesteś przejazdem? spytał książę.

— Jakiś — czas bawię...

— A ja już się lokuję na lato i zimę... Wiesz — słyszałeś zapewne.... bo o tem wie cała Warszawa, że mojej pupilli Falimirskiej córka, śliczna Felicya, wychodzi za milionera...

W tych dniach ślub... Milionera, mało powiedzieć — bo jest tam tych milionów kilka... Poczciwe, dobre, kochające mnie ludziska, urządzając tu sobie domek... dali mi jak gracyaliście staremu, mieszkanko... Jestem w niem — dziś się przenoszę — jak u Boga za piecem! Powiadam ci: gniazdo jakie na starość mogła tylko dać Opatrzność...

— Słyszałem o pałacu, który miał Monti urządzać... prawią przesadzone rzeczy i dziwy! rozśmiał się Teofil.

— Nieprzesadzone — odparł książę, — wcale nieprzesadzone... Wątpię, ażeby dziś przybyli; a ja się właśnie installuję tam.., chcesz — chodź. To prawdziwie widzieć warto...

Zawahawszy się nieco, spojrzawszy na zegarek, hr. Teofil dał się skłonić do tej wycieczki. Poszli razem. Po drodze książę opowiadał o Czermińskich, o ich dostatkach, o roli, jaką mieli grać po Warszawie przybywszy... nie wątpiąc, iż łatwo cały piękny świat zdobędą. Siostrzeniec słuchając milczał. Facyatę pałacu znał już od ulicy; chociaż ona obiecywała wiele, nie spodziewał się jednak wewnątrz spotkać z tak nadzwyczajną wspaniałością i przepychem. Książę tryumfująco go oprowadził po pokojach, umiał podnieść znaczenie, cenę, piękność każdej fraszki,

nasycał się zdumieniem pana Teofila — i w końcu go zaprosił dla spoczynku — do siebie na górę.

Na twarzy siostrzeńca malowało się takie uczucie konfuzyi, zazdrości, upokorzenia, iż książę, który był w gruncie dobrym człowiekiem, i lubiąc pokój nadewszystko unikał kwasów wszelkich, podwoił czułości i uprzejmości dla Teofila, by go rozruszać i rozchmurzyć.

Trudno to było. Pan Teofil wyznawał, że piękniejszego domu prywatnego nie widział, lecz utrzymywał, że przepych jest niedorzeczny, że ciągnie za sobą warunki życia, wymagające niezmiernych wydatków, na które, choć największa fortuna szlachecka, nie może starczyć.

— Kochany Teofilu — odparł książę — masz zupełną słuszność, ale oni wcale nie szlachecką dysponują fortuną. Jest ich dwóch braci, drugi się prawdopodobnie nigdy nie ożeni, cały majątek chcąc poświęcić, aby zyskać rodzinie stanowisko... *vous comprenez*...

Ale, wiesz co, Felicya... dodał książę — oni dziś, jutro tu będą... Przyjadą naprzód w kółku familijnem, zamknięci przepędzić miodowe miesiące. Nikogo nie będą przyjmowali — jednak ty, jeżeli jesteś ciekawy, *si le coeur vous en dit*, jako mój siostrzeniec — możesz pierwszy z nimi zrobić znajomość... Gdybyś też chciał, mógłbyś pokierować pierwszemi krokami poczciwego Leosia, który — zobaczysz, jest chłopak... choć na królewskie pokoje. Dystyngowany, z taktem i miną pańską... no — bez obrazy, daleko arystokratyczniejsza niż twoja...

Książę tem się pomścił na siostrzeńcu. Była to jego słaba strona... Przystojny dosyć — wyglądał bardzo trywialny, pospolity, brakło mu dystynkcyi. Twarz miał bez wyrazu, postać bez wdzięku, ruchy ciężkie.

Hrabia Teofil zarumienił się, uśmiechnął i wtrącił:

— Nie mam najmniejszej też pretensyi wyglądać dystyngwowanym... i wiem, żem brzydki.

— O! to znowu nie — ale się opuszczasz... Leoś dba o siebie i pamięta o sobie. *Voilà!*

Chciał się odebrawszy ten cios, oddalić siostrzeniec, lecz książę się właśnie rozlokowywał w mieszkaniu, nie puścił go, pomagać sobie kazał... trochę się nad nim znęcał, pokazując mu łazienkę... wygódki, meble... najmniejsze szczegóły...

Wśród tych inkrutowin, nadeszła umyślnym wiadomość, że państwo młodzi z matką i bratem tegoż dnia o godzinie ósmej przybyć mieli.

— O! *par exemple!* zawołał — teraz to cię sekwestruję i nie puszczę... Musisz mi pomagać, być moim adjutantem i ze mną razem ich przyjąć.

Hr. Teofil mocno się wymawiał; nie był nawet ubrany stosownie.

— Poszlę po ubranie! zawołał książe.

W duszy jednak hrabia nie był tak bardzo nie rad zadanemu sobie gwałtowi, przyjemnie mu było pierwszemu zobaczyć i poznać tych ludzi, i zabrać znajomość, która być mogła wygodna.

Panny Felicyi nie widział od bardzo dawna, pamiętał ją niemal dzieckiem... Falimirskiej nie lubił, ale bawiła go dosyć szczebiotaniem i z twarzy mu się podobała... Obawiał się zaś jej jak księcia, przez egoizm, ażeby go nie zawojowała i nie wysługiwała się nim. Czuł, że do tego była zdolna.

Na ten raz jednak bezpłatny spektakl się trafiał, ciekawy — czemuż nie miał z niego korzystać? Został.

Książę posłał po Montego, kazał zawołać François, rozgorączkowany był przyjęciem, które chciał uczynić jak najświetniejszem. W jednej chwili cały dom był

na nogach... Służbie kazano paradne poprzywdziewać liberye... przyspasabiać światło, bukiety, herbatę, wieczerzę...

Książę gorączkowo wydawał rozkazy... kilka godzin upłynęło na bieganinie, oglądaniu, poprawianiu i kompletowaniu jeszcze drobnych szczegółów...

Książę sam na srebrnej tacy miał podać nowożeńcom dawnym obyczajem chleb, sól i cukier. Dla pani starszej i młodszej posłano po zamówione przepyszne bukiety...

Jeszcze nie zmierzchło, gdy w całym pałacu poczęto zapalać światła. Pozapuszczano żaluzye i firanki, zrobiono ciemność sztuczną, aby w kunsztownem świetle pałac wydał się jeszcze czarowniej.

W istocie umiejętnie porozstawiane grupy świateł większe, podnosiły niektóre części obrazu, uwydatniały je, i pałac jaśniał cudownie... Książę z różnych punktów kazał Teofilowi admirować go... i sam się zachwycał... Sieni, wjazd, wschody, wszystko połyskiwało nagromadzonemi światłami... Monti w czarnym fraku i białych rękawiczkach, poważny, zamyślony, dawał też rady, robił uwagi i pysznił się swem dziełem.

Godzina przybycia zbliżała się. W sali jadalnej herbata była już nagotowana, służba rozstawiona czekała... nareszcie trąbka pocztowa dała się słyszeć, książę, za którym niesiono tacę, zszedł powoli ze wschodów...

Dwie karety zatoczyły się pod sklepienia; z pierwszej z nich wysiadła Felicya z matką, z drugiej wyskoczył Leoś i Moryś. Skończonego pałacu obaj oni nie widzieli, olśnieni zostali jego przepychem. W chwili gdy książę z życzeniami podawał tacę i bukiety, Leon się nie mógł wstrzymać rozradowany, aby tego dobroczyńcy nie uściskać, któremu był winien snu swojego urzeczywistnienie...

Marszałkowa niemal przerażona była pięknością majestatyczną wnijścia. Wschody, sień w świetle stanowiły może najbardziej malowniczą część całego domu. Stanęli tu, aby się im przypatrzyć.

Falicya z naiwnością dziewczęcia rzuciła się mężowi na szyję.

Maurycy z boku stał niemal osłupiały i przerażony. Widok ten robił na nim wrażenie czegoś strasznego... jakby był groźbą przyszłości. Wszystko to nadto mu się wydawało wspaniałem i pięknem... Dreszcz przebiegł mu po całem ciele...

Książę z tej chwili skorzystał, aby przedstawić siostrzeńca, który się pochmurno i niezgrabnie przypominał zimno go witającej marszałkowej i zmieszanej tym świadkiem Felicyi.

Z wolna poczęli iść ku górze. Książę wskazywał i tłómaczył każdą rzecz — wszystko to zdawało mu się jego dziełem... Wielka sala ze swym kominem, na którym umyślnie zapalono ogień, wywołała okrzyk podziwu... Felicya klaskała w ręce, i ciekawa jak dziecię, wyrwawszy się poważniejszemu towarzystwu, ciągnąc męża za sobą, poleciała przodem, niemal szalejąc z radości...

Dla niej to szczególnie pałac ten był marzeń ziszczeniem. Miała ona instynkt elegancyi, pragnienie blasku nienasycone, wychowanie rozwinęło w niej tę sztuczną istotę, dla której niezbędny jest zbytek...

Czytając we francuzkich powieściach opisy tego pół świata, co miliony obraca na fantazye wytworne — czuła zawsze bicie serca i mówiła sobie, że w takiej atmosferze żyćby chciała. Matka, która bałwochwalczo i z religijną czcią chodziła około utrzymania własnych i córki wdzięków, nauczyła ją zawczasu jak wiele do pielęgnowania i uwydatnienia ich potrzeba. Obie one chciały być temi bóztwami... przed któremi światby klękał, dla którychby szalał...

Serce Felicyi biło wprawdzie dla Leona, ale silniej daleko uderzało do tych czarów eleganckiego życia upajających — których przez niego dostąpić miała...

Hr. Teofil z dala spoglądał na uszczęśliwioną istotę, zapominającą się wśród tego szału i piękną jak młodziuchna bachantka.

Szczęście to, rozpasanie jakieś niem, czyniło Felicyę uroczą, cudownie śliczną. Paliły się jej oczy, rumieniły usta... trochę rozrzucone włosy fantastycznie okalały owal twarzy linij niezrównanych, świeżości kwiecistej... Gdy z nowym wybuchem radości rzuciła się mężowi na szyję — hr. Teofil pobladł, zdawało mu się, że go coś ukąsiło w piersi...

Morysia zupełnie zapomniano. Szedł z tyłu zamyślony, opuszczony, aż marszałkowa, której szło o to, aby go nie zaniedbać, skinęła na niego, by jej podał rękę... Moryś pośpieszył. Szepnęła mu... bardzo cicho:

— Pan tu długo zostań z nami, inaczej ja wśród tych śliczności nie będę szczęśliwa.

Tem jednem słówkiem, zręczna niewiasta potrafiła i Maurycego do powszechnej radości i upojenia nastroić. I on wpadł w humor wyborny...

Książę nie uspokoił się, dopóki głównych przynajmniej piękności pałacu nie pokazał...

Zaprowadził sam Falimirską do appartamentu dla niej przeznaczonego, który, mimo pewnej powagi tonu, wesoły był i dla kobiety widocznie przystrojony, która się jeszcze świata i życia nie wyrzekła... Dziwnym trafem złożyło się, iż sień tylko dzieliła pokoje te od trzech gościnnych, które dla Maurycego były umyślnie urządzone... Appartamencik kawalerski, bez przepychu, na oko niezmiernie prosto wyglądający, lecz do zakochania wygodny, jasny, miły. Przytykał on z drugiej strony do osobistego mieszkania

i pracowni Leosia, tak, że bracia mogli się łatwo kommunikować z sobą. Tak samo matka miała zabezpieczone dogodne i niewidoczne przejście do córki. Monti umiał każdemu z tych mieszkań, z wielką przenikliwością gustów, z przeczuciem charakterów, nadać cechę wyłączną — właściwą. Unosili się wszyscy. Dziękowano sobie nieustannie...

Hr. Teofil coraz się stawał kwaśniejszy. Nie ma bo na świecie przykrzejszego położenia nad świadka cudzego szczęścia, gdy się z niem żadnem uczuciem połączyć nie może. Hrabia Teofil mógł tylko zazdrościć — stał tu jeszcze bardziej obcy niż Monti... był niemal zawadą, i postrzegł teraz dopiero, że dając się księciu zatrzymać niepotrzebnie, posłużył tylko jego — chętce pomszczenia się.

Dotrwać jednak było potrzeba...

Herbata zastawiona mogła już dać miarę czem miało być życie państwa Czermińskich... Kamerdyner, służba liczna, serwisy srebrne, porcelany, kryształy, kredensy błyszczące nagromadzoną *vaisselle plate* i okaźnemi półmiskami ustawionemi jak tarcze, dzbanami starożytnemi, puhary i t. p., prawdziwie książęcy przepych znamionowały.

Ponieważ wszyscy trochę potrzebowali spoczynku, a szczególniej panie, książę zaraz po herbacie wniósł, aby pójść na cygara do *fumoiru* Leona... O tym jeszcze wcale nie wiedziano. Książę umyślnie go nie odemknął i nie pokazywał, aby jeszcze jedną zostawić niespodziankę...

— Ale gdzież jest *fumoir*? spytał Leon.

— Jakże? nie pokazywałem go? niby zdziwiony rzekł książę — więc chodźmy...

Ruszyli się mężczyźni, książę, Leoś, hr. Teofil i Monti, powoli znowu przechodząc pokoje, których szczegóły pominięte wprzód znowu admirowano, weszli do pracowni pana domu, a z niej za pociśnięciem

niewidzialnego guza w ścianie, otwarły się drzwi do gabinetu, który powszechny okrzyk z ust wyrwał. Był to niby namiot turecki, oświecony z góry oknem, a teraz lampą wielką — do koła którego biegły sofy nizkie, po wschodniemu poduszkami założone... W głębi wspaniały sprzęt zawierał wszystko co do palenia mogło posługiwać, cybuchy tureckie, nargile, cygara... lampę, fidybusy i t. p. Monti nietylko pamiętał o tem, ale umiał to tak artystycznie ustawić, iż trofea fajczarskie malowniczą stanowiły całość.

— Widzicie: będziemy tu jak u sułtana tureckiego, gdy każą czekać na posłuchanie...

Kochany hrabio Teofilu — dodał książę, zwracając się do niego, nie bez myśli — nie przeczę, że u ciebie też ładniutko dom urządzony, i że gustu masz wiele, a jednak się tu wiele możesz nauczyć.

— Bez wątpienia — odparł hrabia — nauczę się przedewszystkiem, a raczej oduczę wszelkiej pretensyi do niemożliwego współzawodnictwa... Z tem co tu widzimy, o lepsze się współubiegać niepodobna...

Zapalono cygara, książę Augustulus zdawał się odmłodzony, wygodnie rozparł się na sofie, nogi na nią wciągnął, i spoglądając ku górze, począł puszczać dymek z rozkoszą lubującego się w nim smakosza.

— Teraz, kochany panie Leonie — począł — pracowite musisz rozpocząć życie... A! tak jest... Miodowe miesiące mają swe prawa, ale trzeba myśleć o przyszłości... W takim domu zamkniętemu siedzieć byłoby zbrodnią, dziwactwem — nielogicznością. Ja i mój dobry Teofil, jesteśmy na wasze usługi — trzeba będzie wedle jakiegoś planu rozpocząć znajamianie się z ludźmi... Wprawdzie jest to wiosna, już się wielu rozjeżdża, wielu poucieka... jeszcze jednak kogoś złapiemy... Później, gdy miasto stanie się pustką, zechcecie gdzie pojechać... to od was

zależy. Przed jesienią trzeba wrócić, resztę niezbędnych znajomości dopełnić — i myśleć już o otwarciu domu formalnem... Otworzymy go balem jednym, lecz takim, któryby zaćmił wszystko co tu kiedykolwiek dawano... Dla pewnej części społeczeństwa obiad, ale obiad co się zowie, jest niezbędny... Obiad ja rozumiem — tak jak go pojmują ci, co jeść umieją... mówił książę. Jeść jest sztuką... Karmić się to wcale co innego... Karmionym być nikt z naszych nie potrzebuje; ale zjeść obiad taki, o którym się potem całe życie pamięta... rad każdy.

Obiad taki jeden czyni reputacyę domu... Kucharza masz wybornego, lecz — kto wie — kto wie — na taką uroczystość żołądkową — wypaść może potrzeba sprowadzenia kogoś...

Bal i obiad od razu was postawią jak należy... Raz w tydzień potem gastronomiczne przyjęcie dla niewielkiego kółka, i dwa wieczory przyjęcia starczą...

Milczeli wszyscy, słuchając starego jak wyroczni... mówił też chętnie, sam się zdając lubować swą wymową.

— Tylko proszę cię panie Leonie, choć to teraz chcą wprowadzić w modę, zaklinam cię, *ne donnez pas dans la littérature et dans l'art*... Żadnym literackim wieczorem i artystycznym uwieść się nie dawaj — *c'est assommant et dé mauvais gout.* Ciągnie to za sobą następstwa mieszanego bardzo towarzystwa — ludzi nie naszego świata... i może salon europejski zmienić w parafiańsko-patryotyczny... Nie — nie — nie — dodał książę... żadnej deklamacyi, literatury i wirtuozów... Na koncertach ich słuchamy, ale w domu — jestem stanowczo przeciwny... Sztukę cenię wysoko — tylko trzymać się od niej trzeba z daleka, bo jest wymagająca i przechodzi w manię... *Non, non pas de sa!*

Monti chciał się ująć za sztuką, przerwał mu stary.

— Wiem już co chcesz powiedzieć! Sztukę kocham, powtarzam... ale na swem miejscu... Ja i konie bardzo lubię, ale do salonu ich nie wprowadzam, boby z niemi furmani przyszli.

Zaczął się śmiać — rozśmiał się choć kwaśno Monti.

Gwarzono tak po trosze. Moryś tymczasem chodził i w wielu rzeczach zupełnie sobie nieznanych się rozpatrywał, które mu budowniczy ochotnie objaśniał. Po wiejskiej obyczajów prostocie, wszystko się tu dziwnem wydawało, z tem obrachowaniem na ułatwienia, których potrzeby surowsze życie nie czuje. Trzeba się było uczyć teoryi nowej, dać sobie wpoić zasady, którym przeciwne cała młodość wszczepiała.

Moryś im więcej patrzał i słuchał, tem się mocniej przekonywał, że pomiędzy tym światem, dla niego nowym, a pierwszym, co mu był znany, do którego był nawykły — leżała niezgłębiona przepaść.

Nie był to już świat chrześciański, oparty na poskramianiu siebie, na zwyciężaniu ciała, na wstrzemięźliwości i wstręcie wyszukanych rozkoszy... całkiem przeciwne idee tu rządziły... Człowiek potrzebował używać, otaczać się najtrudniej zdobywanemi wymysły, aby unikkać najmniejszej boleści, i pomnożyć summę wrażeń przyjemnych...

Z ofiarnego stawał się wymagającym ofiar... Dla tego życia musem było zdobybywanie bogactw, grzechem ich podział, egoizm prawem...

Każdy o sobie powinien tu był myśleć — sam pomagać sobie — i postawiwszy się na ołtarzu, i innych bogach zapomnieć...

Pomiędzy tym światem, a otaczającym i stającym u podnóża, jeden był tylko związek — posługi

znikała idea braterstwa i obowiązku, wchodziła pracy i płacy... Ubogi stawał się nieprzyjacielem....

Mimowoli uderzyło to Maurycego, gdy książę w dalszym ciągu wykładu teoryj swoich, dodał:

— Zapewnie nieuniknionem będzie dla Felicyi poddać się wymaganiom tych pań, które ją do dobroczynnych instytucyj, kwest i t. p. wciągnąć zechcą. Pojmuję to... ale... przestrzegam, żeby nie brała tego do serca... Dla ubogich są szpitale... widok ich dla osoby naszego świata niezdrowy jest — przykry, rozczarujący. To smutne myśli naprowadza! Niech się w świętą Elżbietę nie bawi — zaklinam. Podstarzałe panie, przez próżność się tem zajmują... niech to przy nich zostanie... Ubogim trzeba świadczyć, nie mam nic przeciwko temu, dla tego samego, aby na nich nie patrzeć... aby nam świata nie brzydzili. Odbierają apetyt łachmany... i śmierdzą.

Książę trochę się za daleko puściwszy, spostrzegł dopiero po milczeniu przytomnych, że im trudno było zgodzić się na jego aforyzmy, — i — ziewnął.

Dano znać, że wieczerza już na stole, i wszyscy ruszyli się od cygar do sali jadalnej, gdzie ich panie oczekiwały. Przez ten czas gdy panowie byli na cygarach, one obchodziły różne zakątki, tworzyły także plany, a Felicya okazywała wielką zdolność do wymyślania rzeczy czarownych... Ogród zimowy wydał się jej za małym... obiecywała sobie dokupić kawałek przytykającego placu i rozprzestrzenić go tak, aby mógł razem służyć za salę dla tłumu gości... Można było wspanialszym ozdobić go wodotryskiem i kaskadą.

Matkę to bawiło i całowała ją w czoło... Szczęście dziecka czyniło i ją szczęśliwą; przecież chmurka smutku nad czołem zawisła... Zazdrościła Felicyi... nie bogactwa i tych zbytków, ale rozkoszy, z jaką

ich używała. W jej piersi chłodno było — pusto... nic jej nie poruszało... próżność jak dzwonek została na dnie i poruszona brzęczała grobowo... Nawet ta miłość Morysia, młoda, gorąca, mogąca współczucie obudzić — wcale jej nie uszczęśliwiała...

Było to dla niej narzędzie...

Pani Falimirska stała na tych rozstajach niewieściego wieku, gdy zwykle jakąś sobie one muszą znaleźć zabawkę, aby zastąpiła przeżyte i przeżute... Dla jednych jest to godzina pobożności, dla innych ambicyi, czasem nawet walki z losem u zielonego stolika... lub intrygi. Marszałkowa nie uczyniła była wyboru... lecz męczyła się czczością — najmniejsza okoliczność mogła ją popchnąć na nową drogę.

Przy wieczerzy usiadł przy niej hrabia Teofil, który ją kuzynką nazywał. Nie lubili się dawniej wzajemnie... ona miała do niego żal, że się choć nie próbował w niej kochać. Nie podobał się jej wcale, ale ten hołd jej piękności należał od niego przecie... Mszcząc się po swojemu, przez cały wieczór malowała mu szczęście swoje, córki, a w ostatku rozpłynęła się w pochwałach dla Maurycego, dając do zrozumienia, iż i on dla niej ma nadzwyczajną sympatyę. Popierała to dając mu znaki różne u stołu i posyłając uśmiechy.

Hrabia Teofil winszował — potakiwał, dziwował się — milczał. Im posępniejszą przybierał fizyognomię, tem marszałkowa i książę większą okazywali wesołość.

Wszystko to przechodziło niepostrzeżone, bo Felicya i Leoś szeptali z sobą po cichu o przyszłości...

Miłość ślicznej Felicyi — dziwna była — dziecięca, potrzebująca zabawek... Szeptali jak jutro na spacer wyjadą — powóz, konie, służba wszystko to zajmowało młodą panią, a najwięcej jak na siebie

oczy obróci... jak ludzie ciekawie przypatrywać się im będą...

Potem zachciała być w teatrze... Spytała matki, jaki strój trzeba będzie włożyć? Książę wystąpił zaraz z usłużną teoryą ubioru zastosowanego do barwy lóż i ornamentacyi sali. Było to, według niego, niezmiernego znaczenia...

O równie ważnych przedmiotach mówiono aż do chwili rozstania... Ruszono się nareszcie, i hr. Teofil chwycił za kapelusz, żegnając gospodarzy... Tak się przecie wieczór zakończył — w salonach...

Następnym dniom towarzyszyło to samo usposobienie. Bawiono się, patrzano i marzono o jutrze...

Książę wprawdzie parę razy napomknął, że wypadnie rozpatrzyć rachunki, skończyć z budowniczym, pomówić o budżecie, ale sam zawsze dodawał, że w tem nie ma nic pilnego...

Maurycy jednak, najpraktyczniejszy ze wszystkich, wpatrując się w te wspaniałości, doznawał pewnego niepokoju, przewidując, że rachunki będą ciężkie... Wspomniał o tem przypadkiem marszałkowej, która pośpieszyła mu uczynić słuszną uwagę, że to są wydatki jednorazowe, że były nieuniknione, że coś poświęcić należało dla zajęcia stanowiska, do którego Czermińscy mieli prawo.

Maurycy umilkł... Monti nie nalegał dotąd. Nie wynosił się jeszcze z oficyny, przychodził codzień na obiady, i był bardzo przyjemnym gościem dla wszystkich. Marszałkowa rzucała nań melancholiczne wejrzenia — ot tak... aby spróbować czy jej wzrok siły nie stracił...

Chociaż Moryś miał zamiar prędko do chorej matki i gospodarstwa powracać, nie puszczono go... Falimirska wolała mieć przy sobie, niż dać mu bujać na wsi, gdzie się sideł szlacheckich obawiała... Parę wieczorów spędziła zamyślona, wzdychając w swoim pokoju, na rachubach i dumaniach, jak jej postąpić należało, ażeby Morysia stale do siebie przywiązać... Czy trzymać go w pewnem oddaleniu jak dotąd — czy cokolwiek dać mu się zbliżyć i nadzieją rozłakomić? Teorya i praktyka wskazywały zarówno, że trzeba się było trzymać pewnej miary, i ani nazbyt zniechęcać chłodem, ani do zbytku dozwalać się przysuwać. Trudne to było położenie, które tylko niezmiernym taktem dłużej przeciągnąć mogła marszałkowa. Postanowiła ona nadzieje robić wielkie, ale rzeczywistych ustępstw jak najmniej.

Utrzymanie Maurycego w zależności zbyt wielkiej było wagi, by pani Falimirska nie zapragnęła w tym względzie zasięgnąć rady doświadczonego i w jej mniemaniu nadzwyczaj praktycznego księcia.

Augustulus nie potrzebował, by mu się zwierzyła z położenia — widział je i odgadnął; przywiązywał doń też wielkie znaczenie, i matkę Felicyi, działającą w interesie córki, miał za zupełnie usprawiedliwioną. Gdy marszałkowa wkrótce po przybyciu spotkała się z nim rano sam na sam i szepnęła mu o tem... książę położywszy palec na ustach, odparł:

— Wszystko wiem, widzę... nic mi mówić nie potrzebujesz... Należy się zapewnić, że nam Maurycy się nie wyśliźnie. Lękam się powrotu jego na wieś: młody, zapomnieć może, da się uwikłać w jaką szlachecką intrygę. A że na niego tam polować będą — bo to gruba zwierzyna — nie ma wątpliwości. Trzeba jego... przywiązanie starać się podnieść do wysokiego nastroju... uczynić silnem... Niech się kocha wściekle...

— Tak — a dalej co? spytała piękna pani... Gdyby do tego przyszło, że — bo wszystko być może... przypuśćmy, że się zechce żenić!

Książę się zamyślił.

— No — w takim razie — rzekł książę — jeśli mam prawdę powiedzieć, nie radziłbym... Ludzieby z tego zaraz wysnuli... że wszystko się robiło dla ich majątku... zarzuconoby nam intrygę, mogłoby to Leonowstwu nawet w konsyderacyi zaszkodzić. A potem — co za przyszłość? Maurycy — mówmy między sobą otwarcie — mógłby być waszym synem...

Falimirska się zarumieniła, bo wspomnienie to niemile ją dotknęło. Książę naprawiając, uchwycił jej rękę, ucałował gorąco.

— Ale ty jesteś jak Ninon, nieśmiertelna, ty będziesz młoda zawsze... prześliczna zawsze...

Nastąpiło milczenie. Książę coś szepnął na ucho, jakby bardzo poufną przestrogę, która żywszy jeszcze rumieniec na twarz marszałkowej sprowadziła. Wyrwała mu rękę i odezwała się niemal urażona:

— O! przecież ja to wiem sama...

Przeszedłszy się kilka kroków, jakby chciała ochłonąć i zebrać myśli — wróciła potem do księcia, który stał bawiąc się łańcuszkiem od zegarka i patrząc na nią.

— Po co Maurycy ma koniecznie na wieś powracać, aby siedzieć na wsi? Gospodarstwo może komu powierzyć... Malborzyński mógłby się niem zająć, i w ten sposób zawszebyśmy wiedzieli co się tam dzieje. Maurycy czasem na krótkoby dojeżdżał, a bawiłby tu, z nami. Mielibyśmy go na oku i w ręku...

— Doskonale — zawołał książę — tylko o tem nie trzeba też zapominać, że dla młodszego, niedoświadczonego jegomości Warszawa stokroć jest jeszcze niebezpieczniejsza, niż szlacheckie dworki na wsi.

Tamtejsze kobiety nie mają ani tego uroku, ani tej umiejętności zdobywania serc... Tu... my go z trudnością upilnować będziemy mogli.

— Cóż więc począć? co począć? odezwała się niespokojna marszałkowa, spoglądając w zwierciadło.

— Ha! jeżeli jesteś siebie pewna — dodał książę — trzymaj go na pasku tutaj, ale... na pasku... Niech się przyzwyczai, niech mu tu będzie dobrze, pieścić go należy... ale o to nie będzie trudno.

Książe spojrzawszy nagle na zegarek, chciał już odchodzić gdy jakby sobie coś przypomniał, przystąpił znowu do zadumanej marszałkowej.

— Ale — rzekł — czy Leon nie widzi tego, że brat... hm? rozumiesz mnie?

— Leon wie, że jesteśmy w przyjaźni, że sympatyzujemy... Ja w oczach Leosia gram niemal macierzyńską rolę... Nie może supponować nic więcej...

— Hm! kto to wie! mruknął książę.

— Z pewnością.., potwierdziła pani.

— Tem lepiej, dodał Augustulus...

Tak się rozstali, nic pewnego nie postanowiwszy...

Po wspólnem śniadaniu, Felicya poszła niezmiernie zajęta nowesuknie przymierzać... żyła niemi! Leon usunął się do swojego pokoju. Maurycego rozmawiając z nim, pociągnęła z sobą marszałkowa do swojego appartamentu...

— Na samą tę myśl, że masz pan odjechać, mówiła tęskno do niego, serce mi się niewymownie ściska. Będę okrutnie osamotniona. Leoś zajęty Felicyą, ona nim, książę światem i ludźmi i sobą więcej niż nami, a ja...

Morysiowi to pochlebiło — oczy mu zajaśniały.

— Ja mam tylko... pana... was — dokończyła marszałkowa, ledwie dosłyszanym głosem. I westchnienie się z piersi wyrwało.

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK W SZCZAWNICY Wilia pow. kalwaryjskim

— Nie jedź bo pan... po co? po co? Gospodarstwo pójdzie bez niego... Interesa... doprawdy śmiałoby można powierzyć Malborzyńskiemu, czasem na nie spoglądając. Malborzyński uczciwy, zdolny, zręczny człowiek... Pan mógłby zostać z nami.

— Ale dla samej matki muszę jechać — odezwał się Moryś.

— No — dobrze, pojechać, zobaczyć się... zabawić kilka dni — i wracać, koniecznie powracać do nas. Ja tego żądam, ja proszę, jabym gotowa rozkazać, gdybym miała jakie prawo do tego...

Uśmiechnęła się wdzięcznie; ręka, o której niby zapomniała, została w dłoniach Morysia, który ją ściskał namiętnie i nie puszczał. Nie broniono mu jej... Oczy szukały odpowiedzi; nagliły o nią.

Odpowiedź ta jeszcze nie nadchodziła: marszałkowa więc zabrała głos znowu...

— Mój projekt jest najlepszy — zostań pan... Wieczory często spędzać będziemy mogli prawie sam na sam... Leoś i Felicya... ani spojrzą na nas, mając tyle do czynienia — książę lubi się bawić... Zobaczysz pan, będzie nam z sobą dobrze... Dla czego nie korzystać z tych chwil?...

Mówiła tonem przenikającym, z tęsknotą, rzewnie, i Moryś uległ obietnicom tego głosu...

— Będę posłuszny — zawołał — rób pani ze mną co chcesz...

— Otóż takim pana... was... ciebie nareszcie, odparła żywo... lubię i kocham. Tak jest — kocham... Od dziś dnia mówmy sobie — ty...

Maurycy rzucił się zapalczywie, uszczęśliwiony; zawstydzona pani z lekka go odepchnęła...

— Proszę cię... proszę... pamiętaj coś mi przyrzekł!

Moryś się cofnął nieco, rękę mu zostawiono, marszałkowa mówiła dalej:

— Pojedziesz matkę odwiedzić... zobaczyć co się tam dzieje, i zaraz — zaraz wrócisz... Matka to rozumie, że masz wiele tu do nauczenia się, do widzenia... że tu możesz korzystać ze stosunków... słowem, że dla ciebie miejsce tu właściwsze, niż na wsi, wśród ludzi zadomowionych i zardzewiałych...

Maurycy, po uściśnieniu bardzo pięknej rączki, był o tem najmocniej przekonany, że się tu wiele mógł nauczyć. Zwycięstwo zostało łatwo odniesione, ale je potrzeba było wzmocnić uznaniem ogólnem i ogłoszeniem. Po krótkiej rozmowie, marszałkowa przypomniała sobie, że się musi ubrać i z Felicyą jechać wybierać kapelusze... Moryś więc odprawiony został, i poszedł do swojego pokoju rozmyślać, jak się wytłómaczyć potrafi przed swoimi ze zmienionego programu. Niepotrzebnie się troszczył o to, bo Falimirska miała mu ułatwić tę sprawę. Przy obiedzie nie było nikogo oprócz księcia...

Mówiono najprzód o sukienkach, bo piękna Felicya o czem innem ani myśleć, ani mówić teraz nie mogła... Leonowi starczyło jej uśmiechu i ząbków perłowych — jej srebrnego głosu i widoku szczęścia na jej twarzyczce wpół jeszcze dziecięcej. Wśród tego szczebiotania, marszałkowa nagle głos podniosła.

— Leosiu, rzekła — wzywam twej pomocy, przeciw własnemu twemu bratu. Czy się to godzi, aby młodzieniec tak obdarzony, tak zdolny jak p. Maurycy, zakopywał się na wsi? Cały światby na nas powiedział, żeśmy go ekonomem zrobili. Zatrzymajmy go w mieście, niech się uczy, patrzy, świat pozna... Przypuściwszy nawet, że się tam czegoś nie dopilnuje w gospodarstwie — ale i to być nie może — czyż nie warto coś poświęcić, aby ocalić człowieka? Powtarzam, p. Maurycy powinien zostać z nami, Malborzyńskiemu dać plenipotencyę, dojechać czasem...

Książę, który z muszli właśnie dojadał pasztecika, cudownie przygotowanego, będącego arcydziełem kunsztu... odjął łyżeczkę od ust.

— Słowo daję, zawołał, że to cud! ta kobieta myśl moją odgadła...

— Ja tylko nie śmiałem mówić — odezwał się Leon, — ale ciągle o tem marzyłem...

— A! to będzie prześlicznie! zakrzyknęła plaszcząc rączkami Felicya... Mnie Moryś też jest niezmiernie potrzebny... Leosia nie zawsze można użyć, tak mu się nie chce ruszyć z domu... a Moryś mi będzie robił sprawunki... Nieprawdaż?...

— Tak — a matka? cicho odparł Maurycy, który oczy trzymał w talerz wlepione.

— Do mamy dojedziesz ile razy zechcesz — rzekł Leon. Ty wiesz, jak ja matkę kocham... ale ona przedewszystkiem teraz potrzebuje ciszy i wypoczynku który nawet my jej przerywamy. Ma księdza proboszcza i pannę Damiannę...

— Ale tak jest! tak jest! zawołała marszałkowa — miałam racyę.

— Cóż ty na to? zapytał Leon brata.

— Godzi się, musi się zgodzić — bo to rzecz rozsądna i słuszna — dodała żywo marszałkowa...

— Nie wątpię i ja — rzekł książę.

Maurycemu trochę wstyd było, usta mu się nerwowo skrzywiły, lękał się być odgadniętym — i rzekł cicho:

— Zobaczymy! Ale kiedy kilka osób się godzi na jedno... trudno się opierać...

Znowu tedy z największą łatwością otrzymało postanowienie marszałkowej sankcyę powszechną. Szło jej wszystko jak po maśle — książę, który trzecią muszlę wypróżniał, spojrzał na nią z porozumieniem, jakby jej chciał powinszować.

Moryś jednak do wieczoru pozostał smutny i zamyślony, co marszałkowa spodziewała się przy pierwszem spotkaniu sam na sam rozpędzić.

W domu skupiało się wszystko około ukochanej Felicyi, jej służyło... nią żyło. Leon był rozmarzony szczęściem swojem, a że oprócz tego miał przed sobą świat nowy do zdobycia, i codzień prawie z pomocą księcia znajomości zawierał arystokratyczne, pochlebne dla siebie, że wszędzie go doskonale przyjmowano i czuł się jakby urodzony do tych ludzi, z którymi stał na równi wykształceniem, formami, intelligencyą, i jeśli nie imieniem, to majątkiem, który je zastępuje — nic mu do szczęścia nie brakło. Był on z tych ludzi, którym pozorów starczy, i co głęboko nigdy nie sięgając w życie, prześlizgają się po jego powierzchni.

Wszyscy byli tu szczęśliwi — można powiedzieć — najmniej jednak Maurycy. Coś mu powiadało, jakiś głos wewnętrzny odzywał się w nim, oznajmując mu, że był na fałszywej drodze. Niepokoił się, wahał — położenie swe widział, jakiemś niepewnem, bez wyjścia...

Ta chmura na czole jego nie uszła baczności Leosia, który ją przypisywał innym może powodom. Przy pierwszej zręczności, gdy się tegoż dnia wieczorem zeszli sami w pokoju Leona — zaczepił go.

— Słuchaj Moryś — mnie się zdaje — tobie tak z oczu patrzy, jakbyś ty z czegoś był nie rad, niespokoił się czemś. Mów mi szczerze... po bratersku.

— To ci się wydało! odparł Maurycy — nic mi nie jest. Nieoswojony jestem z mojem i naszem nowem położeniem — potrzebuję sobie z niego zdać sprawę... Więcej nic... Miałem jechać — nie jadę... Interesa...

— A! interesa! przerwał Leoś — jakież my mamy interesa! Pieniędzy dosyć — zawikłań żadnych...

majątki zagospodarowane. Mało ludzi w tak szczęśliwych jak my znajduje się warunkach...

— To prawda — rzekł Maurycy — ale...

— Bez żadnego ale, Morysiu — dodał Leon... Ja ożeniłem się z miłości, ty powinieneś tu, korzystając z położenia, z majątku... ze stosunków, ożenić się dla... familii, To jest myśl moja.

Maurycy rozśmiał się ruszając ramionami.

— Ja się wcale nie myślę żenić...

— Znajdziemy ci księżniczkę — dodał Leoś, wesoło zapalając się. Słowo ci daję. To wchodzi do naszego programu. Ja jeszcze o tem nie mówiłem nikomu — ale mam swój program... Rodziny się podnoszą nie samym majątkiem, ale kolligacyami i stosunkami... Ty się musisz ożenić tak, abyśmy w świat oba weszli *de plein pied*...

— Dajże mi pokój! — rzekł Maurycy markotno...

— Nie będę naglił — zobaczymy, napatrzymy, trafić się coś musi... Naówczas... o! Morysiu drogi, ty to dla familii uczynisz...

Począł chodzić żywo po pokoju...

— Jesteśmy na doskonałej drodze dojścia do honorów, do stanowisk, do wpływu, do zrównania się z najpierwszemi w kraju rodzinami. Głupibyśmy byli, nie korzystając z tego...

— Do czegoż to nas doprowadzi? spytał Maurycy obojętnie.

— Do pozycyi Potockich, Lubomirskich *e tutti quanti* — do najwyższych dostojeństw, do tego co jest celem szlachetnych żądz...

To co marzę, jest zupełnie możliwe, ale z twoją pomocą...

Tymczasem — milczmy...

Zamyślił się Maurycy — mało miał ambicyi w istocie... Projekt sekretny Leosia, o którym nikt dotąd nie wiedział oprócz niego i Felicyi, był po

części jej myślą. Ona miała jeszcze może więcej tej ambicyi i pragnienia blasku, niż mąż; lecz mężowi wmawiała co chciała. Jej pocałunek był najsilniejszym z argumentów...

Gdy się to działo w pałacu nowożeńców, hrabia Teofil wyszedłszy od nich w najwścieklejszym humorze, rozdrażniony, zazdrosny, upokorzony, gniewny, nawet dnia następnego nie mógł się jeszcze uspokoić. To co widział, raziło go, szukał stron ujemnych, śmieszności — *le défaut de la cuirasse*, tego szalonego szczęścia, i nie mógł go znaleźć... Ci ludzie mieli więc wszystko — on — malał przy nich... nie dorobił się nic... Gniewał się na los, na siebie — a — nie wiedzieć dla czego, na marszałkową i na księcia.

Trzeciego dnia Augustulus zawsze niezmiernie grzeczny, oddał mu wizytę.

Hrabia Teofil miał w Warszawie stałe mieszkanie przy Mazowieckiej ulicy, w jednym z najpiękniejszych domów na piętrze... Dotąd uchodziło ono za jedno z najgustowniej urządzonych w Warszawie; teraz nikło i gasło przy pałacyku Czermińskich... Sam właściciel widział, że jego przepych czuć było tandytą, pierwszorzędnym hotelem, czemś oklepanem i trywialnem. Wróciwszy do domu, rażony był tą fizyognomią appartamentu swojego, któremu jedne tylko starożytności porozstawiane i porozwieszane, z pewną artystyczną fantazyą, dodawały oryginalności. Ale i te — niestety! — czuć było tandetą. Był to *bric à brac* amatora nie znającego się bardzo na tych przedmiotach i chcącego zaopatrzyć się tanio. Oprócz kilku przedmiotów nabytych w Paryżu, cacka te dosyś były liche i pospolite. Kamerdyner, liberya, mieszkanie, wydały mu się — nieznośnemi.

Chodził długo po pokojach, walcząc między skąpstwem i obawą, a ochotą wielką pokazania, że i on miał gust i pieniądze...

Rachował swe zasoby: — Gdybym przypuśćmy, sto tysięcy rubli włożył w kawalerski mały domek i uczynił go pieścidełkiem? nie zrujnowałbym się przez to...

Myśl ta ćwiekiem mu się w głowę wbiła... Przypominając pałacyk, nie mógł nie pomyśleć o Felicyi, uroczo ładnej. Twarzyczka jej zrobiła na nim wrażenie, które rosło z każdą chwilą... Gorączkowo począł sobie wyliczać wszystkie piękne panie warszawskie... które... które... nie były nazbyt okrutnemi. Zdało mu się, że mógłby być Don Żuanem...

Jak do tego doszedł — sam nie wiedział — a męczył się tem... Gryzła go zazdrość ze wszystkich stron napastując. Leoś był ładny chłopak, lecz i on siebie znajdował niebrzydkim, a z krótkiej rozmowy przekonał się, że co do wykształcenia i głowy, Leoś z nim walczyć nie mógł...

Nie wychodząc z domu, gryzł się tak aż do przybycia Augustula. Wuj zastał go w gabinecie bezczynnym, z cygarem w ustach, chmurnym... Przywitanie było zimne...

— Jakże się ty masz? odezwał się wuj — boję się czyśmy cię nadto nie zmęczyli tamtego wieczoru, chwaląc się szczęściem naszem. Przychodziło mi na myśl nawet, że przed starym kawalerem jak ty, było okrucieństwem popisywać się tak z obrazem domowego szczęścia...

Krzywo się uśmiechał hr. Teofil.

— W istocie, rzekł — pani młoda jest tak cudownie piękna... że pozazdrościć można mężowi...

Umyślnie to rzucił, wiedząc, że książę powtórzy, i że — to się przydać może... choć później.

— Ba — a pałacyk? spytał wuj.

— No,.. pałacyk — odparł Teofil — zapewne śliczny — ale... podlega krytyce jak wszystko na świecie.

— Ah! *par exemple!* porwał się książę... wyzywam ją.

— Jest po prostu nadto piękny — odezwał się Teofil.

— *La mariée est trop belle!* dorzucił wuj.

— Tak — zbyt przeładowany, przeciążony ozdobami, nazbyt wypieszczony. W końcu — mówił Teofil — nic nie robi effektu, bo jedno drugie głuszy i przyćmiewa. Oślepionym się wychodzi i zmęczonym. Pretensyi dużo — za nadto.

Książę ramionami ruszając powiódł szydersko oczyma do koła... Zrozumiał to Teofil.

— Wiem co wujaszek chcesz powiedzieć, podchwycił — uśmiechasz się z mojej kletki, ale to przecie nie dom... tylko schronienie — *pied â terre.* Gdybym dom stawił, umiałbym go też uczynić smakownym...

— Więc spróbuj! rozśmiał się wyzywająco wuj.

— Nie wiem, być może! odpowiedział obojętnie Teofil. Toby mnie może zabawiło — a nudzę się...

— Czemuż się nie żenisz?...

— A, wolę się jeszcze nudzić, niż męczyć — rzekł Teofil.

— Sądzisz więc...? pytał książę.

— Sądzę, że wuj zna moją teoryę, bo ja od wujaszka nauczyłem się budowania teoryi na każdy wypadek.

— Twej teoryi nie przypominam sobie.

— Jest bardzo prosta i zaczerpnięta z doświadczenia. Na sto małżeństw, dziewięćdziesiąt dziewięć — ma trzy miesiące szczęśliwe... Następują małe nieporozumienka, znużenie, i kilkadziesiąt lat pokuty za dziewięćdziesiąt dni problematycznego szczęścia...

— Jest nieco przesady w rachunku — po namyśle począł wuj. Więc mógłbyś się żenić inaczej, wyliczywszy się z awantażami i bez złudzeń...

— Mam na to czas — rzekł spokojnie Teofil. Nim zaś to nastąpi, wolę patrzeć na cudze żony i ich się widokiem napawać...

— To coś podobne do tych biedaków, którzy przed Chevetem stoją u okna i razowy chleb jedząc, oczkują z ananasam.

— *Possible...*

Po tym wstępie książę, który zmiarkował, że już kwasu dosyć wlał w duszę Teofilowi, postarał się w dalszej rozmowie dopomódz, aby fermentował... Wychwalał więc Czermińskich — a w końcu zapraszał w ich imieniu kuzyna.

Czy się książę umówił z Leonem, czy przypadkiem się tak złożyło, w chwili gdy siedzieli jeszcze gawędząc, służący przyniósł kartę Leona i Maurycego Rawiczów-Czermińskich.

Niepodobna było nie przyjąć, choć hr. Teofil niemal się wstydził swojego salonu, spłowiałych mebli i mieszkania. Wyszli naprzeciw nich z księciem, a przechodząc hrabia miał przyjemność przez okno rzucić okiem na ekwipaż czystej krwi dwoma siwemi końmi zaprzężony, którego woźnica w czarnej liberyi, butach ze sztylpami, wyelegantowany, z wielkim szykiem siedział na koźle karetki, którąby na półce było postawić można, tak ślicznie się przedstawiała...

Leoś i Maurycy przyjemnie byli zdziwieni, zastając tu księcia... Hrabia musiał udawać wesołego, a był zły... aż mu ręce drżały... Nie omieszkał co najrychlej sam wytłómaczyć mieszkanie kawalerskie, niesmaczne, tem, że mu tylko niekiedy jak zajazd służy...

Leoś zaś, mający wszystkie pańskie gusta, a bardzo mało znajomości rzeczy, okazał się przeciwnie

zachwycony starożytną bronią, etruskami, zbrojami i całą tandetą rozwieszoną i rozstawioną u hrabiego.

Teofila uradowało to, iż mógł w czemś okazać swą wyższość i znawstwo. Z niesłychanem zuchwalstwem i blagą począł tłómaczyć te swe mniemane skarby, nadając im niezmierną wartość i napomykając, że się na te rzeczy rujnuje.

Książę się uśmiechał z boku, usta do góry wykręcając, i mruczał coś.

Teofil nie zważał nań...

— Przyznam się hrabiemu — że na tych rzeczach się jeszcze nie znam; ale czuję, że mógłbym do nich nabrać passyi. Zachwycają mnie! Dziś już tego smaku nie mamy!

Starożytności uratowały hrabiego Teofila i humor mu poprawiły. Dwaj bracia unosili się nad niemi i wizyta się przedłużyła...

Leoś wreszcie zapraszając najmocniej hrabiego, aby o domu jego nie zapominał — tymczasem na obiad niedzielny go wezwał... Wymawiał się hrabia z razu, książę nastawał, i przyrzekł...

Razem z księciem pożegnali gospodarza. Ponieważ karetka miała siedzenie na przodzie, książę się do niej chciał zabrać. Zaledwie siadł nie mógł wytrzymać.

— Nie wiedziałem, że Leoś także chce na antykwarza chorować... ale moje dziecko... Teofil jest skąpy — gdy ci przyjdzie ta fantazya, za parę tygodni będziesz miał dziesięć razy piękniejsze rzeczy. Tam nie ma nic osobliwego...

Leonowi szło może o podobne zabytki dla tego, że one wchodziły w modę i dowodziły pewnego wykształcenia i smaku. Znajdował więc, że niepodobna się obejść bez tych rzeczy... człowiekowi z gustem...

— Będziesz je miał — szepnął książę... Sam hrabia gotówby ci swoje posprzedać, ale cię obedrze... Lepiej ich szukać gdzieindziej.

Na obiad proszony przybył hrabia Teofil z zupełnie zmienioną fizyognomią i usposobieniem, strojny i w wybornym humorze... Cały był w komplementach dla Felicyi, ku której się nie krył z uwielbieniem, co jej pochlebiało, a mąż był mu wdzięczny. Kwaśny humor zupełnie znikł bez śladu. Jakby z projektu przylgnął do Maurycego, pokochał go, rozruszał, spoufalił, i pod nie wiem jakim pozorem zaprosił go na skromny obiadeczek kawalerski.

Konszachty te z Morysiem nie podobały się marszałkowej, nie w smak były księciu, ale mrugali napróżno. Maurycemu pochlebiała ta przyjaźń i spoufalenie — i po raz pierwszy oburzył się nieco, że chcą nim jak dzieciakiem kierować...

Gdy po wyjściu hrabiego, nadbiegła marszałkowa niespokojna i poczęła badać winowajcę, wyznał jej śmiało, że mu się hrabia podobał, i że z przyjemnością przyjął zaproszenie na obiad. Marszałkowa wpadła w bardzo zły humor. Nie obawiała się napróżno: — wiedziała, że hr. Teofil, więcej dla tonu, niż przez fantazyę, miał stosunki różne z pięknemi paniami z baletu...

Poczęła więc, z góry uprzedzając Morysia, nastawać na zepsucie i bezwstydy młodzieży, i dała do zrozumienia, aby się miał na baczności, nie dając wciągnąć w towarzystwo nieprzyzwoite, bo tegoby mu nigdy nie darowała.

Maurycy, który pojęcia nie miał, ażeby płoche miłostki pokątne mogły służyć do popisu — objawił niewiarę w to, by hrabia mógł się dopuścić... zwierzania się z nich przed obcym...

W ogóle książę i pani Falimirska tego wieczoru malując hrabiego kuzynka, przyznając mu zalet wiele,

ubrali go jednak tak, aby nieufność obudzić względem niego. Marszałkowa złym przeczuciom obronić się nie mogła... Maurycy jednak milczący, trwał w postanowieniu dalszego pielęgnowania miłej znajomości...

Na przekór matce, Felicya tego dnia bardzo dystyngowanym i przyjemnym znajdowała hrabiego, a Leoś trzymał jej stronę.

Hrabia od razu z Morysiem przybrał ton poufały i nieco protekcyonalny. Wiek, tytuł — wszystko go do tego upoważniało.

Gdy o naznaczonej godzinie Moryś wszedł we fraku i białych rękawiczkach, hrabia idący na jego spotkanie w surducie, zakrzyknął — wyrzucając mu niepotrzebne ceremonie.

— Zmiłuj się, panie Maurycy — obiad — kawalerski, we dwóch, i to jeszcze w restauracyi, bo w domu nie mam teraz kucharza... Ale nie lękaj się, zjemy u Bouquerelle'a i nie struje cię...

Chciałem, dodał — przez litość wyciągnąć cię z jednostajności tego życia, jakie musisz znosić, patrząc na dwoje ludzi szczęśliwych, tylko sobą zajętych... To niezabawne. Książę mój wuj, na starość pedantycznym się stał — marszałkowa sztywną... Przynajmniej się swobodnie pośmiejemy — i — ja jestem i czuję się w obowiązku trochę was wtajemniczyć w życie warszawskie... Po obiedzie na czarną kawę i cygara zaprowadzę cię do Pepi...

W prostocie ducha Maurycy to imię wziął za nazwanie kawiarni lub cukierni...

U Bouquerelle'a dano im osobny gabinet, hrabia starannie ułożył *menu*, kazał wino w lód wstawić, zmusił Morysia, bo było gorąco, żeby frak

zrzucił — i wesoło rozpoczął gawędkę... Nie lubił on pieniędzy wydawać na podobne obiadki, ale gdy raz widział potrzebę — umiał przyjmować po pańsku...

— W tym waszym paradnym pałacu — odezwał się — musi być kolosalnie nudno... Szczęściem pan nie jesteś obowiązany dosiadywać tam tak wiernie... a ja mu pomogę poznać się z Warszawą...

Moryś nieco był zmieszany: przychodziły mu na myśl wczorajsze przestrogi. Hrabia ciągnął dalej:

— Książę, marszałkowa... wszyscy się dostrajają do przepychu i elegancyi waszego domu, i jak marmury waszych kominków sztywnieją.

Marszałkowej poznać nie mogę... Jest to dla mnie z wielu względów istota niepojęta. Najprzód dziwnie bo umiała zachować świeżość i piękność. Wiesz pan ile ma lat?

Moryś się zarumienił mimowoli.

— Ja panu powiem, bo ją znam od wieków, wiem w którym roku za mąż szła... Dałbyś jej lat trzydzieści kilka — nie prawdaż...?

Otóż ma, akuratnie czterdzieści i trzy...

Dawniej była miła, zalotna, wcale nie sroga... Książę wujaszek cośby o tem mógł powiedzieć...

Maurycemu zrobiło się dziwnie, oczy spuścił, bladł.

— Ale — cóż znowu? bąknął...

— Ja należę do familii — możesz mi wierzyć, że wszystko znam z blizka... Cóż to znowu tak strasznego! Nie ma się czego wstydzić... to są rzeczy naturalne i w porządku... Co dziwniejsza, że dziś taka się zrobiła drażliwa na najmniejsze słowo — *pour rire*.

Ruszył ramionami... Podawano właśnie zupę, hrabia zajął się gospodarstwem, Maurycemu ciągle w uszach brzmiało: „Lat czterdzieści i trzy“ — i — „Książęby o tem coś mógł powiedzieć“... Dwa noże

wbite w piersi nie takby go może zabolały; cierpiał a nie śmiał ani okazać bolu, ani zaprzeczać tym jak mu się zdało — potwarzom.

Obiad powoli podawano, mieli więc czas ro mawiać długo, a wino, które pili, rozwiązało usta Maurycy powiedział sobie, że mógłby być śmieszn gdyby nie umiał podzielać swobodnej wesołoś swego towarzysza, który ciągle niemal o kobieta mówił...

Wśród różnych opowiadań, hrabia umiał nad zręcznie wśliznąć coś o marszałkowej, coś o w jaszku, coś o przeszłości, niekoniecznie z teraźnie szością idącego do pary. Był niby czuły dla nic ale sarkazmu nie szczędził.

Zdawało się, że miał na celu rozczarowan Morysia, i zdjęcie mu z oczu zasłony. Biedny ch piec męczył się, nie wierzył, wahał — w końcu ś snęło mu się serce i słuchał już obojętny...

Gdy dojadali deseru, zaczęło powoli zmierzch Służący zapytał, czy ma podać czarną kawę? H bia się zerwał protestując. „Pojedziemy do Pepi zawołał.

Po szampańskiem winie był w humorze wybo nym; lecz że wino zawsze usposobienia każdego p tęguje i uwydatnia — stawał się coraz złośliwszy — Idziemy do Pepi — rzekł biorąc pod rękę M rysia... Spodziewam się, że się domyślasz, kto mo być Pepi... Jestem kawaler... byłbym śmieszny, g bym nie miał jakiejś choć jednej Pepi, dla zabi czasu, dla fantazyi. Inni ich miewają po kilka... l fant to kosztowny...

Moryś nauczony kto jest Pepi, z razu zmies się jako wieśniak, nie wiedział czy mu wypada pr jąć zaproszenie, zląkł się kompromitacyi, zawah Wino szumiało mu w głowie i dodawało odwa Chciał okazać, że jest na wysokości obyczaju

wszechnego — że się niczego nie lęka. Cóż mogło zresztą być za niebezpieczeństwo w chwilowem odwiedzeniu jakiejś Pepi?

— Pepi robi czarną kawę jak nikt... mówił hrabia... a *chasse-café* mam tam zawsze i cygara w szafeczce... Likwor zamykam, boby mi z przyjaciółkami wypiła. Nie mogę nawet ręczyć czy mi szafki nie otwierają.

Rozprawiając wesoło, przyszli na Bielańską ulicę. W oknie pierwszego piętra jednego z ładniejszych domów widać było na poduszce wsparte, dwie jakby dla kontrastu z sobą zestawione śliczne twarzyczki, całe oblane, obwieszone włosami. Blondynka złocista była jedna z niebieskiemi oczyma; druga z brwiami silnie zarysowanemi, typ wschodni, brunetka kruczo czarnemi lokami okryta. Trzymały się ręce sobie ułożywszy na ramionach jakby umyślnie dla utworzenia obrazka, wiedząc doskonale, że im tak ładnie będzie, i że idący ulicą, będą się im przypatrywali i uśmiechali...

Blondynka miała wyraz figlarny razem i melancholiczny — choć się to trudno godzi z sobą; widać w niej było żyjącą głową i fantazyą istotkę kapryśną. Odrobineczkę miała zadarty nosek, a usta maluśkie wiśniowe, wydęte niby pogardliwie, niby żartobliwie, niby gniewnie...

Bawiła się kwiatkami, które trzymała w ręku, brała w usta, i pogryzłszy rzucała na ulicę... jakby mówiła mężczyznom: — Podobny los i was czeka...

Brunetka siedziała zamyślona, poważna, niemal surowa... oczy swe czarne, wielkie, błyszczące wlepiając jakoś dziwnie w przedmioty... Nie było w nich wiele myśli — ale coś poplątanego jak zagadka... Rzekłbyś, że nie umiała patrzeć i cudze pożyczyła źrenice. Twarz zresztą, ręce, popiersie miała pięknego rysunku, przypominającego Transteweranki... Blon-

dynka się ruszała i rzucała, ta stała wsparta, nieruchoma — niby myśląc o czem innem.

Hrabia zobaczywszy dwie panienki, które w tej chwili także go poznać musiały i nagle od okna uskoczyły, rzekł Morysiowi:

— A! ślicznie, Pepi ma gościa — nie będzie nam nudno...

Wtem z okna szybko wyjrzała główka blond, dla przekonania się, czy panowie ci zmierzają do bramy, i natychmiast się cofnęła...

Szli już po wschodach, a u góry przez drzwi słychać było rozgłośne śmiechy i bieganie...

Hrabia Teofil, który miał klucz w kieszeni, usiłował otworzyć drzwi; ale drugi klucz był z przeciwnej strony w zamku — zaczął więc się mocno dobijać. Ze śmiechem, osłaniając się ogromną chustką, otwarła blondynka, zmierzyła oczyma obu, i zawołała — głosem jak być mógł najmniej czarującym, intonacyą niesłychanie ludową:

— A tożeśmy były het — porozdziewane! ja i Fanny...

Mowa dowodziła, że piękne panny należały do świata... który do dystynkcyi najmniejszego nie miał prawa.

— A że też graf zawsze wali we drzwi, co się w domu gniewają... i Bóg wie co sobie o mnie myślą.

Wchodzili. — Hrabia przedstawił Maurycego...

— Panna Pepi Żuczek... pan Maurycy mój przyjaciel... świeżo ze wsi, i pięć albo sześć razy bogatszy odemnie...

— Et! co bo znowu! czerwieniąc się odezwała Pepi zamykając drzwi z łoskotem. Hrabia już szedł przodem, zostawiwszy za sobą Maurycego i Pepi, i szukając czarnej Fanny, która udrapowana w szal

stała w saloniku... dosyć nieporządnie utrzymywanym i gałgankami zarzuconym.

Pepi czując się w obowiązku zawiązać rozmowę z gościem, szepnęła cicho:

— Graf jest niedelikatny, że — jak Boga kocham... aż fe... I tak sobie pozwala... słowo honoru... co nie może być...

Usta, które to mówiły, śliczne były; oczka co na Morysia patrzały, śmiały się jak dwie niezapominajki; panienka była zgrabna i miluchna — ale głos, ale mowa — ale ruchy — przypominały Maurycemu straszliwie macierzyńską garderobę.

— Jak się ma śliczna Fanny! mówił wchodzący hrabia do oczekującej na przybycie towarzyszki Pepi. Prezentuję pani mojego przyjaciela, od niedawna w Warszawie i pozbawionego tu wszelkich znajomości. Byłby do wzięcia, ale jest surowych obyczajów... Proszę się nie zbliżać.

Fanny parsknęła śmiechem, niewiele przyjemniejszym od głosu Pepi.

— Co pan zawsze nie wygaduje! rzekła ramionami białemi ruszając.

Hrabia bez ceremonii siadł na kanapie, miejsce przy sobie wskazując towarzyszowi.

— Pepi, moja kochana, śliczna — rzekł: chcę ci zrobić reputacyę. Obiecałem panu Maurycemu, że nam dasz takiej kawy, jakiej w życiu nie pił...

Duma pięknej Pepi obruszyła się na to wezwanie przy obcym.

— Co to ja — kucharka czy kawiarka? czy tam jakaś młodsza... żebym całemu światu kawę robiła?... A to mi proszę!

Zdawała się oburzoną okrutnie; hrabia z zimną krwią to przyjął.

— Jeszcze czego nie stało! wołała Pepi rzucając się i chodząc po pokoju...

Fanny ją pogłaskała pod brodę.

— Jakie ty dziecko... wstydź się! Daj przyrząd do kawy... to ja zrobię...

Nastąpiło milczenie.

— Ona się przegniewa i będzie gościnną, rzekł hrabia.

Jakoż po chwili Pepi zawołała na służącą. Weszła dziewczyna przysadzista, chustką okryta, czerwona, złego humoru...

— Podać mi wszystko do kawy. I klucze! gdzie klucze?

— Albo ja wiem gdzie panna zawsze rzuca klucze?... ofuknęła sługa.

Fanny poczęła śmiejąc się chodzić po pokoju i po stolikach i sprzętach niby kluczów szukać. Umiała to zrobić tak, by zręczne ruchy okazać i pochwalić się kibicią swą i rękami.

— Pepi — mówił tymczasem głośno hrabia — najlepsze stworzenie w świecie, ale ma takie humorki czasami. To przechodzi...

Fanny siadła naprzeciw tych panów.

Starsza od Pepi, łagodniejszego charakteru, grzeczniejsza, poczęła się przypatrywać Maurycemu.

— Pan istotnie ze wsi? spytała go. — Ja tu nigdzie jeszcze pana nie widziałam, ani w Szwajcarskiej dolinie, ani w teatrze... ani na koncertach. Pan dawno przybył?

— Przed kilku dniami — odparł Moryś zmieszany, zimno.

— Ja panów do siebie zapraszam na kawę; chcecie panowie? doprawdy? Obu...

— A cóż powie twój pułkownik? spytał hrabia...

— Co za pułkownik! Wstydź się pan! Jużci gdybym chciała,. tobym sobie przynajmniej generała wzięła... odezwała się Fanny.

— Generałowie zwykle są starsi...

Fanny ruszyła ramionami...

— Pan wie, rzekła zwracając się do hrabiego, że ja teraz bardzo ślicznie mieszkam... Proszę sobie nie żartować — w Skwarcowa domu, na dole... To nie to co na Bielańskiej.

Pepi rzucając się i gniewając, robiła jednak kawę...

Rozmowa nie szła... To co posłyszał Moryś, niezmiernie go rozczarowało. Wystawiał sobie czarodziejskie owe istoty, owe zakazane owoce, przyodziane w cały urok dowcipu, wdzięku, artystycznego wykształcenia, a znajdował je tak nieokrzesanemi, iż nie mógł pojąć, jak człowiek lepszego wychowania zabawiać się mógł w ich towarzystwie...

Rozmowa wszczęła się o teatrze. Panie te rzuciły się na zakulisowe intrygi, i zaczęły opowiadać niestworzone rzeczy o swych towarzyszkach... Wszystko to niezręcznie było niby osłonione, a niesmaczne i wstręt obudzające...

Ale Pepi — mimo to — była śliczna, temu zaprzeczyć nie było podobna. Nieokrzesany ten dyament na obrazie artysty mógł przedstawiać ideał, w rzeczywistości przerażał okrutną sprzecznością formy z duchem, która stanowi jedną z najtragiczniejszych stron życia... Fanny mniej była rażąca, bo się więcej hamowała w słowach...

Obie one uczyniły przykre na Maurycym wrażenie.

Pepi — która długo w złym humorze być nie umiała i przechodziła z niego do wesołości i śmiechu z łatwością nadzwyczajną — z powodu rozbitego spodka od filiżanki parsknęła i zaczęła w głos śmiać się i zachodzić ze śmiechu bez przyczyny... co jej nawet nie było do twarzy. Nie mogła się pohamować, przestawała i na nowo parskała; ale że Fanny jej nie dopomagała, ustała w końcu, zrobiła minkę nadąsaną i pochmurną. Kawa podana wreszcie nie była wcale tak doskonała, jak ją zapowiedziano...

Hrabia nie mówił nic... poszedł do drugiego pokoju po likwor, wyniósł kamionkę — ale w niej nie było kropli.

Znowu tedy śmiech porwał Pepi.

— Prawdziwie powiadam, sam zawsze wypije, a potem historye wyprawia, że — nie wiedzieć co...

Pobiegła do drugiego pokoju Pepi, ale *chasse-café* się nie znalazło. Trzeba się było obejść bez niego...

Fanny spojrzała na przyjaciółkę, mówiąc jej oczyma:

— A widzisz — nie powiedziałam ci?

— Słowo honoru daję — dodała Fanny, — że ja likworu w usta nie biorę — i nie piję go nigdy.

— Ani ja! jak mamcię kocham! zaśmiała się Pepi — i mrugnęła oczyma. Albo ja wiem co się z nim robi? może wysycha! Znowu śmiechem parsknęła, i wnet bardzo seryo minkę nastroiła, prawie smutną.

— Pan był już na balecie? spytała nagle Maurycego.

— Dotąd nie.

— Proszęż przyjść mnie zobaczyć w „Weselu w Ojcowie," ale bardzo proszę. Dopiero pan się przekona, że grafowi wstydu nie robię. Ale... graf strasznie skąpy... Jak mamcię kocham, słowo honoru, że tak skąpego opiekuna świat nie widział...

Hrabia głową poruszył.

— A ta bransoletka? ażem płakała — mówiła Pepi — słowo daję, głupie pięćset złotych. Widziana to rzecz, kiedy taki żaden ani graf, ani pan, prosty kommissant z kantoru kupił ją dla Tereni. Myślałam, że się ze wstydu spalę, bom wszędzie rozgadała, że ją mieć będę, a Terenia na złość mnie, w pik namówiła swojego — no — i kupił. Aż pfe!

— Ty mi tej bransoletki widzę nie możesz zapomnieć — rzekł hrabia z flegmą. Ja też mam swoje

fantazye, mnie się ona nie podobała, i chciałem cię wypróbować.

— Piękna mi próba, com ją łzami oblała szepnęła Pepi.

Fanny, która wiedziała o tem, że ma bardzo piękne ramiona, ruszyła niemi znowu. Spadała z nich naówczas chusteczka i poprawiała ją, a gdy z jednej strony osłaniała się, odsłaniała drugą. Manewr ten, któż wie, może na intencyę przybysza przedsięwzięty, nie uczynił na nim najmniejszego wrażenia.

Fanny zaczęła nócić pół-głosem.

— Pan wie — odezwała się do hrabiego — że ja w chórach w operze śpiewam? Wszyscy mi mówią, że gdybym pobrała lekcye — byłaby ze mnie druga — jakże się ona zowie? — Nil... Nil...

— Nilson — podszepnął hrabia.

— A tak Nilsonówna... dokończyła Fanny — i zanóciła znowu, a śpiewała fałszywie...

Fortepianik stojący w kątku, na którym leżały dwie serwety zmięte, dowodził, że i Pepi muzykalna być musiała...

— Śpiewać, jak śpiewać — odezwał się hrabia — ale gdyby z pań która chciała nam skoczyć z gracyą.

— Jeszcze czego! podchwyciła Pepi — zapewne... Widzisz go!

Propozycya w gniew ją wprawiła; odwróciła się od stołu...

— Prawdziwie mówię, że to jest już nie do wytrzymania... krzyknęła...

Maurycy przysłuchywał się z przykrością, hrabia palił cygaro obojętnie.

— Coś mi moja piękna Pepi dziś nie w humorze, rzekł w końcu — pragnąłem się nią pochwalić przed przyjacielem, a najgorsze o niej poweźmie wyobrażenie.

— Ale niechże piękna Fanny poświadczy, dokończył — że moja Pepi...

— Co to jest moja Pepi! oburzona podchwyciła blondynka.

— Moja Pepi — powtórzył hrabia — bywa czasem słodką i miłą.

To mówiąc wstał z kanapy.

— Nie pozostaje więc nam nic więcej, tylko pokłonić się i uciekać...

Zdawało się, że Fanny rada ich była zatrzymać, upewnieniem, iż zły humor przejdzie — lecz Pepi siedziała zadąsana. I tak obaj panowie wstali żegnając owe piękności. Pepi grzecznie się skłoniła nieznajomemu, a protektorowi nawet nie kiwnęła głową. We drzwiach już zatrzymała go.

— Co to, proszę grafa, ma się znaczyć, żeby do mnie tak z przyjaciołmi przychodzić? To jest obrażające, ja tego nie mogę znieść — słowo daję. Tego nie bywało jeszcze — i ja na to nie pozwolę... Jak sobie pan chce... Ale — zapewne... mówiła ze wzrastającym gniewem — nigdy w świecie! To jest przecie niesłychana rzecz... Karczma czy co?

To mówiąc drzwi zatrzasnęła, a dwaj panowie znaleźli się wśród ciemności, która już w domu panowała. Wschodów wcale widać nie było — naprzeciw tylko czerwone światełko, jakby koniec zapalonego cygara, posuwało się ku nim od dołu... To cygaro, posłyszawszy szelest na górze, stanęło... Hrabia zapalał w tej chwili kieszonkową świeczkę, ale nim ona zapłonęła i oświeciła wschody, znikło i owo światełko, i ten, co je niósł...

Czy to był gość dążący na pierwsze czy na drugie piętro — odgadnąć było trudno. Oczy hrabiego napróżno go szukały.

Jeżeli hrabia Teofil miał zamiar obałamucenia swojego towarzysza i wprowadzenia go na drogę nieprawości — omylił się fatalnie. Moryś schodził ze wschodów uśmiechając się przez grzeczność i

chwaląc piękną Pepi — ale z niesmakiem i odrazą w duszy, która mu kazała przyspieszać kroku, aby i ten dom, i hrabiego porzucić co rychlej.

To mu się nie udało jednak gdyż hrabia przeprowadzał go niemal do drzwi pałacyku na Krakowskiem-Przedmieściu, usiłując zbadać wrażenie dzisiejszej wyprawy. Moryś był zamknięty, grzeczny i nie dał z siebie nic wyrozumieć, oprócz, że z tem co widział, wcale nie był oswojony.

Hrabia żegnając go serdecznie, dodał na ostatku wesoło;

— Zanudzisz się na śmierć z temi babami swojemi, które są gałgankami tylko zajęte... Trzeba świat poznać we wszystkich jego częściach składowych — no — i żyć, zamiast patrzeć jak drudzy używają. Adieu...

Maurycy, który zupełnie miał czas ochłonąć po obiedzie i ostygł w ciągu wizyty na Bielańskiej ulicy, zaledwie się ukazał w domu i marszałkowa usłyszała klucz jego obracający się w zamku pokoju sąsiedniego, natychmiast otworzyła swoje drzwi, przywołując go do siebie. Przeczucie jakieś czyniło ją niespokojną, obawiała się Teofila. Spojrzała badawczo w oczy Maurycemu, który spuścił je, nieco pomieszany,

— Cożeście to tak długo obiadowali? zapytała. Przyznaj się — ten niepoczciwy Teofil, musiał cię gdzieś z sobą zaciągnąć... O! znamy go!

Móryś się rozśmiał, kłamać nie miał ochoty, spowiadać się także — ale marszałkowa wciągnęła go do siebie. Czuła, że był jakiś ostygły i zakłopotany; ta przyjaźń z hr. Teofilem nie była jej na rękę.

— Chociaż to tak blizki krewny księcia — odezwała się żywo — ale ani książę go nie lubi, ani ja. Mam wstręt do niego. Fałszywy, zazdrosny...

złośliwy, skąpy... i ograniczony... Księcia, który był dlań prawie ojcem, co go kochał i pieścił — opuścił i usunął się od niego. Nie umie sam sobie urządzić życia, a drugich chce prowadzić...

Gdzieżeście byli? Przysięgnę, że wciągnął cię gdzieś w złe towarzystwo, w którem ma upodobanie.

Maurycy milczał...

— Jedliśmy u Bouquerelle'a — rzekł w końcu — obiad trwał bardzo długo...

— O! i przy obiedzie opowiadania — przerwała marszałkowa z gniewem: o mnie, o księciu... Niezawodnie... Byłby szczęśliwy, gdyby mu się udało zasiać między nami nieufność i niezgodę.

Wzięła Morysia za rękę...

— Proszęż cię, nie daj mu si uwodzić... Truciznę jad będzie sączył... Nie wiem prawdziwie na co książę się zbliżył znowu do niego. Gdzieżeście byli więcej? dodała — mów.

Maurycy się uśmiechnął,

— Przysięgnę, żeście gdzieś po obiedzie chodzili? ale — mówże.

— Trudno mi było odmówić zaproszenia na kawę do jakiejś przyjaciółki hrabiego — rzekł Moryś; lecz, proszę mi wierzyć, że wyniosłem z tych odwiedzin tylko niesmak i podziwienie, jak człowiek należący do lepszego towarzystwa w podobnych kątach brukać się może.

Z zaognioną twarzą, marszałkowa stanęła ręce załamując.

— Byłam tego pewna! krzyknęła gwałtownie. A prawdziwie — gdybyś miał ściślejszą przyjaźń zawiązać z tym... wolałabym już cię widzić na wsi.

Tak — ażeby to rozerwać — jedź lepiej na wieś. Gdy wrócisz, hrabiego tu nie będzie... Tak — powtórzyła — jedź.

Maurycy pokiwał głową.

— Niepodobieństwo jest, rzekł chmurno, tak z dnia na dzień zmieniać postanowienia. Kazaliście mi zostać — miałem więc siedzieć w Warszawie. Nagle każecie mi jechać. To się wyda dziwnie, lękam się...

— Lecz jedno się doskonale godzi z drugiem, poczęła marszałkowa chodząc po pokoju... Musisz jechać, aby oddać zarząd Malborzyńskiemu, widzieć matkę, wejrzeć w interesa. Nie baw długo, ja tymczasem się postaram pozbyć od nas Teofila...

Maurycy już milczał, ale te rzucanie nim widocznie mu ciążyło.

Falimirska chcąc naprawić dostrzeżone wrażenie, zbliżyła się czulej — przybrała twarz tęskną i melancholiczną... położyła rękę na ramieniu Morysia, i poczęła szeptać:

— A! w istocie sama nie wiem co czynić!... Tak! moje... przywiązanie do ciebie odejmuje mi rozum... Czuję niedorzeczność tej namiętności w moim wieku, i nie mogę jej zwyciężyć. Pragnęłabym was i dla siebie i dla was od wpływów szkodliwych ochronić... W tem cała moja wina... dla tego jestem tak nieznośnie napastliwa... śmieszna. Tak? nie prawdaż? śmieszna jestem.

Wyraz głosu pani Falimirskiej zmiękczył znowu Morysia, wziął ją za rękę, nie broniono mu się wcale, marszałkowa pochyliła się ku niemu i głowę położyła na jego ramieniu. Chusteczką otarła suche oczy... Scena stawała się czułą — zapomniano się trochę. Falimirska zdawała się być pod wpływem silnego uczucia. Moryś zapomniał i o czterdziestu i trzech, i o — księciu... Dozwolono mu dotknąć czoła, ust, i dopiero oprzytomniona niby pani, zaczęła się trochę wyrywać i bronić. Było to jednak mało znacznem, słabość przemagała... Moryś czule tulił strapioną, i oboje się mocno zapomnieli, gdy drzwi się otworzyły nagle i — wszedł książę.

Marszałkowa odskoczyła prędko, Maurycy się zmieszał niesłychanie... ale poczciwy książę nic a nic nie widział. Przynajmniej znalazł się tak, jakby był ślepy. Przystąpił do Maurycego śmiejąc się... Tymczasem marszałkowa wolnym krokiem odeszła w głąb nieco...

— A ja cię szukam po całym domu... rzekł książę... Widzę, że mnie marszałkowa uprzedziła i musiała wyspowiadać. Cóżeście z Teofilem robili do tej pory? hę?...

Marszałkowa się odwróciła z twarzą, na której nie było śladu pomieszania, ale tylko oburzenie.

— Właśnie usiłowałam w istocie dobyć z Maurycego... co robili z Teofilem. Tak jest wstydliwy, że mi ledwie na ucho śmiał wyznać...

— Pewnie byli u Pepi! podchwycił książę.

— Cóż to za Pepi? spytała Falimirska.

— A! córka tragarza! Blondynka, która winna baletnicze swe ukształcenie fantazyi starego pana radcy... Słyszałem, że to ma być równie głupie jak ładne stworzenie. Teofil chciał się pewnie pochwalić, iż miewa fantazye... Ba! ale gdyby przemyślna dziewczyna nie radziła sobie inaczej, Teofilby ją głodem zamorzył. On nawet rozrzutnym musi być — tanio!...

No — i cóż Pepi?

Maurycy ruszył ramionami.

— Wystaw sobie moje oburzenie! zawołała marszałkowa... Na pierwszym wstępie psuć młodzież... prowadzić ją do takich istot...

— Nie trzeba tego brać tragicznie — rzekł książę...

— Nie ma na to innego sposobu, tylko wyprawić Maurycego na jakiś czas na wieś — poczęła Falimirska. Teofil wyjedzie, stosunki się rozerwą.

Maurycy, który milczał dotąd — odezwał się w końcu:

— Ale niechże się państwo tak o mnie nie lękają, dzieckiem nie jestem i prowadzić się nie dam... a choć wieśniak... nie zasmakuję tak łatwo w tego rodzaju... sylfidach, jak panna Pepi...

— A! ba — ręczyć nie można — rzekł książę sentencyonalnie, wstawując zaraz teoryę. Człowiek ulega łatwo urokowi młodości, choćby ona nic nie miała nad ten wdzięk, jaki daje lat dwadzieścia. Złe towarzystwo ma drastyczną siłę pociągającą...

— Niechaj jedzie — poczęła marszałkowa — przecież interesa zdać potrzeba, matka sama... odwiedzić ją, donieść o nas, zabawić, to obowiązek. Niech prędko wraca — ale teraz lepiej, żeby wyjechał...

— Nie żegnając się... dorzucił książę. Powiemy, że coś nagłego wypadło. Macie słuszność: marszałkowa kochana za nas wszystkich rozumu i przytomności daje dowody.

I Augustulus w rękę ją pocałował.

— Jedź, kochany Maurycy — rzekł — ja się postaram, aby cię od Teofila uwolnić... Znajdziemy sposób na to...

I tak wnet po ogłoszeniu, że pan Maurycy zostaje — wieczorem zmieniono zdanie, uznając wyjazdu potrzebę. Po wieczornej naradzie z marszałkową, Moryś zapowiedział, że jechać musi...

Ubolewano powszechnie nad losem pani Czermińskiej wdowy... Żal, jaki okazywała po mężu, gruba żałoba, której zrzucić nie chciała, smutek jej, osamotnienie, nagle wzrastająca pobożność, już posunięta do najsurowszych praktyk, budziły dla niej poszanowanie i sympatyę ogólną.

Prawie nikt nie bywał w Rakowcach, ale ksiądz proboszcz, który niemal codzień dojeżdżał, opowiadał, że Czermińska jest niepocieszona, i że się smutkiem tym zagryza. Wiedziano dobrze, jakie było pożycie

przeszłe małżonków; wydawało się więc to tem dziwniejszem, tem godniejszem czci i szacunku...

Za duszę nieboszczyka odprawiały się co tydzień msze śpiewane w parafialnym kościele, mówiono o wspaniałym grobowcu, który się przyspasabiał... Panna Damianna opowiadała wszystkim, jak jej kuzynka niepomiernie męża opłakiwała, nie tając się z tem, że zdaniem jej wcale na to nie zasługiwał.

W istocie życie Czermińskiej upływało teraz prawie całe na nabożeństwie, postach, płaczu, milczących przechadzkach po salonie i rozmowach z Damianną o nieboszczyku. Niekiedy po długiem rozmyślaniu w salonie, znajdowała ją kuzynka przestraszoną, drżącą, zapłakaną, roznerwowaną tak niesłychanie, iż godzin całych potrzeba było, ażeby się uspokoiła.

Dwór, chociaż nieco zrestaurowany i przerobiony, mało się zmienił, a życie wcale prawie nie zostało ulepszone. Zanosiło się na to w początku; teraz Czermińska wymagała i nakazywała, żeby wszystko znów wróciło do tego stanu, jak było za nieboszczyka. Oszczędność dawna zaprowadzona została.

Panna Damianna lubiąca łakocie, napróżno starała się ukradkiem niemi osłodzić dni powszednie — Czermińska ich nie tykała nawet.

Rozmowa z nią coraz się stawała trudniejsza — twarz nawet przybierała jakiś wyraz dziwny, posępny, surowy, który i kuzynkę przestraszał. Obawiała się, aby to cierpienie nie przeszło w obłąkanie, którego czasem przybierało znamiona. Damianna znajdowała ją niekiedy stojącą u zamurowanych drzwi, które niegdyś prowadziły do sypialni — pamiętnej tragiczną sceną... Nieruchoma, z oczyma osłupiałemi... gdy ją kuzynka chwyciła za rękę, aby wyprowadzić z tego odrętwienia — budziła się z niego konwulsyami i krzykiem...

Proboszcz po kilka czasem godzin siedzieć musiał, starając się ją religijnemi uwagami pocieszać i ból jej łagodzić. On jeden może prostemi wyrazy wpłynąć na nią umiał. Pannie Damiannie udawało się rzadko rozerwać ją, mówiąc o dzieciach, o ukochanym Leosiu, o jego szczęściu, o świetnej przyszłości. Listy przychodzące z Warszawy czytano i odczytywano. Czermińska słuchając ich uspakajała się.

W jej usposobieniach dla dzieci zaszła jednak zmiana niespodziana. Leoś był zawsze dziecięciem ulubionem; lecz serce matki, jakby z poczucia dawniej zaniedbanego obowiązku, zwracało się ku Maurycemu. Niepokoiła się jego losem, dopominała się o nim wiadomości, pragnęła jego przyjazdu. Kilka razy przed panną Damianną i proboszczem wyraziła to życzenie, aby Moryś przy niej zamieszkał. Zdawało się, że chciała mu wynagrodzić dawną obojętność, że pragnęła spełnić ciążący obowiązek. Zresztą niewiele ją co obchodziło... O gospodarstwo, majątek, interesa nie zapytała nigdy...

Po pewnym przeciągu czasu niepokój, jaki miała o Morysia, zwiększył się drugim. Przypomniała sobie pana Łukasza, i zażądała koniecznie wiedzieć co się z nim dzieje.

Posłano do Zamoroczan, lecz tam wiedziano tylko, że po pogrzebie, zabrawszy co miał, nie mówiąc co z sobą zrobi, pan Łukasz się oddalił.

Niecierpliwa Czermińska uprosiła proboszcza, żądała nawet, aby urzędownie starano się dośledzić co się z nim stało... Pan Łukasz nie pokazał się nigdzie, nikt nie wiedział o nim. Znając wielką zręczność i przebiegłość Malborzyńskiego, proboszcz zaproponował, aby jego użyć do poszukiwań. Zgodziła się i na to pani Czermińska. Co dziwniejsza, choć nikogo nie widywała, zezwoliła na powołanie p. Aleksego do Rakowiec i sama go o to poprosiła.

Malborzyński, który rad był się wcisnąć wszę
dzie, a najbardziej do Rakowca, bo marszałkow
mu robiła nadzieję, że Czermińskich interesa obejmi
a to go do nich zbliżało — starał się dla biedn
wdowy być jak najpowolniejszym.

Przyrzekł śledzić, jeździć, wywiadywać się, wzią
się do tego gorąco bardzo, — i nic nie zrobił.

Nienawykły do zawodów, niecierpliwił się
wstydził p. Aleksy...

P. Łukasz był nie do wydobycia — znikł jakb
się zapadł w ziemię... Badano jego gospodynie, us
łowano po karczmach tropić drogę, którą się uda
z pogrzebu, na nic się to nie przydało. Pani Czer
mińska zaś tem uporczywiej, koniecznie chciała wie
dzieć o nim.

Niecierpliwiło to proboszcza, pannę Damiann
a zawstydzało Malborzyńskiego. Zyskał tylko na ten
tyle, że miał pozór do zajeżdżania czasem do Ra
kowiec; a tu, gdy go chwyciła panna Damianna
karmiła, poiła i swą wymową godzinami całem
zamęczała...

Musiał słuchać po kilkakroć powtarzanych hi
storyj, i drobnostkowo opisywanych wypadków z ży
wota Czermińskiego i jego żony. Usiłowała kuzynk
przekonać wszystkich, że wdowa nie ma racyi opła
kiwać człowieka, który ją zamęczał, że cierpienie je
było heroizmem, a ona świętą niewiastą.

Napróżno Malborzyński zaręczał, że jest o ten
najmocniej przekonany, że w to wierzy — star
panna dowodziła na nowo...

Bawiła tem i proboszcza — lecz ten nie ta
był powolny, czasem wprost odparł:

— Dajcie bo pokój, ja to dobrze wiem, już m
się to przez uszy przelało.

Proboszcza panna Damianna znajdowała gru
bianinem...

Tak płynęło smutne to wdowie życie w Rako-
wcach,.. Z rana modlitwy, potem rozmyślanie i łzy,
obiad skromny... odwiedziny proboszcza, modlitwy
znowu... paroksyzmy nerwowe i płacze. Nadchodzące
listy z Warszawy jedne tylko przerywały tę ciszę
ponurą. Pisywał zwykle dłużej Leoś, pisywała słów
kilka Felicya, która nigdy czasu nie miała, dodawała
wierszy kilka marszałkowa, a w końcu i Maurycy...
całował rączki matki.

Leoś niekiedy długiemi opisami bawił matkę,
malując jej swe szczęście, i anielską swą Felicyę.
Chwalił się stosunkami, wynosił pod niebiosa księ-
cia, pełen był czułości dla Falimirskiej. Nigdy się
nie użalał na nic; listy te tchnęły takiem uszczę-
śliwieniem, spokojem, nadziejami — iż pannę Da-
miannę swą jednostajnością nudziły. Czermińska
dziwiła się, że Moryś nie pisze — ale ten nie
miał o czem.

Spodziewano się go z razu z powrotem; potem
znowu list nadszedł długi, wykładający powody,
dla których go miano zatrzymać. Uznała ich słu-
szność Czermińska, ale nie kryła tego, że choć jedno
z dzieci chciałaby była mieć przy sobie...

Wkrótce po tym liście nadszedł inny, zapowia-
dający przybycie Maurycego.... Radość to sprawiło
wielką. Panna Damianna kazała zaraz pokój przygo-
tować dla niego... rachowano dni... zakłopotano się
przyjęciem. Ożywiła się nieco matka nawet...

Jednego wieczoru chodziła zadumana po salce,
wpół mroku, mówiąc pacierze, gdy zaturkotało...
panna Damianna wpadła oznajmując Maurycego, a
tuż za nią i on szedł, śpiesząc ucałować ręce matki,
która go pochwyciła, objęła w uścisku i długo nie
mogła puścić. Rozpłakała się mocno... Maurycy też
uczuł się poruszonym... Chcąc rozerwać i pocieszyć
matkę, począł zaraz opowiadać o szczęściu Felicyi i

Leona, o tem jak się tam cudownie urządzili, jak ich kochają wszyscy, jak świetnie występują... i t. p. Czermińska słuchała zadumana, nie zdając się rozumieć nawet... oczy miała wlepione w Maurycego, a gdy ten skończył, odezwała się nagle:

— Ale ty tu zostaniesz — ze mną...

Moryś nic nie odpowiedział.

— Chcę cię mieć przy sobie. Oni szczęśliwi, ty tam im niepotrzebny, a ja — sama...

Nie śmiał już w tej chwili o swych projektach dalszych mówić Moryś i umilkł...

— Jabym nawet chciała, żebyś ty mieszkał w Rakowcach — dodała... Takby było najlepiej. Leosia już nie wiem kiedy zobaczę... a ciebie chcę mieć...

Uścisnęła go znowu i rozpłakała się powtórnie. Przybycie syna o tyle było dla niej dobre, że zmuszona została się nim zająć, to ją od smutnych oderwało myśli.

Chciała aby Maurycemu było tu dobrze, aby mu nie zbywało na niczem, dowiadywała się o najmniejsze szczegóły... Nazajutrz nadjechał proboszcz, który w długiej rozmowie starał się wybadać przybyłego o pożycie państwa Leonowstwa. Świetnie je malował Maurycy bardzo... Proboszcz zdawał się nie podzielać entuzyazmu... Czermińska też mniej może się zajmowała teraz losem Leona, niż się spodziewano.

Dopiero w parę dni po przyjeździe, gdy znowu matka zaczęła badać Morysia, mógł się jej przyznać że ułożono było, aby powracał do Warszawy i interesa zdał na Malborzyńskiego.

— Ale po cóż do Warszawy? po co do Warszawy? odezwała się stara. Jakby to na wsi żyć nie można. Dojeżdżaj sobie do nich, a tu przy mnie mieszkaj. Na co zdawać na cudze ręce majątki? Leoś dużo

potrzebuje... ty też o sobie i przyszłości powinieneś pamiętać...

Nie chciał się syn sprzeciwiać i zamilkł. Drugiego dnia sama już matka go zagadnęła o przyszłość.

— Rób ty tam sobie co chcesz, rzekła: ja cię nie myślę przymuszać do niczego, lecz wolałabym, żebyś został na wsi. Ty jesteś stworzony do wioski — Leoś to co innego...

Obawiając się, aby się Maurycemu nie nudziło, w kilka dni znowu zaczęła mu wymyślać zabawy.

— Jedź bo gdzie, zabaw się i rozerwij.

Moryś odrzekł, że nie ma nikogo. Przypomniała sobie Czermińska, iż jej opowiadał o Wierzejkach, zaczęła go namawiać i zmuszać niemal, by do nich jachał koniecznie.

— Ale bo trzeba ci się rozerwać — to dom wesoły... ludzie uczciwi...

Proboszcz namówiony przez nią, zachęcał także... Maurycy, zawsze trochę dający sobą powodować, gdy mu razy kilka o tem wspomniano, dał się skłonić i pojechał.

W Wierzejkach nic się wcale nie zmieniło... Gdy nadjechał w porze przedobiedniej, zastał dwór pełniuteńki gości, gwar, śmiech, a w ogrodzie strzelanie do celu. To było powodem, że nikt nie posłyszał go nadjeżdżającego, i że jedną pannę Malwinę znalazł w ganku, która go rumieńcem i wesołą twarzyczką powitała.

— A! to cud! zawołała — czy się panu znowu koło, czy oś złamała?

— Nie... widzi pani...

— Cóż to za szczęście będzie dla wujaszka, który tyle razy o panu wspominał!...

I pobiegła wyprzedzając go... przez puste pokoje, do ogródka, gdzie wśród wielkiego hałasu, strzelano kulami do tarczy. Towarzystwo, po śniadaniu już

było bardzo ożywione. Sprzeczano się, zakładano, chłopcy nabijali broń i za każdym strzałem, to wiwaty, to śmiechy brzmiały. Podkomorzy w letniem ubraniu, spotniały, rumiany, rozjaśniony, ożywiony, zobaczywszy tak pożądanego gościa, strzelbę rzucił, by go powitać. Rad mu był niezmiernie.., Podkomorzyna za pamięć dziękowała; obstąpili go zaraz wszyscy: rezydenci, zwykli goście podkomorstwa, ci których już tu spotykał, ściskając, dopytując i okazując mu uprzejmość, jaka tu była rzeczą powszednią.

— Oto mi gość! to mi gość! powtarzał podkomorzy... prawdziwie niespodziany, prawdziwie życzliwy, że nas odwiedzić raczył. Cóż? prosto, słyszę, z Warszawy? co słychać?

Zarzucono go pytaniami o niego samego, o zdrowie matki, o państwo Leonowstwo, *de publicis*. Wszystkie twarze uśmiechały mu się.

— Ale niechże ja zabawie nie przeszkadzam — zawołał Moryś — przypatrywać się będę.

Nie dano się prosić, bo tu nie było nigdy zbytecznych ceremonij, nie cierpiał ich podkomorzy.

— Panowie do roboty! zakład stoi między panem Węgrowiczem i Slaskim. Węgrowicz właśnie z boku oczekiwał na hasło; figura była ekstra zabawna, w popielatym fraku, ze staroświecka ubrana, wąsik wyszwarcowany, resztka włosów farbowana na kasztanowato, sześćdziesiąt kilkoletni kawaler w pretensyach, nie stający nigdy inaczej, niż w pierwszej pozycyi, jak do tańca, i z jednym palcem założonym w kamizelkę. Strzelec to był sławny... Slaski, ogromna fasa, młody a otyły i wyrosły, istny olbrzym, ale z twarzą rozlaną i kalectwem kolosalnego brzucha... dyszący ciężko... odgrażał się, że w strzelaniu do celu pierwszego pokona. Pomimo gościnnego bardzo powitania Morysia, natychmiast wróciła gorączka do

strzelania, wszyscy zaczęli się sprzeczać, biorąc stronę jedni Węgrowicza, drudzy Slaskiego. Podkomorzy wmieszał się także, a obcy sporom p. Maurycy zostałby sam na chwilę, gdyby nie piękna panna Malwina, która z nim rozpoczęła rozmowę.

— Żal mi pana, że się tak będziesz nudził na wsi... po Warszawie...

— Ja do niej przywyknąć nie miałem czasu; a do wsi i jej życia od dziecięctwa się przyzwyczaiłem...

— A pański brat?

— Ten zamieszka zapewne w Warszawie.

— Słyszeliśmy, że i pan masz tam powracać?

— Rzecz to jeszcze niepewna... matka nasza tak jest sama...

— Ale zdrowa?

— Nie bardzo.

Tak, w sposób pospolity i naturalny, rozpoczęła się rozmowa.

Panna Malwina, wprawdzie niewyszukanemi środkami podtrzymywać ją umiała. Oczy jej żywe, wesołe i śliczna kwitnąca twarzyczka dodawały wyrazom uroku. Było w niej coś tak szczerego, pełnego prawdy, i różnego od tego co Moryś gdzie indziej spotykał, iż mu się prostotą swoją podobała. Piękność to nie była w rodzaju Felicyi, arystokratyczną i wypieszczoną — ale zdrowa, silna, śmiała, a mimo trochy opalenia i bardzo powszedniego stroju, który nic nie maskował i nic nie nadrabiał, mogła wytrzymać najwybredniejszego artysty krytykę. Nic chorobliwego, wymuszonego, uczonego w niej nie było — przedstawiała się jak ją Bóg stworzył, niewiele myśląc o przypodobaniu się. Z pochwałami i uwielbieniami była otrzaskana, bo goście podkomorstwa osypywali ją niemi, szczególniej Węgrowicz, który, że była uboga, a on miał wioskę dobrze zagospodarowaną, nie taił się, iż o rękę jej chciał się dobijać.

Podkomorstwo nie byli od tego nawet. Panna się śmiała z tego zafarbowanego pretendenta. Miała ich kilku jeszcze ubogich, którzy równie dla jej piękności, jak dla widoków na protekcyę i opiekę podkomorstwa swatali się uporczywie. Pannie Malwinie za mąż wychodzić nie było spieszno.

Maurycy, który miał niewyszukaną powierzchowność, dosyć się jej podobał — ale o możliwości nawet podobania się jemu nie pomyślała. Wszyscy zauważali jednak, że jak przy pierwszej bytności, Maurycy ochoczo z nią rozmawiał i nawet się trochę rozchmurzył.

Węgrowicz i Slaski poszli tedy do celu strzelać. Każdy z nich miał dać strzałów dziesięć, w równej oba odległości, ze strzelby jednej... Począł starszy i wsadził kul pięć w sam środek... Slaskiemu się ręce trzęsły, począł też pukać i nie chybił ani razu... Drugie pięć strzałów miały rozstrzygać... Wszyscy się gorąco zajmowali niemi; tymczasem Maurycy z panną Malwiną rozprawiał Bóg wie o czem... śmieli się i nawet na tarczę nie spojrzeli.

— Patrzajże — odezwał się podkomorzy trącając łokciem żonę — jak pana Boga kocham, Czermiński bałamuci Malwinę... To nie bez kozery...

— Dajże pokój! co znowu! at — młody, ani sobie rój nic podobnego...

— No! zobaczysz, rzekł podkomorzy — ja ci mówię że się sobie podobali.

— Choćby i tak, to od podobania do pobrania daleko... a ubogiemu dziewczęciu do Czermińskiego

Podkomorzy, który z dala zobaczył jak śmiejąc się Moryś w rękę pannę pocałował, nic nie mówiąc już łokciem żonę potrącił.

Przy pierwszej zręczności pani Jadwiga skinęła na Malwinę, która przybiegła do niej.

— Ale, dziecko ty moje — powiedzą, że go bałamucisz... Cóżeście tak żywo i długo rozmawiali z sobą?

— A! moja ciociu! nie umiałabym powtórzyć... Bardzo miły pan Maurycy... ale ani on mnie, ani ja jego nie bałamucę. Przecie gościa bawić trzeba.

— Żeby ludzie nie gadali...

Maurycy rozmawiał już z podkomorzym — Węgrowicz, który zwyciężył Slaskiego, bo ten raz chybił, przysięgając się, że go ktoś potrącił, nie tyle był szczęśliwy swym tryumfem, co niespokojny o pannę Malwinę. Nadskakiwanie Morysia bolało go...

Zbliżył się do panny, która się już trzymała podkomorzynej.

— Pani dziś w wesołem usposobieniu.

— Ja? jak zawsze — szepnęło dziewczę — dla czego?

— Zabawiał panią Czermiński, jak uważałem.

— Bardzo...

— Gustuje w nim pani?

Malwina się rozśmiała wesoło.

— A pan?

— Ja nie — bo — bo... pani się domyśli...

— Nic a nic, panie poruczniku...

— Tak, nie chce się pani domyślić.

— Nie umiem...

— Dla mnie to prawdziwe nieszczęście — westchnął stary konkurent.

Na domiar tego nieszczęścia, pan Maurycy, uwolniony od gospodarza, zbliżył się ku paniom, podkomorzynę odwołano i znowu pannie przypadło bawić gościa.

Węgrowicz z bolem w sercu i gniewem odstąpił.

— Nie ożeni się to pewna, a pannę mi bałamuci — do krocset basałyków... Widział przecie jak strzelam...

Ruszono do stołu, i pan Czermiński dostał miejsce między gospodynią a jej siostrzenicą — rozmowa przerwana zaledwie ożywiła się i stała wesołą. Maurycy nie pamiętał, by był w lepszym humorze; nie skłonny do śmiechu, dawał sąsiadce wyciągnąć się na wesołe wybuchy, którym sam się w sobie dziwował... Dziwny wpływ miała na niego — zajmowało go każde jej słowo... i widok jej uśmiechu, wnet go rozchmurzał. Ci, co widywali z dala p. Maurycego, poznać go nie mogli. Sam on w końcu obiadu przyznał się przed piękną sąsiadką, że dawno nie był w tak dobrem usposobieniu, i jej to przypisywał.

— Jak tylko się pan uczujesz smutnym, proszę do nas przyjeżdżać... rzekła do niego. Wpływ to nie mój, ale atmosfery domu...

— Naprzykrzyłbym się, bo często a raczej zawsze dosyć jestem zasępiony — odezwał się Maurycy.

— Niech się pan o to nie lęka... my tu miewamy gości po pół roku... Slaski nie wyjeżdża prawie nigdy... Węgrowicz co trzeci dzień przybywa, jak febra...

Maurycy, któremu ktoś szepnął, że Węgrowicz stara się o pannę, uśmiechając się odezwał, że — wie dla czego porucznik jest gościem tak częstym. Wesoło i bez najmniejszego pomieszania, odpowiedziała mu Malwina, że i ona się domyśla czegoś, ale dziwi się jak tak doskonały strzelec mógł tak chybić w projekcie. Bawił ją stary konkurent. Zwróciła uwagę Morysia, nie złośliwie, ale dziecinnie, na barwę włosów Węgrowicza, która przeciwko okna prawie tęczowych nabierała kolorów... I śmiano się tak, i żartowano...

Po obiedzie, toastach, w których jeden był na cześć zwycięzcy, drugi na pocieszenie Slaskiego, trzeci za zdrowie Maurycego, wstano od stołu. Maurycy

się wybierał jechać; nie puszczono go od podwieczorku... Po nim zagadano go do wieczerzy. Że do niej dla bolu głowy nie poszła gospodyni, Moryś prowadził Malwinę i usiadł przy niej. Znajomość i dobre porozumienie zwiększało się co chwila — ona była coraz śmielsza, on coraz żywszy. W ciągu tego dnia nie pomyślał nawet o marszałkowej.

Dopiero, gdy późno już, po kilkakrotnem pożegnaniu, znalazł się sam jeden na drodze ku domowi, jak zgryzota sumienia przypomniała mu się ta... trochę przywiędła piękność, której jeśli nie poprzysiągł wierności, to przynajmniej zapewnił ją o najczulszem przywiązaniu. Sam się zdziwił, że w duszy porównywając te dwie kobiety — ostatniej dawał pierwszeństwo. To porównanie mu dało uczuć coś wymuszonego, nienaturalnego u marszałkowej.

I pogniewał się sam na siebie...

Na dobitkę przyszły się też przypomnieć wyrazy hr. Teofila o latach czterdziestu i trzech, i o księciu...

Gdy do Rakowiec wrócił, matka już się była położyła. Nie spała jednak i kazała go do siebie przywołać... Musiał jej opowiadać o bytności swej, o zabawie, i jak mu się ludzie podobali... Około północy wchodząc do swojego mieszkania, zastał tu oczekującego na siebie Pierzchałę.

Umiał on się utrzymywać tu ciągle na swem stanowisku totumfackiego, i rad był bardzo zaskarbić sobie affekt p. Maurycego, a stać mu się użytecznym. I teraz więc — sam osobiście wręczał mu z poczty przybyły list z Warszawy... Był on, jak się łatwo domyślić, od marszałkowej.

Pierzchała miał coś więcej na celu. Gdy pierwszym razem znajdował się z Maurycym w Wierzejkach, uważał ożywioną z panną rozmowę — zmiarkował, że paniczowi w oko wpadła. Gotówby był ofiarować swe usługi do potajemnej intryżki,

będąc przekonany, że tak bogaty pan... pozwolić sobie może romansiku z ubogą dziewczyną. Szło o to, jak przystąpić do rzeczy... Pierzchała popróbował — i odprawiono go nie zrozumiawszy...

Z wielkim niepokojem Moryś, zostawszy sam, rozerwał kopertę i list czytać zaczął. Marszałkowa słynęła ze swej korrespondencyi...

„Gonię listem za tobą — pisała — zaledwie znikłeś nam z oczu, zdaje mi się, żeśmy się nie widzieli wieki. Jestem dziecinnie niespokojna, domyślam się, marzę, zgaduję każdą dnia twojego godzinę. Nie — trzeba, żebyś powrócił, albo ja pojadę do Holmanowa, to nad siły moje... Młodszy — rozerwiesz się łatwo i zapomnisz; ja ani się rozerwać umiem, ani mogę zapomnieć... Na rozrywkach nam nie zbywa — ale mnie one nie bawią...

„Leonowstwo w rajskiem szczęściu swem... sami sobą zajęci... aż przerażają mnie, tak są strasznie szczęśliwi... tak są ufni w przyszłość i siebie. Książę samym ich widokiem się poi...

„Po twym wyjeździe mieliśmy odwiedziny hr. Teofila, który był niesłychanie zdziwiony nagłą podróżą. Zdołałam mu ją wytłómaczyć.

„Zdaje mi się, że książę go zmaltretował za to, że cię śmiał do tego szurgota zaprowadzić. Pogniewali się z sobą... Nie widziałam go już, ale wiem, że poczciwego Leosia do siebie wabi.

„Tego i przestrzegać nie potrzeba, bo dla niego nie ma niebiezpieczeństwa. Tarczą jest miłość dla Felicyi, która codzień piękniejszą się robi.

„W mieście całem uznano ją za królową piękności... Gdy jesteśmy w teatrze, wszystkie lornetki skierowane są na nią — nie możemy się ruszyć, by za nami nie szły tłumy.

„Prawda, że ona i ubrać się tak umie jak nikt i pokazać... ma to uczucie swojego piękna, które

nie wszystkim nam jest dane... Bankierowa... hrabina... które tu dotąd uchodziły za najpiękniejsze, zgasły. Toaletami też żadna z nich się z Felicyą równać nie może. Ostatnie suknie sprowadzone z Paryża, gdyśmy daty trochę poprawić pani Adeli, cała Warszawa się zbiegała oglądać. Była formalna wystawa... Sklep musiano zamykać...

„Felicya ma do ciebie prośbę, bo Leoś jej powiedział, że na to potrzebuje twojej zgody i pomocy. Koniecznie się jej chce zimowy ogród rozszerzyć. Tak jak jest — nie ma logiki.

„Salon to nie ogród. Taki pałacyk jak Leonowstwa, nie może się takim mikroskopowym ogródkiem ograniczyć. Idzie o nabycie gruntu sąsiedniego. Monti powiada, że razem z tą przybudówką, nie będzie to kosztowało nad sześćdziesiąt tysięcy rubli. Cóż to dla was znaczy? a Felicyę uszczęśliwisz. Ja nawet nie proszę, bo wiem, że ty to zrozumiesz i nie będziesz śmiesznych robił oszczędności...

„Napisz o tem na osobnej kartce, bo list twój nadto mi drogi, żebym się nim dzieliła...

„Czekam z niecierpliwością korrespondencyi... co dzień na pocztę posyłam po kilka razy. Sądziłam, że ją odbiorę z drogi! że i ty zatęsknisz trochę do starej przyjaciółki... Ale tam matka... sąsiedzi — nie wiem już kto, nie chcę zgadywać co — porwą mi ciebie... Powracaj — przyrzekam być bardzo grzeczną.... Gotowam wyjechać naprzeciw do Miłosnej, gdybym wiedziała kiedy, aby cię sam na sam powitać pierwsza... i posiedzieć z tobą...

„Nie przewiduję żadnych przeszkód do powrotu, nie przypuszczam ich. Do Malborzyńskiego pisałam, aby był ci pomocą i posługą. Człowiek to, na którego się zupełnie spuścić możesz...

„Zdaje się, że Teofil wyjedzie na wieś — intryguję jak mogę — nie chcę jego towarzystwa dla

Leosia nawet, o którego się mniej boję, cóż dopiero dla ciebie?

„A! smutno mi bardzo, wśród tej wesołości — brak mi tych dobrych godzin spędzonych z tobą w cichym kątku u mnie, na kanapce... Czyż i tobie po nich nie tęskno? Wstyd mi, że tak stara tak mam jeszcze serce dziecięce... ale to ty winien jesteś temu. Spało ono gdyś je rozbudził, a uczyniłeś to tak zdradziecko, żem się nie opatrzyła aż za późno...“

Następowały jeszcze dwie stronice w tym ckliwym rodzaju — oświadczeń i wykrzykników, które Moryś jako do siebie wystosowane, czytał i połykał z przyjemnością. Obraz piękny panny Malwiny znikł mu z oczu, wróciła marszałkowa.

Po przeczytaniu listu ogarnęła go i chęć i niepokój powracania do Warszawy... ale — jakże było sprzeciwić się biednej matce...?

Nazajutrz, ponieważ był list i od Leosia, dzień cały przeszedł na rozbieraniu go i odczytywaniu. Nadjechał proboszcz, przybył Malborzyński ofiarując swoje usługi, któremu grzecznie podziękował Maurycy, nie wiążąc się z nim jeszcze umową żadną stanowczą.

Trochę to zachmurzyło pana Aleksego, który już siebie miał za ogólnego plenipotenta Czermińskich, w skutek listu, jaki odebrał od marszałkowej. Dawano mu to w powiecie i obywatelstwie stanowisko i obiecywano znaczne dochody. Wahanie się Morysia, choć go nie uważał jeszcze za odmowę, dawało mu do myślenia, iż jakieś wpływy przeciwne działać muszą.

Zaraz więc po powrocie do domu, siadł gorący list z przestrogą pisać do marszałkowej, grożąc, że tu się mogą wszystkie interesa niebezpiecznie poplątać.

W Warszawie życie państwa Leonowstwa coraz świetniejsze przybierało rozmiary... Zbytek nie zna granic... fantazya raz rozpasana nie umie powstrymać się niczem, nowość się staje potrzebą, zmiana koniecznością, — rachuby rzeczywistości nikną z oczu. Leon nigdy rachować nie umiał, nawet w latach młodszych, gdy był do tego zmuszony; teraz zdało mu się to śmiesznością. O majątku własnym i brata, nie rozdzielając ich w myśli nawet, miał pojęcie, że był niewyczerpany. Moryś dla siebie potrzebował bardzo mało, matka mniej jeszcze — oni więc mogli dla honoru familii występować w świecie nie ograniczając się niczem.

Książę nietylko że wstrzymywał na tej drodze, ale najgoręcej te szlachetne dążności popierał. Marszałkowa znajdowała, że niemal byli skąpi, że mogli daleko więcej niż czynili.

Felicya wymyślała coraz nowe rzeczy, a sama jej toaleta pochłaniała summy niezmierne...

Przez jakiś tylko wzgląd dla Morysia, zgłoszono się do niego w sprawie rozszerzenia zimowego ogrodu. Felicya się zawczasu już nim cieszyła, będąc pewna, że go mieć będzie. Monti, któremu nowa robota i do artystycznego służyła popisu i dla kieszeni była powabną, popierał czarodziejski pomysł młodej pani, obiecując, że stworzy coś obudzić mającego podziwienie powszechne...

Tymczasem hr. Teofil, którego miano się pozbyć, mocniej niż kiedykolwiek przylgnął do Czermińskich. Wymógł nawet na sobie, iż się do marszałkowej zbliżył, stał się dla niej nadzwyczaj grzecznym, zaczął się unosić nad jej rozumem, prawić słodycze — a choć piękna pani była nieufną i niedowierzającą, choć się go lękała bardzo, uśpił ją tem, iż się jej przyznał wreszcie, że się — kocha w Felicyi...

Z oburzeniem z razu, jak należało, przyjęła to matka, potem się śmiała z tej niedorzecznej passyi — ale jej to pochlebiało...

Hr. Teofil wiedział jak mówić do niej, a zawsze to był i hrabia i siostrzeniec księcia...

— A czemużeś się o nią nie starał kiedy była wolna? zapytała go marszałkowa.

— Niestety! pani z nią uciekłaś... znałem ją tylko dzieckiem, mógłżem przeczuć, że na takie bóztwo urośnie?

W wielkim sekrecie matka o tej miłości powiedziała córce, zaklinając ją, ażeby Leosiowi o tem nie wspominała niepotrzebnie...

Felicya śmiała się, uradowało ją to, że się w niej na zabój kochano, zawsze to rzecz miła. Gdy potem pierwszy raz spotkała się z hrabią, choć udawała, że o niczem nic nie wie, zdradziła matkę wdzięcząc się mimowoli do hrabiego, który się jej teraz wydał *très comme il faut.*

Książę, wcale nie rygorysta, gdy mu o tem marszałkowa powiedziała — ucieszył się...

Nie tłómaczył się dla czego.

Leon tylko jeden o niczem w świecie nie wiedział... Nie było ani niebezpieczeństwa żadnego, ani potrzeby... Hrabia, którego niedawno jeszcze nie cierpiała marszałkowa, powoli się umiał w jej łaski wkupić... Wysługiwał się jej, a nadewszystko pochlebiał, sławiąc jej mądrość, wychowanie córki, całe postępowanie...

Książę pod wpływem marszałkowej przyznawał już Teofilowi — *qu'il a du bon.* Dobre to było, że go oboje teraz trzymali, a przynajmniej się im tak zdawało... Felicya miała po trosze temperament i charakter matki — była chłodna, żyła głową nie sercem, próżność stanowiła jedną z głównych sprężyn nią poruszających. Leosia kochała bardzo — ale to

nie przeszkadzało jej być zalotną, uśmiechać się i bawić zakochanymi, których pragnęła mieć jak najwięcej.

Bujniejsza naturą od męża, Felicya władała nim — i czasem już znajdowała go — *un peu nul.* Nigdy z matką nie mówiły o tym przedmiocie, tylko ubocznie — a godziły się w ocenianiu tego poczciwego, dobrego Leosia...

Hrabia, jeśli nie był wyższy o wiele od Czermińskiego, nieskończenie od niego umiał być pokaźniejszym. W salonie, w rozmowie, w obejściu był to blagier wytrawny, umiejący się w mierze utrzymać, nie przesadzający, dający zawsze pojęcie wyższości swej... Imponował nawet marszałkowej. Niepotrzebnie Felicyi udzielona przez matkę wiadomość o jego zakochaniu — była pierwszą nicią, która jakiś dziwny zawiązała stosunek między nimi...

Śliczna pani rzucała kwiatki przypadkiem, aby je podejmowano; tak samo rzucała słówka dwuznaczne... Niekiedy rozbierano niebezpieczne teorye małżeństwa, miłości, sympatyi i t. p. Marszałkowa w nich brała udział, pilnując moralnych zasad. Felicya się puszczała trochę fantazyjnie, co jej naganiano; hrabia stawał w obronie serca... Książę szydził sceptycznie, a Leoś dobroduszny jak na niemieckiem siadywał kazaniu.

Wszystko to byłoby może rozwiało się jak jakaś mgła wiosenna, gdyby hrabia Teofil, który wiele już w życiu przebył i miał się za ostygłego, a w istocie przyzwoitszej i prawdziwej miłości nie kosztował nigdy — nie zakochał się na prawdę, namiętnie i szalenie.

Egoista walczył z razu z sobą, wiedząc, że w takiej miłości z konieczności mieszczą się ofiary, tragedye, męczarnie i szał, który prowadzi na przepaści... Przerażał się, cofał, ale nie umiejąc powstrzy-

mać szedł, poił się, tracił panowanie nad sobą i brnął coraz dalej.

Marszałkowa to widziała dobrze — i lekkomyślnie się tem bawiła.

— Dobrze mu tak! mówiła — niech się męczy.

Szydziła sobie z niego, ale zabawiając razem córkę, mówiła jej wszystko, stawała się pośredniczką mimo wiedzy i rozmysłu może.

Pierwszym owocem tego szału, w który wpadł hr. Teofil, była myśl współubiegania się elegancyą z Czermińskim. Postanowił pałacyk przyprowadzić do skutku. Kupił plac, przywołano p. Mont'ego, postanowiono w rodzaju średniowiecznym mały kastel pobudować. Hrabia chciał go mieć prędko...

— Zobaczy pani — odezwał się do Felicyi, — że i my mamy gust, i że choć na mniejszą trochę skalę, stworzymy coś prześlicznego, i co nie będzie nic a nic podobnem do pałacu p. Leona, który jest wspaniały, ale nudny. *Il manque d'originalité.*

Utkwiło to w pamięci Felicyi, która się zmartwiła. Znajdowała sama, że oryginalności brakło temu domowi. Matka się też zgadzała. Książę się na to oburzył z początku, po kilku dniach jednak — milczał już.

Wśród tych zmian powolnych w domu państwa Leonowstwa, oczekiwano ciągle Morysia, i nie można się go było doczekać. Listy marszałkowej pełne były wymówek. Obraziło ją nieposłuszeństwo w spawie z Malborzyńskim, i opór, który stawiła, jak pisał Maurycy, sama wdowa. Między nią a marszałkową syn powinien był raczej jej być posłusznym... Chciała sama jechać, lecz nadto jej tu było dobrze...

Dopiero odpowiedź Maurycego, na którą długo czekano, skłoniła panią Falimirską do stanowczego kroku. List był oczywiście pisany pod jakimś wpływem złowrogim... Podejrzenie padało na matkę...

Maurycy odpisując Leonowi na żądanie nabycia placu pod ogród zimowy, przysyłał mu rachunek wydatków ogólny, który już krocie rubli wykazywał. Nie sprzeciwiał się wcale projektowi — ale we wspólnym interesie prosił o jakieś rozdzielenie fortuny, którą on tak szafować nie chce, choćby dla tego, aby w potrzebie Leonowi być pomocą.

List zawierał dające do myślenia uwagi.

— „Mój Leonie, pisał brat, ty wśród twojego szczęścia możesz zapomnieć i musisz zapominać, że wszystko się wyczerpuje. Ja za ciebie i siebie liczyć powinienem... Z twojego funduszu pałac warszawski i urządzenie domu pochłonęło ogromny kapitał“...

Jak Maurycy przyszedł do tak śmiałego postawienia się, było dla marszałkowej niepojęte. W istocie wiele się rzeczy do tego przyczyniło: matka nawykła do oszczędności, zaczynała mieć obawy; przyjaciel domu proboszcz, w którego naturze było mieszać się we wszystko, otwarcie parę razy mówił o tem z Maurycym; a że własne jego usposobienia godziły się z tem rzeczy pojęciem, Moryś miał sobie za obowiązek wystąpić w ten sposób. Marszałkowa została strwożona nad wyraz wszelki — przebudziło ją to z letargu. Pod pozorem zajrzenia do Holmanowa, oświadczyła zaraz, że musi wyjechać, nie zabawi długo, i spodziewa się Maurycego wyrwać z pod wpływów, jakie go otaczają.

Przed księciem po cichu nie wahała się oskarżać starej Czermińskiej... Była jednak najpewniejsza, że wszystko to przerobić i do pierwszego stanu przywrócić potrafi. Czy hrabia był rad z odjazdu mamy, czy mu on był na rękę, odgadnąć było trudno... Desperował na pozór. Marszałkowa księciu poleciła, aby był na straży... i — nie spuszczał z oka siostrzeńca, który Leosia w najosobliwszą brał opiekę i był prawie nieodstępnie przy nim...

Falimirska wyjechała nie oznajmując o tem nikomu, prócz Malborzyńskiemu... Maurycy wcale o tem nie miał wiedzieć, chciała spaść jak piorun na niego...

Nocą przybywszy do Holmanowa, nazajutrz rano kazała się zawieść do Rakowiec. Maurycy siedział w ganku z proboszczem, gdy się zjawiła niespodzianie... Struchlał niemal na jej widok i zmieszał się mocno. Marszałkowa śmiejąca się, wesoła, najmniejszego nie okazując gniewu, powitała go czule i zaczęła pytać o matkę. Panna Damianna już jej o tym gościu oznajmowała... Nie rychło jednak ubrana wyszła do niej Czermińska, zmieniona, zżółkła, wychudła, straszna, z różańcem na ręku...

Nie mówiono przy tem pierwszem spotkaniu o niczem oprócz Leonowstwa. Bystry wzrok i czucie przybyłej pani odkryły jej, czego się nie spodziewała, że Czermińska dla ulubionego syna znacznie ostygła...

Zabawiwszy z godzinę, marszałkowa zaprosiła z sobą Morysia do Holmanowa, aby z nim pomówić o interesach Leona, o Warszawie, i zabrawszy go z sobą odjechała. W drodze — była milcząca, ale smutna.

Zmieszany Maurycy, zmieniony był widocznie. Chciał zbliżając się do niej odwołać się do dawnych przywilejów; z lekka go odtrącono.

Dopiero w saloniku w Holmanowie, gdy sam na sam zostali, podniosła się Falimirska i zapytała usiłując być panią siebie:

— Proszęż cię — wytłómacz mi co to wszystko znaczy?

— Co? zapytał z kolei Maurycy.

— Jakto! nie rozumiesz mnie? Ale wszystko się zmieniło. Nasz stosunek, stosunek twój do brata... układ zawarty co do interesów... co to jest? Zrywasz więc ze mną, zrywasz z nami?

— Nie miałem nigdy tego na myśli — odezwał się Maurycy, któremu zbliżyć się już, ani wziąć za rękę nie dawała — posłuszny byłem matce... Matka sobie życzyła tego...

— Matka? matka? podchwyciła marszałkowa głową potrząsając. Dopiero teraz więc zaszły te postanowienia?

Maurycy nie wiedział co mówić — zamilkł chwilę.

— Proszęż mnie posłuchać i powiedzieć mi, co w tem jest strasznego?

Leoś wydaje i potrzebuje wiele, bardzo wiele; matka sobie życzy, aby miał swój dział i dysponował nim jak mu się podoba... Na wszelki wypadek... to prędzej może być dogodne przyszłości, niż jej zagrażać...

— Nie o to mi idzie — przerwała marszałkowa z udanym bolem — dzielcie się — co mi do tego... ale ja w tem widzę większą niż majątkową stratę, utratę serca twego, rozbrat ze mną!!

Tragicznie załamała ręce... Moryś uczuł, że słabnie, zbliżył się, odepchnięto go... z oburzeniem...

— Nie dałem powodu posądzać mnie o to nawet — zawołał. Stosunek nasz jest — był tak dziwny, że w końcu do szału przyprowadzić może... Jestem jak byłem rozkochany... i odpychany... To ja się poskarżyć mogę.

— Rozumiem — wybuchnęła marszałkowa — chcesz ofiary mojej czci, mojej sławy... nie... nie!

W chwili tej Maurycy, którego zbliżenie się roznamiętniało, przypomniał sobie co mu hrabia mówił o księciu i o przeszłości marszałkowej. Miał żal, że tylko dla niego srogą się tak okazywała. Na ustach już błąkało mu się słowo... słowo straszne... zabełkotał jednak i nie wymówił go — cofnął się parę kroków...

Z kolei musiały tu nastąpić łzy — Falimirska dobywała broni ostatniej, najskuteczniejszej — rozpłakała się.

— Tak się kończą marzenia! zawołała łkając — spóźnione, niedorzeczne marzenia serca! Nie mogło być inaczej...

Moryś, zawsze trochę słaby, poruszył się tem...

— Chcesz dowodu z mej strony, że w sercu się nic nie zmieniło... zawołał. Odmówiłaś mi, gdym chciał się żenić; weźmy ślub sekretnie, to skończy wszystko...

— Tak — ślub będzie sekretny, a hańba moja jawna! wykrzyknęła marszałkowa...

— Ja, dotrzymuję słowa — dodał Maurycy — proszę o rękę twoją. Żenię się...

Gdy to mówił, Falimirska oczy miała zakryte... płakała — nie odsłaniając ich potrząsnęła głową.

— To nie może być, rzekła — byłabym śmieszna, ludzieby mnie palcami wskazywali jak intrygantkę. Nie mogę, nie chcę...

Maurycy nie mówił nic, ale milczenie jego domawiało za niego.

— A zatem uwolń mnie, pani...

Marszałkowa tego nie chciała uczynić — ani więcej żadnej ofiary, której skutku teraz była mniej pewna, niż kiedykolwiek. Wstała nagle z kanapy, ocierając oczy.

— Zatem zostaje nam tylko pożegnać się — odezwała się rękę wyciągając, życzyć ci szczęścia, kazać milczeć sercu... i wstydzić się własnej słabości...

Była tak naturalna mówiąc to, że Morysiowi serce uderzyło...

— Cożem ja przewinił? rzekł smutnie... Matka nasza jest nieszczęśliwa, ma prawa, które poszanować musimy... Ja pozostaję wam wierny, ale jej być muszę posłuszny...

Stał więc przy swojem — cały gmach tak kunsztownie zbudowany, niewoli dwóch braci, zawojowania ich i posługiwania się ich fortuną, miał runąć. Marszałkowa ważyła teraz sama w sobie, czy rachunek jej nie był mylny, czy nie powinna była uczynić z siebie największej ofiary.

O zamążpójściu za Maurycego nie mogło być mowy — odsłoniłoby ono do zbytku grę całą przed światem i odjęło przyszłość córce i zięciowi.

Falimirska zadumała się smutnie — nie było wyjścia z tego położenia — przegraną czuła sprawę... Łzy, nie po Maurycym, ale po marzeniach potęgi rozwianych, z oczu się jej potoczyły — poczęła płakać...

Przed wieczorem wrócił Moryś do Rakowiec, matka nań oczekiwała z niecierpliwością wielką. Siedział z nią proboszcz ks. Kaniewicz już od kilku godzin na rozmowie... Jeżeli kiedy to teraz i tutaj jego mieszanie się despotyczne do spraw cudzych przyniosło owoc pożądany. Proboszcz jasno bardzo widział całe położenie, zgadywał nawet tajemne sidła zastanowione na Morysia. W początku nie chciał przestraszać Czermińskiej, szedł z wolna, przygotował ją, a że zyskiwał codzień przewagę nad jej umysłem, w końcu mógł jej odsłonić wszystko...

Według niego należało ratować Maurycego i choć część fortuny, której druga połowa była zagrożona rozrzutnością i lekkomyślnością Leosia i rodziny, co go otoczyła... Na niego wpływu już mieć nie było można — Maurycy pozostawał... należało go wstrzymać, oczy mu otworzyć — ratować.

Przelękniona matka godziła się na to...

Gdy Maurycy wszedł do pokoju blady i pomieszany — Czermińska podniosła się podchodząc ku niemu i pocałowała go w głowę.

— Czego ta kobieta przyjechała? zapytała...

Wyrażenie „ta kobieta“ w ustach Czermińskiej, która dawniej ją tak wynosiła i wielbiła — mówiło wszystko...

— Czego ona chce? dodała matka.

Maurycy milczał... Był jeszcze pod wrażeniem zrobionej mu sceny... z której niepodobieństwem się było tłómaczyć...

— Rzecz bardzo prosta — odezwał się. Pisałem do Leosia, zgodnie z radą i życzeniem mamy, o podział spadku po ojcu — a że wprzódy układ był inny... majątek miał zostać wspólnym... zaniepokoiło to ich, nie tyle dla majątku, ile dla dobrych braterskich stosunków.

— Przepraszam, że ja się w to wmieszam — przerwał ks. Kaniewicz. Stosunki mogą pozostać najserdeczniejsze, a majątek wypada rozdzielić. Będę otwarty. To są ludzie rozrzutni... majątek swój stracą, zbytek lubią — pragnienia ich nie będą miały miary ani końca.

Można się było na ludziach omylić — to się codzień trafia... Dziś widoczna jak na dłoni, że chcą zagarnąć wszystko, a pana Maurycego zrobić swym niewolnikiem...

Marszałkowa umiała sobie go pozyskać... Jako kapłan — nie chcę kwalifikować, oskarżać ani się domyślać — środków... Temu należy koniec położyć. Matka ma prawo...

— Morysiu mój! przerwała płacząc Czermińska — tak! tak! oczy mi się otworzyły za późno. Nieboszczyk miał racyę. Pochwycili nam Leosia dla majątku... Zrujnują nas — nie chcę żebyś ty ginął... Błagam cię — uwolń się od nich!! Z prawa ja ci nic nie mogę zaprzeczyć — ale z serca...

Płacz przerwał jej mowę. Moryś stał jak wkuty, z głową spuszczoną. Ks. Kaniewicz okazywał energię za wszystkich — czuł obowiązek.

— Pozwólcie mi się wmieszać — rzekł. Panu Maurycemu może dziś być trudno mówić otwarcie, ja jutro w imieniu matki pojadę.

Czermińska zaczęła proboszcza całować po rękach. Spojrzał na Maurycego. Ten stał niemy, nie sprzeciwiał się...

— Będę posłuszny w czem matka każe — odezwał się po długim przestanku — lecz rozważmy co to za sobą prowadzi... Oto rozbrat niechybny i zgubę Leosia... Nie będziemy mogli ani go ratować, ani na niego wpłynąć...

— Owszem — zawołał ks. Kaniewicz — przyjdzie na to czas, a zachowasz środki po temu; gdy zostając jak jesteś w dependencyi tych ludzi, toniesz razem z nimi. Ratunku nie ma dla was obu!...

Dajcie mi jutro jechać... Wiem, że na moją suknię kapłańską ściągnę potwarz i zarzuty intrygi. Mało mnie to obchodzi... Obowiązek przedewszystkiem... Kapłanem jestem nietylko u ołtarza i konfessyonału, alem powinien nim być w życiu całem... stróżem sumienia i doradcą...

Nie potrafimy wytłómaczyć stanu ducha Maurycego — który nie zaprzeczając więcej, nie sprzeciwiając się, milczał. Matka tylko spoglądając nań widziała chmurę na twarzy i ból, jaki się na niej malował...

— Trzeba mieć męztwo! dodał proboszcz... Z fałszywej pozycyi zbrojną ręką się wyrąbuje... Co robić? Ludzka rzecz w nią wpaść, zdobyć się należy na odwagę, by wyjść...

Godzina była spóźniona, proboszcz ze stołu zabrał swój brewiarz i chustkę, i chciał odejść zostawiając matkę z synem. Czermińska pośpieszyła za nim, chwytając za rękę.

— A zatem ojcze — jutro — jedziecie jutro?

Spojrzała na Maurycego... ten stał milczący.... mienił się, ale milczał... Proboszcz obrócił się ku niemu.

— Mam jechać? zapytał...

— Ksiądz proboszcz jedziesz od matki naszej, rzekł — ja nie mogę ani śmiem jej woli krępować...

— Jedź, proszę — dodała Czermińska.

Ks. Kaniewicz skłonił się i wyszedł, syn sam na sam z nią pozostał.

— Nie długo ja pewnie pożyję — odezwała się do niego matka — nie opuszczaj ty mnie przynajmniej. Leoś, którego tak kochałam, stracony dla mnie. Ufam, że mi serca jego nie odebrali — ale widzieć go nie mogę, ani się nim cieszyć... a obawy mam wielkie...

Nieboszczyk pracował — dodała oczy wlepiając w ziemię — nie godzi się, aby jego trud, poszedł marnie... ty przynajmniej zachowaj i ratuj co można...

Po przerywanej rozmowie, Moryś odszedł na górę, w niezgodzie z sobą, znękany, zmęczony — poruszony tak, że o śnie myśleć nie mógł. Obu ich wychowanie czyniło mało nawykłymi do użycia energicznego woli własnej. Leona pieściła matka i uczyniła egoistą posłusznym chwilowym zachciankom; Morysia terroryzował ojciec... Nie umieli teraz znaleźć drogi, ani dopatrzyć celu życia...

Maurycemu żal było tej pierwszej miłości niezdrowej, w którą on ze swej strony włożył całe młode serce i marzenia — a za tę ofiarę zyskał tylko dobrze odegraną komedyę — wziętą za prawdę. Żal mu było tej przyjaźni kobiety miłej, która go pierwsza podniesła i dała mu uczuć, że był wart coś, że mógł przywiązanie pozyskać. Stosunki nie były jeszcze zerwane stanowczo, ale zachwiane... Wspomnienie chwil spędzonych w Holmanowie i Warszawie dręczyły go, bo wiedział, że już powrócić nie miały.

Rozstanie jest zawsze boleścią, chociażby kruszyło więzy... a tych Moryś nie czuł jeszcze...

Gdy zasnąwszy późno, gorączkowo, snem niespokojnym, obudził się nazajutrz o spóźnionej także godzinie, Pierzchała, który do niego zaglądał i narzucał mu się z usługami, oznajmił, że proboszcz już był wyjechał przed godziną.

Mała przestrzeń dzieliła Holmanów od Rakowiec. Gdy ks. Kaniewicz stawił się przed pałacem, służba mu dała wiedzieć, że pani jeszcze nie jest widzialną. Ksiądz proboszcz powiedział, że czekać będzie i widzieć się musi...

Zrodziło to jakiś niepokój w domu, posłano po Malborzyńskiego, który wziąwszy rozkazy od marszałkowej, nadszedł do księdza, zapytując go od niej, w jakim przybywa interesie? Marszałkowa była cokolwiek cierpiąca. Ksiądz Kaniewicz oświadczył, że interes jest prywatny i że sam o nim pomówić musi. Napróżno pan Aleksy usiłował mu wytłómaczyć, bardzo grzecznie, iż jest wtajemniczony nawet w sprawy familijne — proboszcz nie uległ.

Po dosyć długiem oczekiwaniu, ukazała się marszałkowa, nieco blada, skarżąc się na ból głowy... Byli sam na sam. Księdzu nie zbywało na energii kapłańskiej.

— Przybyłem od pani Czermińskiej, odezwał się — łatwo się pani tego domyślić mogła. Pani Czermińska od zgonu męża ciągle cierpiąca, najmniejsza rzecz ją porusza... jestem zmuszony ją wyręczyć. Radaby ona Maurycego przynajmniej zatrzymać przy sobie... Pozbawiona Leona, który ma obowiązki nowe, osierocona, potrzebuje i opieki i towarzystwa syna. Chciałaby też obu widzieć swobodnymi, i dla tego rozdział majątków uważa za sprawiedliwy i konieczny. Pan Leon ma potrzeby większe... może się urządzić

wedle nich i własnej woli; słuszna, by Maurycy też miał rozwiązane ręce...

Marszałkowa słuchała bawiąc sie wziętą ze stolika flaszeczką, którą niekiedy do nosa przykładała.

— Jakoś się to z początku inaczej składało — rzekła, — miałam zaufanie pani Czermińskiej. Chcieliśmy mając z sobą Maurycego, przyszłym jego zająć się losem. Wychowanie jego było dosyć zaniedbane, pobyt w Warszawie byłby je uzupełnił. Spodziewam się, że co do majątku nikt nas nie posądza, byśmy go sobie przywłaszczać chcieli, lub Maurycego krzywdzić. Maurycy wspólnie żyć miał z nami i ponosić koszta... Gwałtem go sobie zabierać nie myślimy. Robiliśmy to w jego interesie... Matka ma swoje prawa...

Ksiądz słuchał z uwagą.

— Maurycy i przez ojca, rzekł, i z charakteru swojego więcej jest przygotowany do spokojnego życia na wsi...

Marszałkowa milczała, uśmiech trochę szyderski błądził po jej ustach.

— Wola matki waży wiele, a nawet dla fantazyi matki syn może coś poświęcić; lecz — dodała — należałoby dobrze się rozpatrzyć, jakie jest własne usposobienie i wola pana Maurycego, a zbytnich od niego ofiar nie wymagać...

— Zdaje mi się, że gospodarstwo na wsi u nas i życie, do któregośmy nawykli, z którem nam dobrze, żadną nie będzie ofiarą — odezwał się proboszcz...

Pani Falimirskiej nie schodził z ust uśmiech ironiczny, który poczciwego proboszcza niecierpliwić zaczynał. Zdawała się szydzić z poważnych słów jego. Westchnął.

— W tem wszystkiem, boli mnie najwięcej — odezwała się po chwili marszałkowa — rodzaj nieufności, jaki nam pani Czermińska okazuje. Był czas, gdyśmy za życia jej męża, nie lękali się dla niej narażać... gdyśmy pana Leona przyjęli — nie wiedząc jak się skończy... gotowi do ofiar. Był czas, że nam zapewniano wdzięczność — a...

Proboszcz się zniecierpliwił.

— Ale moja mościa dobrodziejko — zawołał unosząc się nieco: — państwo się nie możecie uskarżać na połączenie z Czermińskimi! Cóż u Boga! Lepiej córki wydać nie mogłaś pani...

Marszałkowa aż się z krzesła porwała zarumieniona.

— A! bardzo przepraszam szanownego proboszcza... córka moja świetniejszą partyę zrobić mogła, i dla imienia i majątku. Mam na to dowody.

— Nie idzie za tem, aby długi wdzięczności, jeśli jakie są, p. Maurycy osobą i majątkiem miał płacić — wybuchnął ks. Kaniewicz...

Marszałkowa zarumieniła się mocno, zadrżała — gniew ją porwał, ale się pohamowała zaraz.

— A zatem, dodała, przechodząc w ton chłodno-szyderski — rzeczy skończone... Nie mamy mówić o czem... Pan Maurycy postąpi jak zechce i jak mu mama każe...

To mówiąc wstała, jakby dla zakończenia uciążliwej rozmowy; ale proboszcz, którego fizyognomia nabrała kapłańskiej powagi — nie ruszył się z miejsca..-

— Jesteśmy sami, pani marszałkowo dobrodziejko, jam ksiądz i przyjaciel domu... mam obowiązek przemówić tu do jej sumienia... Odebraliście matce jedno dziecię, zostawcie jej bez sporu, zgorszenia, niezgody, choć jednego syna...

Wiemy to, że pani potrafiłaś uzyskać łatwą przewagę i wpływ silny — nad Maurycym; niechciej

go używać, a raczej nadużywać... Sąd ludzki jest surowy, a sąd boży, choć późny, surowszy jeszcze...

Falimirska zacisnęła usta zbladłe, twarz jej stała się straszną od gniewu i wstydu — nie odpowiedziała już ani słowa... Na nizki ukłon proboszcza odpowiedziała zaledwie skinieniem głowy, niemal wzgardliwem. Drzwi za duchownym się zamknęły, padła na krzesło, zanosząc się spazmatycznym płaczem...

Całą piersią zemsty pragnęła!

Tegoż samego dnia nad wieczorem, Maurycy odebrał karteczkę z Holmanowa. Była zdziwną obojętnością, chłodem i rezygnacyą napisana.

„Przynajmniej się pożegnać panu ze mną będzie wolno. Wyjeżdżam jutro... Może masz jakie polecenia do Leosia. Nie chcę cierpiącej mamie przyczyniać kłopotu mojemi odwiedzinami, proszę ją pożegnać odemnie, a samemu przybyć choć na chwilkę".

Maurycy nie mógł nie oznajmić o tem pani Czermińskiej, która nie miała nic przeciwko temu, aby syn pojechał się pożegnać. Owszem kazała mu to uczynić, i spokojnym tonem biletu ucieszona, wyprawiła go zaraz po obiedzie...

Moryś jechał poruszony i z najprzykrzejszem uczuciem w świecie, rad już był wszelkich tłómaczeń uniknąć, i nie być zmuszonym raz jeszcze żegnać kobiety, którą opuszczać zawsze mu jeszcze żal było. Nie mógł się przyznać matce, ile go to kosztowało. Jechać musiał...

Z pogodną zupełnie, ironicznie zawsze uśmiechniętą twarzą, bardzo ceremonialnie przywitała go marszałkowa, udawała wesołą i obojętną.

— A! przecież byłeś łaskaw pan! jużem się prawie go spodziewać nie śmiała. Dziękuję mu bardzo. Jutro rano jechać muszę... Co każecie powiedzieć Leosiowi?

Tonem tym zmieszał się bardziej jeszcze i tak już mocno zakłopotany Moryś, wyrazów zabrakło.., Cierpienie jego było dla marszałkowej tryumfem; starała się jeszcze nadrobioną wesołością je powiększyć.

— Siadaj pan... nie prędko się pewnie zobaczymy... Zdaje mi się, że dla interesów, ponieważ pana ztąd nie puszczą, chyba Leosiowi wypadnie tu przyjechać. Nawet dla widzenia matki jest to koniecznem, aby nie sądziła, że go sekwestrujemy.

— Matka pewnie bardzo mu rada będzie... ja także... rzekł nieśmiały Maurycy...

Marszałkowa usiadła niedbale... podpierając się na ręku.,.

— Przeproś pan panią Czermińską, że jej nie pożegnałam. Spieszę się, a w domu mam jeszcze wiele bardzo do czynienia... Kiedyż to my się zobaczymy?

— Ja się przecie Leosia i Warszawy nie wyrzekam — odezwał się Maurycy. Mieszkać tambym nie mógł — to prawda, ale mogę dojeżdżać...

— Będziemy mu zawsze radzi — ale wierz mi, panie Maurycy — mówiła z wolna — drogi nasze coraz się teraz szerzej będą rozchodziły. Leoś wchodzi w świat dla was niedostępny... Chcieliśmy właśnie, abyście szli razem... abyś korzystał z położenia, aby cała rodzina naszemi stosunkami się podniosła. To był cel mój i księcia... ale... cóż robić!...

Nie mam do pana żalu, jesteś pod panowaniem matki — *c'est legitime*, gdy moja przyjaźń dla niego była zupełnie... bezprawnym serca owocem. Musi więc ustąpić. Nie mówmy o tem...

Ożenią tu pana zapewne z jaką rumianą szlachcianeczką — no — i będziesz szczęśliwy pożywał z nią zacierkę i kluseczki...

Rozśmiała się.

— Przepraszam! pan byłeś do tego stworzony...

Milczał Maurycy... spuścił oczy...

— Zaproś mnie choć na wesele! dodała.

— Ja się żenić nie myślę -- zamruczał.

— Ale pana ożenią! O! mówiła żywiej coraz: posądzono nas, mnie, proboszcz wasz dał mi to do zrozumienia wyraźnie, że miałam zamiar opanować, uwieść pana Maurycego... Przecież wiesz pan najlepiej, że sam mi ofiarowałeś się żenić, żem to odrzuciła... Gdybym polowała na majątek wasz... mogłam go mieć... idąc za was...

Ale być spotwarzoną to dola kobiety co kocha szczerze i bezinteresownie... Ja, com się chciała dla was poświęcić, aby wyciągnąć z tego... wiejskiego *błota*... z tej dziury, w której gnić będziesz...

Bóg z wami, każdy wybiera to z czem mu lepiej...

Maurycy odpowiedzi nie znajdował... Jakby z litości nad nim, jakby ażeby żal zostawić po sobie, podniosła się marszałkowa, wyciągając doń ręce obie...

— Morysiu! zawołała dawnym głosem, w którym drżało wzruszenie, *tremolo* wielkiej siły: Morysiu! bez gniewu... chodź tu... pożegnajmy się jak dobrzy przyjaciele, których zawistne rozdzielają losy... chodź! uściśnijmy się — bądź zdrów...

Efekt ten teatralny — sprawił, że biedny Maurycy powróciwszy do domu, jak szalony chodził dzień cały... Matka napróżno usiłowała z niego słowo wywołać; widać było, że bolał, że mu żal okrutny serce ściskał...

Odjeżdżająca, strzałą Parta — niezapomnianą, zwycięzką, raniła go śmiertelnie...

Ją konie niosły ku Warszawie...

Jak wiele kobiet, dla których u życia schyłku, intryga, walka, zajęcie jakieś gorączkowe stają się potrzebą, warunkiem egzystencyi, — Falimirska czuła się w swoim żywiole. Przez całą drogę snuła i układała plany... nie dała wcale za wygraną — owszem, zdało się jej, że teraz dopiero rozpocznie bój zwycięzki. Przekonana była, iż Maurycy nigdy o niej nie zapomni, że się nie oprze urokowi wspomnienia, jaki mu zostawiła po sobie...

Rozgorączkowana przyjechała z góry już zakreśliwszy sobie, co ma mówić i jak postąpić. W domu nie zastała Leonowstwa, oboje byli w teatrze z hrabią Teofilem; książę tylko, który pielęgnował małą gastrytę, znajdował się w domu, a że z nią nawet na ogrzany kaloryferem korytarz lękał się wychodzić, natychmiast kazał prosić do siebie...

— Moja ty droga męczennico! zawołał idąc na powitanie — cóż nam przywozisz?...

Spojrzał jej na twarz, drogą zarumienioną i nową świeżością odmłodzoną.

— Jaka ty jesteś nieśmiertelnie śliczna! dodał z uniesieniem. Siadaj! a Moryś? masz go?

— A! nie, matka trzyma go jeszcze przyszytym... ale — oderwiemy go od niej — bądź spokojny... Na teraz nietylko jego nie przywiozłam, ale jeszcze Leona, ze stosownemi instrukcyami, muszę wyprawić do Rakowiec.

— Cóż to jest?

— No — nic — chcą się nam wyrwać... *Mais ils ont affaire à forte partie.* Porwali się na nie swoją rzecz! Cierpliwości tylko — cierpliwości...

— A! z ciebie Machiawel prawdziwy! rozśmiał się książę — moja ty śliczna. Ja się ciebie nie pytam już, bo wiem, że co ty zrobisz, co pomyślisz, będzie dobrze...

— Mam nadzieję! potwierdziła zamyślona... Wprawdzie nie przyjdzie to bez trudu. Czermińską opanował proboszcz miejscowy, mamy do czynienia z sutanną... lecz nie rozpaczam, że na swoim postawić musimy.

— A Moryś? spytał książę.

— Moryś jak Leoś, oba słabi są, obudwoma trzeba kierować, potrzebują silnej dłoni... Moryś...

— Zakochany zawsze!

Uśmiechnęła się marszałkowa.

— Będzie zakochany teraz — odezwała się nieopatrznie — więcej niż kiedykolwiek... Przekonałam się, z tą miłością nawet matka walczyć nie może. Jestem go pewna... ale...

— Ale co?

— Muszę iść systematycznie do celu — rzekła jaśniej się nie tłumacząc marszałkowa. Leona trzeba koniecznie wyprawić do matki i brata...

— *Entre nous!* szepnął książę z dziwnym uśmieszkiem starego satyra — uczynisz tem znakomitą przysługę Teofilowi, który szaleje za Felicyą... Mąż ten mu przeszkadza...

— A ja mu też pomagać nie myślę! przerwała marszałkowa.

Książę nic nie odpowiedział, po chwili nachylił się jej do ucha.

— Teofil go do gry wciągał. Mówią, że Leon już mu przegrał ze sto tysięcy...

Brew marszałkowej namarszczyła się. Spojrzeli sobie w oczy...

— Felicya — mówił książę cicho — przyznaję się, żem tego nie przewidywał — bo zdawała się kochać Leona — robi się zalotną, i na Teofila spogląda okiem wcale — powiadam ci — nieobojętnem.

— A! to tam najmniejsza! przerwała marszałkowa — a! gdyby biedne dziecię, znudzone, raz w życiu miało fantazyę jaką? Mój książę... czyż nam się godzi być tak surowymi?...

— Tak — ale skandalu unikać — konieczna...

— Zapewne...

Zaczęli szeptać między sobą po cichu, gdy Felicya, strojna niezmiernie, prześliczna, roztrzepana, z uśmiechem na ustach, wbiegła szukając matki, o której się dowiedziała... i rzuciła się na szyję. Za nią szedł piękny Leoś — i — nieodstępny hrabia, którego zaproszono na herbatę po teatrze... Powitanie było serdeczne, a że Felicya potrzebowała się przebrać, chwyciła matkę z sobą, szepcząc jej do ucha... Gdy wychodziły z pokoju, zwróciła się ku hrabiemu tajemniczo, i pogroziła mu na nosku figlarnie.

Leoś opowiadał już coś księciu i cały był zajęty świetnem przedstawieniem „Lukrecyi".

Spojrzawszy nań, poznać w nim było łatwo zupełnie już do miejskiego i pańskiego żywota znałogowanego człowieka, który w innej atmosferze żyćby nie mógł. Strój, który go wielce zajmował, wytworna powierzchowność, formy czyniły go ideałem miejskiego eleganta.. dbałego o to, aby najmniejszy dyssonans toaletowy, nieprawidłowy akcessoryjny dodateczek, nie psuł harmonii pięknego jej obrazka.

Począwszy od starannie utapirowanych włosów, rozdzielonych, upomadowanych, zafryzowanych z lekka, aż do lakierowanych bucików od najlepszego kunsztmistrza obuwia, wszystko w nim było dobrane, wyświeżone, eleganckie, niepospolite i drogie... Leoś zawsze lubił być paniczykowatym, teraz wyglądał pańsko. Na palcach jego połyskiwały rubin ogromny i olbrzymi turkus, dewizki były robione w Rzymie na wzór jakichś starożytnych łańcuchów, szpilkę miał z jednego brylanta, który kilkaset rubli kosztował, choć nie był najpierwszej wody, wzrost za to

miał wspaniały. Chusteczka którą pot ocierał była batystowa i najmodniej przystrojona cyframi z hrabiowską koroną. Kto ma dużo pieniędzy, ten w sklepach zawsze prawo ma do pereł dziewięciu niezaprzeczone.

Powierzchowność ta Leosia odpowiadała wewnętrznej jego metamorfozie... Pieszczoszek, przy księciu stał się sybarytą, a sybarytyzm ten w jego pojęciu należał do dobrego tonu i miał go podnosić.

Znano już w Warszawie Leosia z tego aż do śmieszności posuniętego, aż do rodzaju pedantyzmu — zniewieścienia... Zajęty sobą, zmuszony też harmonizować z żoną, która się stała najpierwszą elegantką, nie myślał i nie zajmował się niczem tylko powierzchownością swą, tem co ją otaczać i podnosić miało, i tworzeniem sobie coraz nowych przyjemności dystyngwowanych.

Nie mając się czem w towarzystwie odznaczyć — jaśniał tem, że był królem mody, że jego ubranie, liberya, konie, powozy — dom, stół, wzorem być mogły i nie powstydziłyby się ani Londynu, ani Paryża. Co tylko nowego moda wymyśliła gdziekolwiek, Felicya i on mieć natychmiast musieli, wcale nie pytając o cenę. Kupcy z przyjemnością dostarczali czego zażądano, gdyż płacono nie targując się, nie prosząc o kredyt.

Nic mocniej zaboleć nie mogło oboje państwa, jak gdy ktoś ich uprzedził z nowością, prześcignął elegancyą. Zmieniano też powozy, konie, wszystko w domu co było starszem i już spowszechniało.

Leoś, dzięki znajomości z hrabią, który go wyraźnie podszczuwał, i z łaski innych przyjaciół, którzy z niego korzystali, pomnożył liczbę swych fantazyj, kilku nowemi kosztownemi... Starożytna broń i sprzęty stały się passyą... A że znajomości wielkiej w tym przedmiocie nie miał, płacił drogo rzeczy i

niełądne i jawnie podrabiane, co go na stratę i śmiech narażało. Ponieważ drudzy mieli konie rasowe, Leoś roznamniętniał się do koni i przepłacał je... Naostatek ponieważ gra gruba dobrze stawiła człowieka, grał i przegrywał z uśmiechem i lekceważeniem, które mu jednało serce tych, co go ogrywali.

Szacowano go niewiele, śmiano się z tych dorobkiewiczowskich fantazyj po cichu, ale go lubiono. Pieniędzy pożyczał łatwo, nie dopominał się prawie nigdy — karmił dobrze, dowcipem nikogo nie raził. Kobiety szczególniej przepadały za nim... Przezwano go Nabobem za kulisami, dokąd hrabia nie omieszkał go wprowadzić.

Leoś kochał żonę — młodzieńczą namiętnością raczej, niż sercem; uśmiechano mu się i dawał się po trosze bałamucić. Żona nie wiedziała o tem z początku, ale usłużny hrabia nie omieszkał jej o tem zawiadomić. Nie robiła mu, jako bardzo praktyczna, wymówek żadych, bo powiedziała sobie, że ją to uczyni swobodniejszą. Serca, jak matka, nie miała — a świata używać swobodnie pragnęła mocno. Hrabia miał dosyć łaski — był to „dobry kuzynek.“ Leoś się z tego uśmiechał, nie widząc w tem nic złego... nie był zazdrosny wcale. Nie przypuszczał też, aby ta galanterya miała być dla pożycia małżeńskiego groźną, i pochlebiał sobie, że hr. Teofil z nim walczyć w sercu kobiety nie może. Zapomniał i nie wiedział o tem, że niewiasty miewają kaprysy, i że zręczny brzydal niebezpieczniejszy jest od głupiego Antinousa... Leosiowi tego dnia nie ogłoszono jeszcze wyroku; nazajutrz dopiero książę się podjął zwiastować mu co go czekało.

Pierwszego wieczorku marszałkowa opowiedziała mu tylko o matce, że jest nie bardzo zdrowa, że tęskni, że Morysia od siebie puszczać sobie nie

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK W OŁOZAWNICY Willa pod KRASZEWSKIM

życzy tego p. Zręczna kobieta nie okazała najmniejszego żalu do niej, ani do brata swojego zięcia.

Rano po śniadaniu, które się z całą możliwą formalnością odbywał w sali jadalnej, zastawiane tak obficie, aby się potem przysmakami porzuconemi, które nigdy nie wracały do śpiżarni — służba rozkoszować mogła, — książe wziął Leosia do siebie. Jemu powierzone było przygotować go do podróży i dać mu instrukcye stosowne, które marszałkowa miała potwierdzić i wyjaśnić.

Zapalili cygara, i Leoś poczynał już mówić o o ogierze Sanguszków, którego targował, za którego żądano tylko tysiąc dukatów, i który miał furore zrobić w Warszawie, gdy książę stanąwszy przed nim, przerwał mu.

— O tem potem, mój Leosiu — mam z tobą do pomówienia... Wybadałem marszałkową... zdaje mi się, że ratując tego biednego Morysia i dla własnych interesów należałoby ci pojechać do Rakowiec.

Leon, któremu się wcale nie chciało ruszać z Warszawy, zmarszczył się mocno...

— O! aż jechać samemu! zawołał — zmiłuj się książę — jechać!

— Na krótko, ale należy — matkę tam jakiś ksiądz proboszcz wziął w kuratellę — kobieta znękana, nie młoda, chora, daje się powodować, i Morysia bałamucą...

Maurycy powinien się był dla familii poświęcić — to była rzecz postanowiona. Wszystkie rodziny, które się chą dźwignąć, zawsze tak postępowały, że młodszych oddawały do klasztoru lub tworzyły im uczciwe, ale podrzędne pozycye. Na nieszczęście majoratów nie mamy — ale je w ten sposób zastępowano. Moryś tu z nami, mógł prowadzić życie bez troski, szczęśliwe, swobodne. Chą go zamurować na wsi. Matka życzy sobie majątek podzielić. Na takiej

stopie jak teraz domu utrzymać nie będzie podobna — zważ... Zniżyć gammę, jest to się potępić obwinić o nieopatrzność — spaść w opinii. *C'est chose grave.* To kwestya dla ciebie żywotna...

Matka cię zawsze preferowała, kocha cię, słuchała — dosyć, żebyś się pokazał tam, przemówił — a zwyciężysz. Maurycy — ja to wiem — czeka tylko na to, ażebyś go wyzwolił. Trzeba jechać, działać, wyrwać go ztamtąd i niedopuścić działu. Morysiowi tu życie tak się urządzi, że będzie szczęśliwy... daję ci na to słowo.

Nie powiedział więcej. Leoś siedział zamyślony i chmurny, bawiąc się dobytą chustką, którą miął i tarł niemiłosiernie. Argumenta księcia były przekonywające, ale wyjazd z Warszawy równał się dla Leosia wygnaniu, rozrywał jego życie tak ułożone przyjemnie... psuł mu kombinacye... był ofiarą, a chłopak wcale do ofiar nie miał skłonności.

— A! to, przyznam się — rzekł cicho — to rzecz okropna... Czyżby to listami nie można zastąpić?

— Zlituj się — któż co robi przez listy? Listy służą do przynoszenia złych wiadomości, nigdy do sprowadzania dobrych. Listy? posły? ty wiesz, że to środki zwłoki... to się nie zdało na nic. Jechać potrzeba koniecznie.

— A! koniecznie! westchnął Leoś — koniecznie — — ale nie zaraz...

— Owszem, sądziłem, że jak najrychlej... dodał książę. Później być może po czasie. Morysia słabego, bo słaby jest, zbałamucą; matka da sobą zawładnąć, każda chwila droga...

— To okropna rzecz! trąc czoło ręką zawołał Leoś — nie byłem do tego przygotowany...

Gdy to mówili, weszła niby z interesem do księcia marszałkowa, zobaczyła Leosia i zapytała.

— Cóż to Leoś siedzi tak chmurny? o czem mówicie tak seryo?...

— Niech sobie mama wystawi! przerwał siedzący na kanapie Leon. Książę się mnie chce pozbyć i wyprawić do Rakowiec. Po co? dla czego? nie rozumiem. Jak gdyby Morysiowi nie można kazać tu przyjechać, do mamy jabym napisał tak czule, tak przekonywająco.

Marszałkowa spuściła oczy.

— Już to, wiesz co, Leosiu — odezwała się — choć mi ciebie bardzo żal, ale bodaj że to jest koniecznością — Maurycemu grozi to, że go oplączą, zbałamucą, i że my też stracimy w nim brata. Matka się dziwaczy... chce podziału... Do czego ten podział? Maurycy mi się po sto razy poprzysięgał, że się nie ożeni.

Trzeba żebyś jechał Leonie, ale trzeba ażebyś jechał z mocnem postanowieniem, z energią, i nie dał się tam niczem zmiękczyć. Matka cię posłucha... Morysia zabrać koniecznie i przywieźć go... Malborzyńskiemu dać plenipotencyę... matce zostawić Rakowce naturalnie — nie tykając ich za jej życia...

Jeżeli ks. Kaniewicz, który sobie tony tam daje osobliwsze, mentorskie jakieś... zechce ci się przeciwić, wystąpić ostro przeciw niemu. Matce można innego kapelana, pobożnego człowieka znaleźć, któryby się do naszych interesów nie mieszał...

Tak, zasiadłszy, poczęła coraz się ożywiając mówić marszałkowa. Leoś słuchał, niewiadomo czy biorąc to bardzo do serca, czy myśląc o czem innem, ale smutny był i pogrążony w sobie. Naprożno się go starano zająć tem, ożywić — przyszłość mało go obchodziła, a psuło to dzień obecny, dla niego najdroższy.

Książę i marszałkowa postrzegli, że mimo najsilniejszych argumentów, pozostał zafrasowany i

chłodny. Trwało nawracanie dobrą godzinę, a pani Falimirska wyszła postanowiwszy żonę na niego nasadzić, jak mówiła, ażeby ta do podróży go skłoniła. Felicya miała pewną przewagę nad mężem — a marszałkowa nie wątpiła, że choć Leoś jej nie zawadzał, będzie rada na jakiś czas uwolnić się od niego i być zupełnie swobodną.

Jakoż, już rozpocząwszy wprzódy namawianie córki, znalazła ją tego rana przygotowaną do czynnego działania.

— *Ma chérie*, odezwała się do niej matka... i o to mi chodzi, ażebyś ty trochę odetchnęła, Leoś jest bardzo miły, ale trochę nudny... monotonny i bardzo sobą zajęty. Przyznaję chętnie, że nie zazdrośny, ale zawsze jednak patrzy i słucha. Trochębyś odetchnęła. Nawet, powiem ci z doświadczenia, to żywszą miłość obudzi w nim. Więc ze wszech miar, niech jedzie...

Felicya dziecinnie, naiwnie popatrzała matce w oczy, i rzuciła się jej na szyję nic nie mówiąc, całując ją za to, że tak dobrze odgadła jej myśli. Nie powiedziała nic, ażeby nie powiedzieć nadto... lecz widać było, że pozbycie się na czas jakiś Leona pożądane było...

Tegoż dnia, gdy się sami znaleźli, Felicya rachująca na skutek nieochybny swych pieszczot, przymilając się, głaszcząc, szczebiocząc, poczęła na męża nastawać, by do matki jechał, głównie dla tego, aby nie pomyślała, że jest opuszczona i zapomniana, i żalu za to do niej nie miała.

Nalegania te ze wszech stron się powtarzające, na słabym Leonie uczyniły wrażenie konieczności posłuszeństwa... Powiedział ziewając, że pojedzie.

A że go to nudziło — począł zaraz o Sanguszkowskim koniu; żona zaś, której koń nie bawił, skorzystała z tego i wtrąciła o bransoletach i naszyj-

niku, który chciała mieć, ale to — koniecznie. Roztrzpiotała się rozmowa... Stanęło na tem jednak, że gdy Leoś wychodził, kazano mu dać słowo — iż jedzie.

Podróż teraz dla pana Leona była niezmiernie ważną sprawą.

Tegoż wieczoru, faworyt pański, jego najmilszy sługa, kamerdyner, a raczej zausznik — niejaki pan Symforyan Żygrzyński — został do narady wezwany. P. Symforyan, którego nastręczył Monti, niegdyś kamerdyner Radziwiłłów którychś, po śmierci ostatniego swojego pana był do wzięcia właśnie — za drogie pieniądze zdobył go Leoś, ale człowiek był nieoszacowany. W pokoju można go było wziąć za niedobrą kopię salonowego eleganta, miał na palcu turkus trochę mniejszy tylko od tego, który pan nosił, ubierał się modnie, a co do buty i złego tonu przechodził mistrza...

Powtarzamy, był to człowiek nieoszacowany. Można mu było pieniądze powierzyć i regestra, które umiał tak utrzymać, że w nich nigdy widać nie było oszczędności, jakie sobie z nich zachowywał. Śmiały, roztropny, honor pański utrzymywał świetnie, wiedział gdzie sypnąć, nie dał sobie imponować, a formy i zwyczaje znał tak, że mógł za mentora służyć. Można się nań było spuścić z ubiorem, doborem krawatu, szpilki, rękawiczek... Pamiętał o wygodach... W delikatnych sprawach, wymagających dyskrecyi, nigdy się nie dał za język wyciągnąć. Słowem, była to perła kamerdynerów — człowiek, jak wyżej dwakroć powiedziano, nieoszacowany — a zarazem nieznośny.

Był bowiem dumny, opryskliwy, i wysoko się nosząc z sobą, co kilka dni za służbę dziękował. Skutek tego był zwykle taki, że otrzymywał prezent

piękny i zostawał na miejscu. Niemniej powtarzało się to przy najdrobniejszej okoliczności...

Bez pana Symforyana podróż w dzikie owe kraje była niepodobieństwem. Trzeba się było poradzić z nim seryo — i poczynić przygotowania. Symforyan posłyszawszy o projekcie, cały się wstrząsł. Mnogie węzły i jego łączyły z brukiem Warszawskim: miał tu swe damy, w których się po trosze kochał, miał swą partyę, bo grywał, zresztą stół był doskonały... a Symforyan podróży w ogóle nienawidził.

Leoś dał mu do zrozumienia, że to jest nieuchronnem. Przybrał minę nader zamyśloną i posępną.

— Jest to, proszę grafa (tytułował go już tak od początku i Leoś się nie sprzeciwiał) — jest to rzecz trudniejsza niż się zdaje. Tak powiedzieć: jedziemy, to łatwo... ale panu grafowi się tak wyrwać z jego delikatnem zdrowiem i przyzwyczajeniami...ho! ho!...

Ale najprzód, proszę grafa, toż my powozu do podróży nie mamy! A tak! To powozy do miasta, a do drogi ani jednego... Przecie mnóstwo rzeczy trzeba pozabierać...

A tak, ciągnął dalej widząc, że Leon go słucha z uwagą — a tak. Na wsi będzie wszystkiego brakowało — to wiadoma rzecz... Do ubrania, do negliżu, pościeli, toaletowe przybory... a i bez śpiżarni podróżnej też nie ruszyć! To się tak zdaje... Wybór sam... ogromne zadanie! Po karczmach, po pocztach obrzydliwości — w gębę nic wziąć nie można.

Trzebaż żeby powóz to dźwignął... no — i służącego, bo się bez niego nie obejdziemy — ja sam pakować nie mogę, jak grafowi wiadomo, że to sobie wymówiłem, tylko dojrzę.

Zamyślony Leon, bąknął tylko:

— Cóż zrobimy z powozem?

— Kupić trzeba — to nie ma rady, i to taki, żeby go raz wraz nie smarować, żeby się osie nie łamały, żeby i pan i ja też wygodnie siedział...

— O powozie ja dziś pomyślę — dodał Leon — a waćpan zawczasu myśl o wyborze... Jedziemy jutro lub najdalej pojutrze.

— Zaledwie na pojutrze będziemy gotowi — rzekł Symforyan — sama bielizna rzecz ważna... Musimy jej tyle wziąć, aby nie prać na wsi, bo nam ją zdezolują, a to przecie droga rzecz i bez niej nie stąpić... Ile pan myśli zabawić z podróżą? bo ja to wiedzieć muszę...

— A no — parę tygodni — rzekł Leon ze smutną rezygnacyą.

— Dwa tuziny koszul... mruknął Symforyan, potrząsając głową...

Leon nie miał ochoty do dłuższej rozmowy — i kamerdyner wyszedł wzdychając do progu, za progiem przeklinając... Cały ten dzień chodził po wszystkich kątach, siejąc niepokój i gotując się do podróży, robiąc notatki, ściągając wszystko co tylko jakimkolwiek wypadkiem przydać się mogło.

Leonowi nie dawał spoczynku nawet w salonie, dowodząc swej gorliwości i nieustannemi trapiąc go pytaniami.

Wieczorem wtoczono powóz kupiony, śliczną małą angielską bryczkę, ze trzema kozłami krytemi, z mnóstwem waliz i schówek, elegancką, oryginalną i assekurowaną, że najstraszniejszą podróż, choćby przez pustynie kamieniste, wytrzymać może.

Pan Symforyan znalazł ją za małą i krytykował mocno — lecz zrezygnować się musiał. Podbiła jego serce tem, że osie zamknięte same się zalewały oliwą, będącą w rezerwuarze, i że smarować jej nie było potrzeba.... I to przemawiało za nią w oczach kamerdynera, że była angielska, a dla wyrobów Wielkiej Brytanii miał poszanowanie...

Pakowano cały dzień w dziedzińcu, pakowano w pokojach, latano po wschodach, ciągle się coś przypominało; pan Leon sam nieustannie poddawał niezbędne rzeczy do zabrania, a niezbędnem było wszystko, czego używać nawykł, a pozbawiać się nie chciał. Bryczka tak została przeładowana, że nie było w niej próżnej kieszonki, bo pan Symforyan też nie mógł się obejść bez bardzo wielu rzeczy, garderoby, przyborów toaletowych, bielizny i t. p.

— Piekielna to rzecz, panie grafie — te podróże, gdzie kolei żelaznych nie ma — westchnął na odjezdnem. Gdyby przyszło je częściej odbywać, słowo honoru — choć jak jestem przywiązany, a za służbę bym podziękował.

Leoś, podzielał zupełnie zdanie jego, i nie rzekł ani słowa...

Gdy nadeszła odjazdu godzina — wszyscy go żegnali najczulej; przybył i hrabia Teofil, i Monti. Żona mu się uwiesiła na szyi, ale tyle oczu patrzało na nich, iż się z czułości wybuchem wstrzymać musiała.

Książę mu szepnął na ucho:

— *De l'energie, mon cher, beaucoup d'energie. Que diable! Vous êtes le chef de la famille! Ne vous laissez pas fléchir...*

Mówiono mu to tyle razy, iż Leoś do noclegu, ciągle sobie sam powtarzał, iż wiele, wiele energii rozwinąć musi.

Ponieważ przypominał sobie dom matki, a niewygody w nim się obawiał pan Leon, postanowione zostało, iż pan Symforyan z ostatniego noclegu zostanie przodem wyprawiony, aby mieszkanie i wszystko co było potrzeba przygotował. Zgodził się na to kamerdyner. Było to naturalne, boć Leoś musiał

tam znaleźć do czego był przywykły, aby napróżno się nie męczyć prywacyami niepotrzebnemi.

Nikogo nie było w Rakowcach, oprócz starej Czermińskiej i panny Damianny, gdy pocztowa bryczka, na której wśród waliz i tłómoczków siedział z dogasającem cygarem hawańskiem p. Symforyan — zatoczyła się, nie przed folwark, ale wprost przed ganek dworu.

Kamerdyner widokiem rodzinnego gniazda swojego pana zgorszony był niezmiernie. „Ale to — szatra!“ rzekł w sobie oburzony.

Przez okno wyglądająca panna Damianna, nie wiedząc kto to był, trochę przelękła wyszła powoli. Nagromadzone na bryce walizy przerażały ją. W sieniach spotkawszy tak wytwornie ubranego i przyzwoicie się prezentującego mężczyznę, bardzo nasępionej twarzy, wzięła go za jakiegoś gościa, i krygując się zabierała się wprowadzić do salonu, gdy p. Symforyan impetycznie i bardzo szybko odezwał się:

— Hrabia Leon przybywa... wysłany jestem przodem, aby tu przygotować wszystko na jego przyjęcie. Proszę mi kazać pokazać appartament.

W tem oświadczeniu było coś tak nadzwyczajnego, zdumiewającego, dziwacznego, że panna Damianna, acz osoba wielkiego i wielostronnego doświadczenia, otwarła usta szeroko i — zaniemiała.

Mocno tem zniecierpliwiony pan Symforyan, powtórzył interpellacyę, i dodał z przyciskiem:

— Tylko prędko, bo ja nie mam czasu czekać — i proszę o ludzi do zniesienia waliz...

Nie mogąc sama w tak ważnym przedmiocie nic rozstrzygać, panna Damianna wystraszona, przebąknąwszy, że prosi poczekać chwileczkę, pobiegła, za głowę się chwytając, do pani.

Ze strony syna, przybywającego do rodzicielskiego domu, było w tem coś niemal obrażającego.

Czermińska zmieszała się, rozpłakała, i zdając wszystko na pannę Damiannę, sama się modlić zaczęła.

Pan Symforyan wstrzymany w sieni, chodził po niej w humorze okropnym, mruczał i klął.

Ukazała się panna Damianna.

Nie było inego appartamentu, tylko pokój gościnny z przedpokoikiem na górze... Wszedłszy tu skrzywił się kamerdyner, wyrażając się bez ogródki, że u nich lepiej lokaje są pomieszczeni. Panna Damianna drżąca nie miała odpowiedzi na to, łzy się jej już w oczach kręciły. Jędrka i stróża posłano po tłómoki.

Kamerdyner kwaśny, zbliżył się do stojącej kuzynki.

— Proszę pani — odezwał się z dumą — a dla mnie pokój?

Nowa wynikła trudność i nowe nieukontentowanie, bo pokój nie mógł być gdzieindziej jak na folwarku.

— Niechże to dyabli biorą — zamruczał przybyły — z temi szlacheckiemi dziurami...

Może przez zemstę za to nieposzanowanie godności swej, pan Symforyan nie szczędził wcale panny Damianny. Brakło mu *lavabo*, nie było stolika, łóżko było nie do spania, zapotrzebował trzech dywanów... W domu powstał zamęt straszny i bieganina nieznośna, pannę Damiannę rozbolała głowa.

Symforyan był nieubłagany.

— Niech znają! mówił w duchu...

Z wielką biedą urządził się pokój dla pana Leona, który kamerdyner znajdował chlewem nieznośnym — ruszając ciągle ramionami i plując — gdy — jakby sobie co przypomniał, nagle popędził za odchodzącą panną Damianną.

— A! proszę-no pani — zawołał — to niedosyć. Pan jest zdrowia bardzo delikatnego i ma swoje

nawyknienia. Proszę mi darować, ale ja o wszystko dbać muszę, bo żeby miał co jeść i pić, tak jak on przyzwyczajony...

Pannę Damiannę, która z razu płakała, zaczynało to gniewać.

— Cóż tedy potrzeba? spytała.

— Jakie u państwa wino jest? może prawdziwego Bordeaux nie ma? Za napój pije Chateau Margot... a i Sherry potrzebne, i szampańskie, i stare węgierskie. Z rana do śniadania jaja świeże i bifsztyk krwawy po angielsku... śniadanie drugie o pierwszej, obiad po szóstej. Chleba my czarnego nie jemy. Doktor panu zakazał. Świeże pieczywo codzień. Z rana herbata... kawę mokkę po obiedzie mieć musi, bo innej on w gębę nie weźmie...

Mówił to jakby naigrawając się ze starej panny, na którą pogardliwie poglądał, mierząc ją od stóp do głowy impertynenckiemi oczyma. Rozgniewana już, odeszła nie odpowiadając słowa, w salonie rozpłakała się znowu i siadła otrzeć łzy, wreszcie powróciła do Czermińskiej tak poruszona, że mówić nie mogła... Nie wiedząc co się stało, zlękła się mocno wdowa; lecz ochłonąwszy nareszcie, panna Damianna, choć po krótce, opowiedziała jej znalezienie się głupiego sługi...

Czermińska, skłonna teraz do płaczu, zaczęła płakać także; ale w jej charakterze było — czego dała dowody — że umiejąc cierpieć, przywiedziona do ostateczności, umiała się też oprzeć gwałtownie. Zuchwalstwo sługi, nie bez wiedzy syna popełnione — oburzyło ją mocno.

Podniosła ręce do góry.

— Wszystko to ciężkie grzechy moje! za które Bóg karze — zawołała — niech będzie pochwalone Imię jego, niech będzie błogosławiona dłoń co chłoszcze... Stań się wola Twoja...

Po chwili odezwała się do kuzynki:

— Nic się nie troszcz... niech będzie tak jak na dzień powszedni...

I ręką zamachnęła w powietrzu.

To przygotowanie całe do przyjazdu Leona, źle usposobiło matkę... ale ten syn był jej ulubieńcem przez długie lata, dla niego poświęciła wiele... i nikt w świecie wagi tych ofiar nie wiedział. Ludzie się zwykli przywiązywać do tych, dla których cierpieli, którym wiele uczynili. Pomimo przykrego wrażenia, wzruszona była Czermińska... Miała go zobaczyć znowu i uścisnąć...

Przyszło jej na myśl mimowoli, że nie przybywa darmo, że go wysłano... i ulękła się własnej słabości. Chciała mieć Maurycego przy sobie, przygotować go na swojego opiekuna i obrońcę.

Jakże się zmieniły te czasy, gdy Leoś dla niej był wszystkiem — a Moryś niemal obcym! Z załamanemi rękami zaczęła się przechadzać po pokoju, i — uciekła do modlitwy! Nawykła teraz była szukać w niej ratunku.

Wyglądano Maurycego; szczęściem nim Leoś nadjechał, on powrócił. W progu czekała nań z zawiadomieniem panna Damianna, ze skargą, ze łzami, i zaprowadziła do matki... Moryś także zmieszany był i zaniepokojony przyjazdem Leona. Od wyjazdu marszałkowej, walczył on z sobą — i nie umiał się rozbratać z myślą powrotu do Warszawy, dokąd go namiętność rozbudzona na nowo na odjezdnem, ciągnęła. Na próżno się bronił tej słabości — kobieta ta panowała nad nim.

Nie wiedział jeszcze z czem Leon przyjeżdża, ale znał matkę i jej wstręt do marszałkowej — niechęć i opór przeciw wyjazdowi swemu. Sam dobrze nie wiedział co pocznie. Matka stanęła przed nim, i drżąca pocałowała go w czoło.

— Morysiu! odezwała się — rachuję na ciebie, że ty mi zostaniesz. Jam sierota. Gdy umrę — czyń co zechcesz, ale mi dotrwaj póki żyję...

Zapłakała, zamilkli.

Późno w noc nadjechał Leoś; oczekiwano na niego...

Zepsute to było chłopię — lecz w niem jeszcze biło serce wspomnieniem lat ubiegłych i miłością dla matki. Na progu domu, na chwilę przynajmniej zdołał zapomnieć o sobie i ze łzami niemal rzucił się do kolan matki. I ona powitała w nim dawniej jedynie ukochane dziecko... Był to moment jasny — ale moment tylko. Tak odzywają się serca, nawet u zupełnie zepsutych ludzi... lecz wzruszenie długo nie trwa i wraca samolubstwo, które raz wzięło w posiadanie człowieka... Leon rozweselił się, roztkliwił i matkę oczarował. Była mu wdzięczna, że jej przywiózł siebie, że o niej pamiętał — zapomniało się wiele, a przebaczyło wszystko.

Leon opisywał swe szczęście, chwalił się swem powodzeniem, mówił o sobie, opowiadał swe tryumfy — cały niemal wieczór zabrały te apologie i przechwałki których słuchano w milczeniu.

Wieczerza, którą podano, przypomniała dawne czasy, starego Czermińskiego. Na widok jej przyszło na myśl staruszce znalezienie się kamerdynera i odezwała się do syna:

— Przepraszam cię Leosiu — twój służący żądał tu dla ciebie jakichś extraordynaryjnych rzeczy, których my nie mamy, aniśmy do nich przywykli. Nie mogłam cię przyjąć inaczej...

Leoś się zarumienił, domyślając co Symforyan zbroił, przepraszał bardzo; ale — w istocie nawykły teraz do innego sposobu życia, jeść nie mógł, wina skosztował i odstawił... Wstał niemal głodny... Nie mówiono o tem więcej. Po wieczerzy rozmowa znowu

przeciągnęła się długo, lecz nie tknięto nic drażliwego... Czermińska się uspokoiła...

Późno wyszli z sobą obaj bracia, do mieszkania przygotowanego na górze, które Symforyan wyelegantował, wykadził, wyświeżył. Stał tu już ze skargą i narzekaniem na ustach, gdy Leon domyślając się tego, dał mu znak, aby zamilkł, odprawił go na spoczynek — a sam z Maurycym pozostał...

Do tego posłannictwa energicznego, na jakie go przeznaczono, Leon nie był usposobiony. Maurycy miał więcej w charakterze energii, a złamana bolem Czermińska mogła też w każdej chwili wybuchnąć. Jak wszyscy słabi i znękani, dopiero w rozpaczliwej ostateczności zbierała się na siłę... Leonowi tego dnia nie przyszło nawet na myśl rozpoczynać walkę, uległ wrażeniu jakiego doznał, pieszczone dziecko, zepsute, niemal odrodziło się tą miłością, którą mu się poruszyło serce...

— Przyjechałem do was — rzekł do brata — aby matkę i ciebie zobaczyć... Opuściliście mnie....

— Chyba ty nas...

— Nie — ja przynajmniej chciałem cię mieć z sobą... i pragnę tego...

Maurycy jednem słowem odpowiedział:

— Matka...

Zmilczał Leon i rozpoczął o swem życiu...

— A! wierz mi, odezwał się do brata — nie ma jak życie w tym świecie ludzi dobrego wychowania, w tych sferach, w których się zapomina, że inne istnieć mogą... Świat to idealny... raj, mój Morysiu... Płynie się jak w dzień po zwierciedle jeziora, które niebo odbija, wśród woni, śpiewu, uśmiechów... Żadna nóta dysharmonijna nie razi — żadne obejście szorstkie nie drażni... Wierz mi — ja przez miłość dla ciebie, pragnę cię w te sfery wciągnąć...

Moryś pomilczawszy, powtórzył mu:

— Matka...

— A! gdybyś istotnie chciał, i matki poprosił, nie zabroniłaby ci żyć, gdzie nam lepiej. Ona przywykła do tej ciszy... tyś jej nie tak potrzebny... a mnie, Morysiu — byłbyś podporą — pomocą...

— Mój Leonie — rzekł cicho brat — będziemy o tem mówili... ale ja nie wiem, czym do tego życia stworzony... Twoja natura delikatniejsza, usposobienia inne, zawsze byłeś różnym odemnie. Przypomnij dawne czasy...

— A! zapomnijmy je lepiej! odparł Leon... ale — dosyć...

Przywożę ci czułe, serdeczne ukłony od marszałkowej, która po tobie tęskni. Doprawdy — roześmiał się — mama jest w tobie zakochana...

Zarumienił się Moryś i ramionami poruszył — nie wiedząc co mu powiedzieć.

— Kazała mi na odjezdnem oznajmić ci, że cię czeka, i że sama twój pokój na nowo urządziła... mówił Leon... Zart żartem, jeśli nie inaczej, kocha cię jak syna, a ja mógłbym być zazdrosny. Książę także tęskni po tobie, a ten poczciwy Teofil, który się zupełnie wcielił do naszego domu, nieustannie mnie pyta, kiedy się ciebie doczeka?...

Tu, zwracając nagle rozmowę, Leoś, który się lubił chwalić — począł o swoich koniach mówić, i o nabyciach broni i sprzętów.

— Wiesz, że w Warszawie o niczem nie mówią, tylko o nas. Felicya jest to *l'astre du jour*, ona narzuca mody, ja imponuję ekwipażami, a mogę powiedzieć, we wszystkiem mam sukcesa ogromne... nawet takie, z których mi się chwalić nie wypada... Do jednych kart nie idzie mi szczęście.

— Jak to! grywasz? podchwycił Maurycy.

— A! cóż dziwnego! niesposób znowu stać się anachoretą żyjąc z ludźmi. Wyśmianoby purytanizm...

Grają wszyscy, hrabia Teofil wściekle grywa... Są towarzystwa, w których stolika zielonego niepodobna uniknąć... Passyi nie mam... ale grać muszę, i przegrywając — puszczam się — ale — co tam!

Wracam do Felicyi — mówił nie przerywając... Kochają się w niej na zabój. Śliczna bo jest... wypiękniała mi jeszcze... rozkwitła! Był to pączek, dziś jest kwiatkiem. Nabrała śmiałości, dowcipu, dezynwoltury takiej... iż czasem wprawia w zdumienie. Świat przed nią literalnie na klęczkach... Hrabia Teofil szaleje...

— A ty?

— Śmieję się... bo najprzód Felicya mnie kocha — powtóre to wcale człowiek nie na Don Żuana stworzony! Mnie to bawi. Zazdrości mi — wścieka się. I nie jednej Felicyi... ale domu, koni i sukcessów... Mimo to, człowiek nadzwyczaj miły w domu, *très comme il faut* — dowcipny, no — i dobrze w świecie położony; a my z nim *amis cochons* jesteśmy... Choć ja już teraz niepotrzebuję poparcia — ale zawsze to... daje pewny ton — *cela pose*...

Paplał tak Leon, zasiedzieli się do pierwszej, i nie rozeszli, aż zobaczywszy, że godzina kyła bardzo spóźniona.

Choć pierwszy ten wieczór przyjemnie zszedł Leosiowi, i pobyt tu nie był mu tak ciężki jak się obawiał, nazajutrz trzeba było pomyśleć o wzięciu się do interesów. Leoś postanowił zacząć od matki... Nie życzył sobie bawić tu zbyt długo, miał jeszcze być w Holmanowie dla widzenia się z Malborzyńskim — trzeba więc było rozpocząć walkę, która się mogła przeciągnąć, aby nazbyt długo nie być wstrzymanym.

Nazajutrz rano już obudziła się tęsknota do Warszawy. Symforyan, który przyszedł rano z narzekaniami, oburzeniem, oświadczył wręcz ze gdyby

tu długo pozostać przyszło, byłby zmuszony za służbę podziękować.

— Słowo honoru, powiadam grafowi — zakończył — jeżeli wiem jak tu ludzie żyją! Ja nie wiem nawet czy to ludzie! Postawili mnie w takim brudzie i smrodzie, że — abominacya! Nie wiem czy jaśnie pan jadł, ale mnie co ze stołu przynieśli — w gębę nie mogłem wziąć. I tak wszystko... Mnie zresztą — cóż tam! — człek wytrzyma; ale dla jaśnie pana, słowo daję, delikatnemu zdrowiu może szkodzić. Kto nawykł to nawykł — jak pan Maurycy, albo i stara pani; ale my — to darmo...

Leon nie odpowiadał długo...

— Daj bo już pokój — szepnął w końcu, — wczoraj się skarżono na twoje wymagania. Na wsi — trudno — przeżyjemy tych dni kilka.

— To szczęście — dodał Symforyan, — że ja wędlin wziąłem i trochę pasztetu... a parę butelek naszego Bordeaux... bo przyszłoby na ich krupniku z głodu umierać...

Leon, obawiając się, by go nie posłyszano, dał znak, by zamilkł... odprawiano go dla spoczynku.

Po śniadaniu, Leoś udał się do matki; Maurycy został, jakby umyślnie, w salce, aby nie przeszkadzać poufnej rozmowie. Czermińska była przygotowana do niej.

Zaczął Leon od ubolewania nad losem brata... Mówił długo, dotknął pierwotnego planu niepodzielności majątku... starał się przekonać matkę, że się nie godzi przyszłości rodziny poświęcać dla zatrzymania Morysia na wsi, gdzie musi zardzewieć...

Za spuszczoną głową, milcząca słuchała pani Czermińska...

— Wiem ja to wszystko, wiem. Słyszałam — rzekła... Ale Morysia nie puszczę... Tobie się podobało życie na wielkim świecie, jam ci go nie bro-

niła — pomogłam do niego. Dla ciebie sprzeciwiałam się ojcu nieboszczykowi, ale dla jego pamięci chcę poszanować wolę zmarłego, i Morysia namówiłam, aby jej był posłuszny. Ojciec nieboszczyk — panie świeć nad duszą jego! — zawinił przeciw mnie, ale i ja zawiniłam nieraz przeciw niemu. Niech ma za grobem choć tę pociechę, że jeden syn poszedł tą drogą, którą on mu wyznaczył.

Umilkła staruszka... Tego ostatniego argumentu Leon się wcale nie spodziewał, schwycił go on nieprzygotowanego... Musiał zmilczeć. Wybór Leona, w ogóle, chociaż szło o własną sprawę jego, nie był szczęśliwy — za nadto leniwy, zbyt pieszczony, bez taktu i planu, mógł tylko silnie natrzeć, jak wojsko nieregularne, i — odepchnięty w pierwszem starciu — musiał ustąpić, nie mogąc strategicznie prowadzić kampanii. Można to było przewidzieć, i tak się istotnie stało...

Zabrakło mu argumentów, cierpliwości, wytrwania, nudziło go to, nie wiedział co robić. Próbował do serca matki przemówić — serce było czułe, ale postanowienie niezmienne. Maurycy nie chciał się sprzeciwiać matce, choć wspomnienie marszałkowej ciągnęło go silnie do Warszawy.

Leon cały dzień, coraz słabiej attakując, znużył się, zrozpaczył, a po obiedzie, którego mało jadł, wyjechał do Holmanowa, dla porady i rozmowy z Malborzyńskim. Polecono mu go wziąć w pomoc, i było z tem dogodnie jego lenistwu.

Tu już go oczekiwał p. Aleksy, nawet z drugim obiadem, sporządzonym umyślnie wytworniej, przewidując, że w Rakowcach głodnym być może... Malborzyński i sam stół dobry lubił, i chciał sobie pozyskać Leona.

Znalazło się doskonałe wino, wyborne cygara, a co najwięcej, z tym Malborzyńskim Leon się czuł

w swoim żywiole i świecie, po którym tęskno mu było. Pierwsze owo poczciwe wzruszenie, którego doznał w Rakowcu, już się było rozwiało; czuł się tu obcym, miał żal do matki, brat mu się wydawał ograniczony i śmieszny, że z dobrodziejstw, jakie mu ofiarowano, nie umiał korzystać.

Niemal uszczęśliwiony rzucił się Leoś ściskać p. Aleksego, z którym zawsze dosyć sympatyzował.

— A! jakże to szczęśliwie że was znalazłem! — począł w ganku — potrzebowałem się widzieć z wami... mamy do mówienia wiele. Jesteś przyjacielem domu, mogę być z tobą otwarty...

Weszli tedy do salonu, a pan Aleksy począł zabiegliwie przyjmować gościa, wywiadując się czem mu służyć. Choć godzina była spóźniona, przyznał się, że obiad jest gotów.

— Ja wprawdzie niby to jadłem obiad u mamy, rzekł Leon, — ale słowo ci daję... że to się obiadem nazwać nie może i będę jadł chętnie... bo musisz mieć ludzkiego kucharza. W Rakowcu karmią się... ale jeść nie umieją. Sam nie wiem jak ja tam mogłem dawniej wytrwać na tej kuchni. Jest to coś okropnego. Przedwieczne potrawy i zgotowane dla żołądków głodnych parobków... A wino...

— Obiad mój nie będzie pewnie niczem nadzwyczajnem — odezwał się Malborzyński — ale ręczę, że nie struję... Mamy *bisque aux écrevisses,* pasztety z przepiórek... bifsztyk angielski... karczochy... na pieczyste kuropatwy... no — lody, deser...

Stare bordeaux nasze pan znasz; butelczyna szampańskiego się wyszuka.

Leoś go uścisnął z zapałem.

— Cudowny z ciebie człowiek! odgadłeś, że głodny przyjadę! niech ci Bóg płaci...

Nim obiad ten drugi podano — natychmiast przystąpił Leon poufnie do interesu.

— Ja do ciebie, jak do przyjaciela — przybyłem po radę, rzekł — jestem w niemiłem położeniu z matką i Morysiem. Wiesz jakie były układy. Majątek zostać miał niedzielnym. Morysia mieliśmy wziąć do Warszawy, byłby u nas jak pączek w maśle... Wam mieliśmy oddać interesa... Wszystko to, przez intrygi ks. Kaniewicza w łeb wzięło.

Rachując na serce mamy dla mnie, przybyłem reflektować i prosić, ale mama pod wpływem tego klechy, a Moryś bez woli i energii. Niepodobna mi było nic zrobić. Jestem do najwyższego stopnia zniechęcony, zły, zrażony... Co robić? co robić? mów...

Malborzyński zamyślony stał i niewesoły.

— Niech-no pan jeszcze próbuje — rzekł.

— Nadaremnie! ja już znam ich i siebie. Mógłbym się wzburzyć i wywołać katastrofę.

— Niech Bóg uchowa...

— Widzisz — a siedzieć tu i nudzić się i głodzić, i ciupać im głowy... ja nie potrafię — mówię ci. Przytem w Warszawie zostawiłem spraw i interesów tysiące. Miałem już stargowanego konia, powiadam ci cudo... cudo! Ktoś mi go może podchwycić. Monti potrzebuje pieniędzy na ten ogród zimowy... no i tysiące innych różnych rzeczy, a najbardziej to, że ja do życia tam nawykłem... tam się czuję w swoim żywiole...

Westchnął Leoś... i dodał:

— Jeżeli masz Sherry... każ dać do stołu... ja czasem kieliszka potrzebuję. *C'est stomachique!*

— Znajdziemy! wtrącił Malborzyński, którego głowa więcej pono złym rezultatem missyi niż winem była zajęta.

— Co tu robić? spytał Leoś — ja już zupełnie opadłem na siłach... i głowę tracę.

Malborzyński pomyślał, że jej Leoś nigdy nie miał, ale tego nie powiedział, i począł dumać.

— Hm! hm... co robić? rzekł wolno — wie pan co—? Najprzód próbować jeszcze, próbować póki tylko można, próbować u matki, z Morysiem, nawet z proboszczem... wreszcie bodaj przez pannę Damiannę, która jakiś wpływ mieć może...

— Ale mnie nudzi... i — to darmo! rzekł Leoś.

— Nie trzeba się zrażać — dodał Malborzyński — na Boga! zrażać się nie trzeba...

— Lecz ja widzę z góry, że to do niczego nie prowadzi... Cóż dalej?

Trąc czoło Malborzyński chodził żywo po pokoju.

— Co dalej? powtarzał. — Hm? co dalej? Przybrał posępną twarz i czoło namarszczył...

— Potrzeba szukać nowych środków — dodał ciszej i poufnie. Nie chcą się zgodzić na wspólność majątkową? no — cóż robić? naturalnie, pan się już nie będziesz sprzeciwiał, boby to godności jego uwłaczało — ale — jest — *modus in rebus!* Dział jest rzeczą niełatwą, a nic łatwiejszego z drugiej strony, niż — przeciągnąć go. Naprzód ocenienie stosunkowe majątków, ułożenie sched. Pan tego sobie życzysz, oni tego... nie godzisz się na cenę i t. p. Rzecz się przeciąga, wlecze... wlecze — no — i tym czasem okoliczności same z siebie mogą się odmienić!

Leoś skoczył na szyję panu Aleksemu.

— Aleś ty mój zbawca! krzyknął — prawda. Złota, cudowna, wyborna, jedyna myśl... Wlec — wlec... masz słuszność; tylko znowu — żebym ja nie był zmuszony tu siedzieć obok choćby nawet z tobą w Holmanowie — nie wytrzymam...

Mam tam interesa — mówiłem ci — i zresztą — nawykłem. Słowo ci daję, ja się tu rozchoruję i umrę.

— Nie ma najmniejszej potrzeby, ażebyś pan tu dosiadywał — przerwał Malborzyński. Ja już i tak skazany jestem na wędzenie się na wsi — wszak mieliście mi dać pełnomocnictwo — dajcie mi je do działu — a słowo daję — będą mądrzy, gdy ze mną do lat pięciu dział przyprowadzą do skutku.

Począł się śmiać mocno, uszczęśliwiony Leon rozśmiał się także; śmiech ten coraz silniejszy, serdeczniejszy rozległ się po pustym domu.

— Niech ci Bóg płaci! Tyś zbawca nasz. W ten sposób — począł Leon, ja nie mam najmniejszej potrzeby tu siedzieć — dzień, dwa dla mamy i dla przyzwoitości... pojedziemy do Kobrynia zeznać plenipotencyę, lub ci ją przyszlę z Warszawy — i marsz! jadę! klasnął w ręce i zawrócił się na pięcie, podtańcowując.

— Jadę! jadę! zbawco mój! nie wiem jak ci odwdzięczyć...

Wszystko skończone! Myśl genialna jedyna... Zwlekać!...

Podano do stołu. Malborzyński umiał przyjmować smakoszów, miewał tu dawniej księcia... Obiad był prawidłowy pod względem materyałów użytych do niego i sztuki z jaką je zużytkowano... Leoś, który od kilku dni karmił się surrogatami, doznał błogiego uczucia, witając to do czego był nawykły — wykwintne jadło, potrzebne podniebieniom popsutym... Wprawiło go to, jak równie ów pomysł genialny przebiegłego doradcy, w najpiękniejsze usposobienie. Zrzucił ciężar, czuł się wolnym i mógł prawie jak zwycięzca powrócić.

— *A l'impossible nul n'est tenu!* powtarzał przy obiedzie. Mam do czynienia z mamą... to utrudnia... Pan jesteś obcy, pilnujesz powierzonego mu przez przyjaciela interesu, jesteś swobodniejszy... masz

prawo nie czynić żadnych ustępstw... i — wlec — wlec — wlec...

Śmieli się i zapijali. Wszystko było doskonałe. Malborzyński żyć lubił, i pamiętał o tem, aby dom był zawsze zaopatrzony jak należy. Nic go to nie kosztowało.

Samolub Leoś, pozbywszy się już kłopotu, nie chciał nawet o nim mówić, począł o Warszawie, o swem życiu... wychwalał się, śmiał, dowcipował... Tych kilka godzin spędzonych w Holmanowie, fizycznie i moralnie przywróciło mu siły. Poparty przez Malborzyńskiego nie miał już obawy o przyszłość.

Pan Aleksy zalecił mu tylko, aby Maurycego oszczędzał i starał się z nim być jak najczulej. Resztę, dodał, na mnie pan zrzucisz...

Jeżeliby się zaś do pana odwoływali, ha — można zawsze będzie powiedzieć, że interes zdany na mnie, że od niego raz umyłeś pan ręce. I przytem stać.

Naradzali się do wieczoru, wreszcie, choć się Leosiowi chciało zostać z Malborzyńskim, bo tu jemu i panu Symforyanowi byłoby dogodniej — musiał wracać do Rakowiec...

Wrócił ożywiony i w daleko lepszym humorze, niż wyjechał. Z matką tego dnia wcale nie mówił o interesach, a gdy na górę poszli z Maurycym, oświadczył mu w krótkich słowach:

— Byłoby z mojej strony niedelikatnością sprzeciwiać się woli mamy i twojej, kochany Morysiu. Chcecie działu, to trudno! Ja, acz widzę to niekorzystnem dla ciebie... bo to twoją przyszłość i naszą kompromituje — sprzeciwiać się nie mogę. Niech i tak będzie...

Z tylu interesami na głowie, sam nie mogę tego dopilnować — plenipotencyę dam Malborzyńskiemu — i — dzielcie się!... Na wszystko co on podpisze — przystaję. Cóż chcesz! robię co każecie...

Bracia się uściskali milczący, a Leoś zbywszy się już raz kłopotu, wrócił do najmilszego sobie opowiadania o Warszawie, do której jak najprędzej chciał jechać. Maurycy był milczący, niemal zawstydzony zwycięztwem. Nazajutrz Leon oświadczył matce, iż będzie woli jej posłuszny — i że uprosił Malborzyńskiego, aby się tem zajął, a razem ubolewał, że tak nadzwyczajnie mu pilno, iż musi co najrychlej do Warszawy powracać. Długi czas Czermińska nic nie odpowiadała, wpatrując się w swojego dawnego ulubieńca smutnie.

— Śpieszysz się — odezwała się nakoniec — źle ci już z nami. Rób jak chcesz, jak ci lepiej. Co się tycze działu, bądź spokojny; pewna jestem, że Maurycy się zgodzi na wszystko...

Wezwiemy do ułożenia sched, poczciwego podkomorzego Wierzeję — i — jak się to u nas zawsze praktykowało, młodszy mieć będzie wybór między niemi. Gdyby to ci się nie podobało, odstąpi ci, jestem pewna, swojego prawa... Malborzyński nam wcale niepotrzebny...

Wyrazy te znowu Leona zaniepokoiły — cały projekt ułożony przez pana Aleksego w nic się obracał. Nie przypuszczali, ażeby się to w ten prosty sposób wykonać miało...

Zabawiwszy jeszcze dzień cały w Rakowcach, Leoś pobiegł nazajutrz do Holmanowa, a wróciwszy zaczął się wybierać w drogę z pośpiechem, do którego niecierpliwy Symforyan, nie mogący tu już wyżyć dłużej — dopomagał... Rozstanie było czułe ze strony matki, ale milczące. Maurycy też smutno się z bratem żegnał — ciągnęło go z nim jeszcze!

— Do widzenia, rzekł mu Leon; bądź co bądź, przynajmniej nas odwiedzisz w Warszawie! Tego się spodziewamy wszyscy...

Na Malborzyńskiego spadł teraz obowiązek przeszkadzania do działu, do którego miał umocowanie. Człowiek był zręczny i ufny w swoją siłę... Ponieważ Leon mu wspomniał, że podkomorzemu miano ułożenie sched powierzyć, pomyślawszy nieco, postanowił uprzedzić go i przygotować, jak potrzebował. Wybrał się więc do Wierzejek, gdzie bywał rzadko, bo zbyt rubaszne towarzystwo tamtejsze nie bardzo mu było do smaku. Ale u p. Czesława każdy gość był pożądany, byle ich przybywało jak najwięcej. Malborzyński gdy chciał, doskonale się umiał zastosowywać do kompanii, był wesół, śmiały, dowcipny i dobrze stawał do kieliszka. Jak zwykle w Wierzejkach zastał tłum szlachty, wybierającej się właśnie nazajutrz na polowanie z gospodarzem. Czyniono przygotowania; strzelcy, huczki, siecie, strzelby, psy, były w robocie. Dziedziniec pełen był niesłychanego gwaru i bieganiny. Wyprawiano jednych do lasu, drudzy ściągali się dopiero, karmiono i pojono, psy ujadały, rżały konie, ludzie krzyczeli, klaskano z harapów, a śmiechu przy tem wszystkiem było pełno. Podkomorzy stał w ganku, i napawał się tem życiem, w którem był jak w swoim żywiole. Wołał, komenderował, ściskał, poił, a czeladzi użytej, żeby humoru nie traciła, podsuwał i kieliszki wódki, której flaszka stała na oknie w ganku, i dwuzłotówki.

Zobaczywszy Malborzyńskiego, krzyknął wesoło:

— Pan Jezus przy dziecięciu! A to mi gość! Czyś zasłyszał o polowaniu?

— Nie wiedziałem nic, ale tak dawno nie miałem szczęścia...

— Dajże mi pokój z komplementami! serdeczniem ci wdzięczen — rzekł podkomorzy, nocujesz u nas i jutro do dnia z nami... w las...

— Ale...

— Nie ma ale! co znowu! aresztuję! nie puszczę. Strzelec jesteś dobry, myśliwstwo lubisz... a do roboty, jak mi Bóg miły, nie masz tak dalece wiele, ani gadaj.

Scisnął go podkomorzy.

— Inaczej nie będzie...

W ganku i w pokojach było pełno. Węgrowicz z wąsami wyczernionemi na intencyę panny Malwiny, dosiadywał to przy niej, to przy podkomorzynie, której protekcyi się polecał. Slaski opowiadał coś ocierając pot z czoła... Był i Pierzchała, który czasem, gdy gości dużo zjechało do Wierzejek, stawił się tu do pomocy, marszałkował, niewiele mając do czynienia w Rakowcu.

Malborzyński po chwili — z talentem sobie właściwym, zastosował się do tonu tego co go otaczało... Po obiedzie z podkomorzym znaleźli się na chwilę sami.

— Pan podkomorzy dobrodziej wie co mu grozi? zapytał.

— No — co? ja się w ogóle nie łatwo lękam. Cóż tam?

— A no — Czermińscy chcą go prosić do działów...

— Doprawdy? ależ to obywatelska posługa i dowód zaufania... bardzo będę rad im być pomocnym.

— Tak — ale to dyabla robota będzie!

— Chwała Bogu, że jest czem dzielić! damy rady...

— Skomplikowany to dział — dodał Malborzyński — ja mam plenipotencyę od p. Leona do tej

sprawy, chętnie panu podkomorzemu pomoc moją ofiaruję.

Skłonił się stary i spojrzał z ukosa. Dobroduszny był pan Czesław, lecz nie tak ufny i zaślepiony, jak się zdawało Malborzyńskiemu. Na ludziach się znał. P. Aleksy był mu miły w towarzystwie — ale zaufania w nim nie obudzał. Skłonił się grzecznie.

— Czy pani Czermińska i Maurycy jeszcze się o to do pana dobrodzieja nie zgłaszali? spytał Aleksy.

— Dotąd, nie.

— Zatem proszę o sekret — wiem o tem z boku... rzekł Malborzyński — a razem supplikuję, abyś podkomorzy nie odmawiał...

Stary się jeszcze raz skłonił. Odmawiać nie myślał tu, tak jak nigdy swojego pośrednictwa nikomu nie skąpił, gdy mógł być użytecznym. Chciał zaraz odwrócić rozmowę, ale Malborzyński wnet dalej ciągnął z tej samej beczki, z pozorną dobrodusznością, i jakby się wygadywał z dobrego humoru.

— O! robota będzie, rzekł — pan Maurycy i matka twardo pono stoją przy tem, co sobie uprojektowali, a ja też łatwym być nie mogę z cudzej kieszeni...

— Nie łapmy ryb przed niewodem, odparł śmiejąc się podkomorzy — e! jakoś to będzie... mam ja w tem doświadczenie. Działów robiłem i niemało i niemałych, nie pójdziemy do wójta na sprawę... Damy rady! damy!

Zamknął tem usta Malborzyńskiemu, który też nadto był przebiegły, żeby miał od razu zdradzić się, szturm przypuszczając. Pozostał czatując na zręczność.

Wieczorem, wedle zwyczaju, bez wiseczka się nie obeszło, i robry po robrach ciągnęły się do północy, choć nazajutrz bardzo rano mieli wyciągać do lasu.

Malborzyński dostał się do partyi podkomorzego, i w interwallach starał się z cicha wznowić rozmowę. Podkomorzy, zawsze niby się dając durzyć, prostodusznie bardzo słuchał, rad, że zawczasu będzie objaśniony, co go czeka przy działach. Rozumiał to bardzo dobrze, po co i z czem Malborzyński przyjechał. Ale padł frant na franta, z tą różnicą, że podkomorzy swojego rozumu i znajomości ludzi nigdy na złe nie używał, a Malborzyński uczciwość, dopóki się dawało, stawił niżej interesu swojego i klientów.

— Co się tycze działów naszych — szeptał — nie będzie to łatwe, ja wiem...

Pan Maurycy z matką zechcą korzystać z położenia, mają do niektórych majątków słabość, my mamy znowu do innych wstręty, tak, żebyśmy ich za nic nie wzięli.

— To wybierzecie drugą schedę! rzekł podkomorzy.

— A! rozśmiał się pan Aleksy: w obu mogą być dla nas takie wstręty...

— Juściż znajdzie się jakiś sposób pokombinowania...

— Niełatwo, niełatwo — mówił pan Aleksy — już ja to miarkuję z moich instrukcyj.

Podkomorzy zmilczał, notując sobie tylko co słyszał.

Cały wieczór puszczał tak słówka Malborzyński, a nazajutrz przy polowaniu, po wódce, w dobrym humorze, odważył się, ściskając pana Czesława, szepnąć mu:

— Po co panu kłaść palce między drzwi? To kłopot tylko, a wdzięczności żadnej. Obu się stronom narazi! Zrzec się do kaduka...

— Z duszy i sercabym to uczynił, zawołał podkomorzy; ale widzisz acan dobrodziej, kiedy kto przez trzydzieści kilka lat nigdy żadnego kompromisu ani sądu nie odepchnął, bardzoby mu to za złe miano,

gdyby nagle kogoś obraził — odrzucając dowód zaufania. Ja tego uczynić nie mogę. Niech mnie nie wzywają, albo pan mi daj odprawę i nie przyjmuj mnie. Gniewać się nie będę.

Malborzyński aż krzyknął przerażony: nie sądził, by tak daleko zajść miało.

—Na Boga miłego! ja przeciw podkomorzemu! panie! co pan mówi? Dałbym sobie łeb uciąć prędzej. Za kogo mnie pan ma? A tobym się nazajutrz ze wstydu wynieść musiał z powiatu... i...

Podkomorzy uśmiechał się.

— A po cóż mnie namawiasz na rekuzę? Znać, że albo mnie nie chcesz...

Pan Aleksy włosy począł sobie targać na głowie.

— Podkomorzy, dobrodzieju! czynisz mnie najnieszczęśliwszym z ludzi — wołał. Otoż to jest chcieć usłużyć komu! Com powiedział — to mi się wyrwało tylko z przyjaźni i szacunku, bom pragnął mu oszczędzić pracy i troski. Tak mi Boże dopomóż! A! panie...

Pan Czesław już się śmiał, i na tem się skończyło. Malborzyński zabiwszy zająca, którego mu do bryczki włożono, odjechał zły na siebie, zgryziony, przeklinając pospiech swój i niezręczność. Podkomorzy spokojnie oczekiwał na wezwanie, z mocnem postanowieniem działania energicznego. Wietrzył intrygę na krzywdę Maurycego, którego lubił. Holmanowska partya nie była u niego od dawna ani w łaskach, ani mu przypadała do smaku.

W parę dni potem nadjechał Maurycy z listem pani Czermińskiej, upraszającym podkomorzego, aby jako najstarszy i najszanowniejszy z obywateli w powiecie, był łaskaw dzieciom jej dopomódz do rozgmatwania interesów i działu. Maurycy dodał, iż szło im o skończenie zgodne, spokojne, rychłe, nie

o żadne korzyści. Podziękowawszy za zaufanie, podkomorzy, który lubił być takim rozjemcą, spytał poufnie: czy mają jaką predylekcyę do majątków niektórych i coby woleli?

— Moja matka i ja — odparł Maurycy, — dla ukończenia bez trudności, i z zaspokojeniem zupełnem Leosia, gotowiśwy do ofiar. Niech biorą co im dogodniej — zgadzam się na wszystko, byle schedy były mniej więcej równe...

Maurycy przywiózł z sobą papiery, rachunki, inwentarze, ocenę ziemi, wykaz dochodów, słowem co tylko mogło posługiwać do działów.

O ile Malborzyński chciał zwlekać, o tyle pani Czermińska gorączkowo się dopominała, aby kończyć co najprędzej.

Napisano list do Malborzyńskiego, wezwano prawnika do pomocy, Maurycy obiecał zjechać także, i podkomorzy wziął się natychmiast do rozpatrzenia sprawy. Lubił się on bawić, polować i po całych wieczorach, przy gawędce i kieliszku, grać wiseczka — było to passyą jego; ale gdy przyszła sprawa na stół — podkomorzego poznać było nie można. Siedział przykuty nad papierami, ani śniadanie, ani wist go już oderwać nie mógł — nie wstał, nie spoczął, dopóki do celu nie doszedł. Bywało nawet, że się gniewał, gdy mu przeszkadzano.

W sprawie tych działów, właśnie dla tego, że mu ją Malborzyński zapowiedział jako zawikłaną i trudną, miłość własna jego była mocno rozdrażniona. Obraziło go to — jak mówił — że ten, z pozwoleniem, dudek jakiś, chciał na niego wpływać i myślał go podejść.

Zabrał się więc w kancellaryi nie żartem do pracy, zaprosiwszy Kolembę. Dwa dni siedzieli od rana do wieczoru, nie wstając prawie.

Podkomorzyna utrzymywała, że stary zmizerniał. W istocie zmęczył się okrutnie, wyszedłszy ze swych obyczajów, i wieczorem spoczywając przy wiście, tak był zamyślony, że bąki okrutne strzelał, bił swoje lewy i renonse robił najzgubniejsze...

Nadszedł nareszcie ów dzień zjazdu naznaczony. W Wierzejkach zawsze było świątecznie — ale przy tej zręczności podkomorstwo chcieli wystąpić: — pieczono ciasta, obiad być miał co się zowie świąteczny, wino z dobrego kąta. Nawet w pokojach, których nigdy nie wyświeżano, bo niepodobieństwem było je utrzymać wytwornie, przy takim natłoku różnorodnych gości, a często i niebardzo czystych butach — w pokojach nawet zawieszono świeże firanki, ponaciągano białe, ubrane umyślnie kapki perkalowe na krzesła i sofy. Postawiono bukiety, wykadzono papierkami z peruwiańskim balsamem, od których podkomorzy kichał.

Pierwszy nadjechał Malborzyński we fraku, paradny, wesół pozornie, ale niemniej widocznie skłopotany... Wiózł z sobą ministeryalną tekę zamkniętą na klucz, w której nic nie było — ale położona u okna robiła wrażenie...

Kolemba siedział już dni kilka, ten grał rolę pomocniczą i podrzędną. Ze swej strony jako allianta zaprosił Malborzyński niejakiego Multańskiego adwokata, młodego i słynącego z wielkiej bystrości prawnika. Multańskiemu zarzucano, że się podejmował niebardzo czystych spraw, że się posługiwał środkami niezbyt uprawnionemi — mówiono o nim to i owo, lecz nikt mu nie mógł zarzucić, żeby w towarzystwie nie był najmilszym z ludzi. Dowcip miał, który rozbrajał wszystkich, ostry a nie obrażający, przytem był ładny chłopak... Szczęściło mu się bardzo... rósł jak na drożdżach.

Z Malborzyńskim oni pili, grywali, bawili się, byli przyjaciółmi serdecznymi, łatwo się więc mogli wszyscy domyślić, że go sobie w pomoc weźmie.

W progu zaraz, Multański całując w ramię podkomorzego, rzekł:

— Zaprosił mnie tu mój przyjaciel pan Aleksy, abym za nim tekę nosił. Nie mogłem odmówić; ale czuję, że nie jestem tu potrzebny... Daruje mi podkomorzy, że się wciskam...

— Ja panu wdzięczny jestem! zawołał stary, jak najwięcej światła, jak najliczniejszych świadków mieć pragnę... Czworo oczu więcej widzi niż dwoje...

Bez jedzenia i picia w Wierzejkach nic się poczynać, i nic nie mogło zakończyć. Najprzód więc obiad dano, obiad suty, wykwintny, smaczny — ale ponieważ po nim trzeba było do interesu przystępować — z winem bardzo na ten raz nie nalegano. Pan Czesław jedno zdrowie wypił — zgody i miłości braterskiej.

Maurycy przybyły, znowu siedział przy pannie Malwinie. Zjechał tu na przypadek tylko, gdyby jakiego objaśnienia potrzebowano, ale się czynnie mieszać nie chciał do układów, zdając na podkomorzego.

Piękna panna bawiła go znowu. Powitał ją jak dawną znajomą Moryś, jak krewną lub siostrzyczkę. Nie obudziła w nim gwałtownego zajęcia sobą, nie biło mu serce na jej widok, ale witał ją mile i z uczuciem jakiemś błogiem, uspakajającem, Mówili z sobą poufale, i poufałość ta obojga ich nie zdumiewała. Szło im z sobą łatwo — było dobrze... rozmowa płynęła niewymuszona, zapominali się, czas ubiegał, a gdy przyszło się rozstawać, oboje czuli żal i smutek. Moryś chwalił pannę Malwinę; Malwina broniła, gdy z niego sobie żartowano, lub coś

niezdarnego o nim mówiono, słowem byli dobrymi przyjaciołmi...

Gdy wszyscy zaczęli, wezwani przez podkomorzego, przechodzić do jego kancellaryi, Maurycy chciał zostać z panną Malwiną, nie widząc potrzeby assystowania początkowym rozprawom — pan Czesław jednak sam po niego przyszedł, i wziął go pod rękę.

— Wierzę mocno, że panu może być przyjemniej bałamucić moją siostrzenicę, niż iść się ujadać z prawnikami; ale daruj — wyście piwa tego nawarzyli, musicie go choć skosztować. Chodź... panna Malwina nie uciecze... chybaby ją Węgrowicz ukradł.

— Nie dam się, wujaszku! odparła śmiejąc się wesoła dziewczyna.

Szedł tedy pan Maurycy, i usiadł sobie na boku.

Kancellarya podkomorzego, jak cały jego dom, była umeblowana z prostotą i zaniedbaniem pierwotnych czasów. Zbytek tu był tylko w jadle i napoju... zresztą ograniczano się do tego co potrzeba konieczna wymagała...

Obszerny pokój wydawał się pusty. Stół ogromny, poklapany atramentem, naprzeciw niego równie wielka, stara, wysiedziana i wyleżana sofa, okryta perkalikiem, kilka stołków, jeden fotel — w oknie barometr, w kącie zegar stary w nowej i brzydkiej szafce, przez domowego stolarza grubo i nieforemnie wystruganej — u drzwi na gierydoniku woda, cukier i wino, — to stanowiło kancellaryi uzbrojenie. W kącie stała jeszcze szafa z papierami klejową farbą pomalowana niebiesko, której już połowa poodskakiwała. Pstrocizna jej była zabawna ale nieładna.

Poczęło się tedy od wyliczenia całego mienia. Gotowiznę niemal wszystką po ojcu zostałą zabrał był już, niby dla umieszczenia w banku, pan Leon... Nabycie i urządzenie domu, gody weselne, pożyczki

księciu i marszałkowej, gra i życie, niemal ją już były wyczerpały...

Milion rubli, który stanowiły kaucye na podrady — zakwestyonowany został, bo podradów pozbyć się nie było podobna tak prędko... Część nawet mogła paść ofiarą.

Kapitały więc łatwe były do podziału, ale ruchome już zostały podniesione przez Leona, a najniepewniejsze przypadały na Maurycego. P. Malborzyński chciwy na grosz żywy, proponował, aby kapitały wszystkie na schedę Leona odpisać, a indemnizować Maurycego majątkami. Zdania były różne, obrócono się do siedzącego na uboczu z zapytaniem.

— Co będzie dogodniejsze bratu mojemu, na to ja przystanę — rzekł Moryś. Dla mnie — wszystko jest jedno...

Malborzyński, który się spodziewał tu trudności właśnie — zamilkł...

Następnie przychodziły do ocenienia majętności... Tu znowu p. Aleksy występował to żądając podwyższenia wartości, to zniżenia jej. Maurycy na wszystko przystawał. Podkomorzy i Kolemba poczęli brać jego stronę — on milczał...

Malborzyński postrzegł, że cały jego plan jest zagrożony. Tym sposobem prowadzony dział musiał przyjść do skutku. Zdawało mu się, że się tem uratuje, gdy z powodu sąsiedztwa Holmanowa zażąda na schedę Leona Rakowiec, które i tak na nią przypadać miały — ale za warunek kładąc, aby dla urządzenia ich i połączenia dożywocie wdowy przenieść na inne dobra, a majątek ten objąć niezwłocznie.

Przywiązane doń były pamiątki, nawykła do niego Czermińska, p. Aleksy na pewno liczył, że ten warunek przyjęty nie będzie, i wywoła oppozycyę.

Maurycy oświadczył przywołany, iż matka nawet na ustąpienie Rakowiec natychmiast jest zdecydowana, i upoważniła go do przyjęcia nawet tej ewentualności.

Malborzyński osłupiał. — Te jednostronne ustępstwa, drugostronne wymagania ciągłe — wszystkich pomieszały jakoś. Podkomorzy zabrał głos.

— Aż do zbytku powolności ze strony pani Czermińskiej i pana Maurycego, którą tylko miłości macierzyńskiej i braterskiej przypisać należy, i skłonić głowę przed nią — czyni mi niepłonną nadzieję, że dział musi przyjść bez zwłoki do skutku... Cieszę się tem, bo w długim moim zawodzie obywatelskim, rzadko mi się trafiało spotykać tyle bezinteresowności.

Malborzyński się zaczerwienił, zły był jak dyabeł, mitygował jednak.

— Pan podkomorzy dobrodziej pozwoli... ja tu jestem plenipotentem, obcym, pilnującym obcej sprawy — nie dziw więc, że bronię się i wymagam... Pochwała jednej strony zdaje się zarazem drugiej naganę zamykać — ale...

— Bynajmniej — przerwał podkomorzy — co innego pełnomocnik a co innego strona... kury do indyków nie należą...

Wszyscy się z rubasznego żartu śmiać zaczęli. Pan Aleksy płomieniami sie oblewał. Siadł impetycznie i zamilkł...

— Wzywam szanownego pana Aleksego, odezwał się podkomorzy, ażeby jako reprezentujący starszego brata, ułożył schedy... Wszak tak, panie Maurycy?...

— Proszę — rzekł krótko powołany...

Malborzyński siedział skłopotany, patrząc w papiery.

— Słowo daję, zawołał, ja tego bez skommunikowania się z panem Leonem uczynić tak na poczekaniu nie mogę... Z wielu względów interes się po

przedyskutowaniu i obliczeniu zmienił — nie mogę brać na siebie.

— Jak to? podchwycił podkomorzy, biorąc ze stołu plenipotencyę złożoną przez Malborzyńskiego. Czytam tu, że pan masz prawo dzielić, ustępować, kwitować, dać, darować... Po cożeśmy tu przybyli?

— A tak! podchwycił Malborzyński, mam prawo, ale lekkomyślnie użytku z niego czynić nie mogę. Potrzebuję czasu do namysłu... muszę się odezwać do mojego pryncypała...

— Bardzo dobrze — rzekł podkomorzy — delikatność tę wszyscy pojmujemy... ale — rób pan schedy — a projekt poszlemy do potwierdzenia...

Tak przyparty, Malborzyński widocznie się czując złapanym, podniósł głos, obszernie wyłuszczając trudności urządzenia sched — z powodu bardzo różnej i trudnej do oszacowania wartości majątków rozrzuconych. Słuchano go w milczeniu.

Zbytecznie stawało się dla wszystkich już widocznem, że Maurycy chciał idąc za wolą matki działu, a Leon go sobie nie życzył. Biło to w oczy...

Wszystko się rozbijało o tę złą wolę, która nawet Multańskiemu usta zamykała... Podkomorzy zgodził się na odroczenie projektu działu do dni dziesięciu, dając czas skommunikowania się z Warszawą. Posiedzenie zostało rozwiązane.

Maurycy natychmiast się wymknął z pokoju, inni też poszli zaraz do pań, na ganek lub kupkami rozprawiać, dziwować się przebiegowi sprawy.

W nieco już przyciemnionej mrokiem wieczornym kancellaryi, pozostał tylko podkomorzy, który zbierał papiery, aby je do owej pstrej szafy włożyć i zamknąć, i zgłupiały Malborzyński, siedzący nad stołem i bębniący po nim ze złości.

Pan Czesław stanął naprzeciw niego, z miną niezwykle poważną i surową.

— Panie Aleksy — odezwał się — gdy się interes robi, trzeba wiedzieć jasno czego się chce... Zupełnie to dziś miało minę, że wy nie chcieliście działu... Takie zrobiło wasze znalezienie się wrażenie na wszystkich. Ja przypuszczam, że to złudzenie i niezręczność, ale gdybyśmy zjechawszy się raz drugi, znowu znaleźli takie trudności z waszej strony, a ze strony Maurycego nieograniczoną powolność... hę?

Zerwał się Malborzyński trąc gwałtownie włosy.

— Ale, kochany, najdostojniejszy panie podkomorzy dobrodzieju — patryarcho nasz... słowo daję... w mojem położeniu — niech się pan postawi...

— Kochany panie Aleksy, żądajcie czego chcecie... ale nie wymagajcież zagarnąć wszystkiego!... Dział stanąć musi, podjąłeś się go... musimy dokonać... Maurycy z matką ustępują we wszystkiem...

Naprawiając zaraz tę naukę moralną grzecznością, podkomorzy pod rękę wziął Malborzyńskiego, i wesół, jakby nigdy nic nie zaszło, wtoczył się z nim do oświeconego salonu...

Zaproszony do wista pan Aleksy, wymówił się, skinął na towarzysza, i nie żegnając się z nikim, do stajni pieszo poszedłszy, kazał zaprzęgać i uciekł...

Po odjeździe ich swobodnie dopiero otworzyły się usta... Napadnięto na Maurycego za jego powolność, oburzano się na drugą stronę, że sama nie wiedziała czego chce...

Do późnej nocy i podkurka uspokoić się nie mogli przytomni. Podkomorzy śmiał się i był w najlepszym humorze...

Ponieważ noc była księżycowa, Maurycy wyrwał się już nad ranem do domu, zmęczony, smutny... Te tylko chwile, które na takiej swobodnej, cichej rozmowie z Malwiną spędził, zostawiły po sobie wspomnienie milsze. Dzień ten go znużył nad wyraz... Postępował wedle rozkazu matki — własnej woli

nie miał — widmo marszałkowej groźne jeszcze mu się przed oczyma snuło. Miał momenta tęsknoty i niepokoju takie, że gotów był niemal matce się rzucić do nóg i prosić ją, by go puściła — tam. Innych dni rozumniejszy walczył, odpychał pokusę, czuł śmieszność tego romansu, którego musiał się wstydzić.

Słowem żył targany jeszcze rozmaitemi myślami i popędy — i najnieszczęśliwszy.

Malborzyński się też wściekał! Nocą dobiegłszy do Holmanowa, siadł z pomocą adwokata pisać sprawozdanie, list, skargi, i musiał wyprawić sztafetę, aby co najrychlej otrzymać odpowiedź.

Nie wiedział co począć; zwłoka była niemożliwa... I on, i adwokat radził korzystać z usposobień strony przeciwnej, wyzyskać jak najlepsze warunki, i — poddać się nieuniknionej konieczności...

Dziesięć dni starczyło ledwie na przygotowania do nowych układów...

Z Warszawy odpowiedź spodziewana rychło, nie nadchodziła... Tymczasem Malborzyński układał na różny sposób schedy... ale... możnaż było ręczyć, którą z nich wybierze druga strona? Gra była niebezpieczna...

Niejeden się na niej już oszukał... adwokat przestrzegał.

Po długiem oczekiwaniu przyszła nareszcie odpowiedź z Warszawy od Leosia, widocznie dyktowana mu przez marszałkową i księcia. Wszyscy oni już widzieli nieuniknioną konieczność podziału, i z gniewem mu się poddawali. Prawie im teraz było jedno co wezmą, nalegał tylko Leon o jak najwięcej gotówki...

„Nie jestem gospodarzem jak p. Maurycy... o ziemię się nie dobijam wcale.... Kapitał ulokowany w banku lub na pierwszej hypotece da mi, bez pracy, zachodu i kłopotu, pięć, sześć i dziesięć procentów,

gdy ziemia z biedą i w pocie czoła przynosi może cztery... Upraszam pana abyś się do tego zastosował..."

Malborzyński miał rozwiązane ręce, odetchnął.., Szło mu o rehabilitacyę i postanowił poprawić się, o ile możności łatwym okazując się w układach. Wiedząc jak małe częstokroć wrażenia przyczyniają się do nadania sprawom pewnego kolorytu — wyrachował Malborzyński, iż na drugi zjazd zapraszając, wszystkich do Holmanowa, ugaszczając, pojąc, starając się być uprzejmym, poprawi pierwsze złe wrażenie.

Myśl tę znalazł genialną i natychmiast sam w zaprosiny pojechał. Odmowy nie spodziewał się od nikogo — podkomorzy, choć nie lubił jeździć, bo wolał przyjmować u siebie i bardzo rzadko wizyty oddawał, nie chciał okazać złej woli. Maurycy zgodził się chętnie.

Pan Aleksy, który miał kredens, kuchnię i piwnicę marszałkowej, pałac cały i kilku sług inwalidów, a na nich liberyę na składzie, przygotował się do takiego wystąpienia, aby pokazać podkomorzemu, jak to się rzeczy robią z gustem i szykiem.

Było w tem złośliwości trochę... chciał zaimponować. Podkomorzy zaś, który wcale sobie nikomu nie dawał imponować i patrzał na elegancye cudze szydersko obojętnem okiem, spodziewając się tego, przybyć postanowił prostą kałamaszką z furmanem w siermiędze na koźle, i ubrał się w szarą kapotę codzienną.

Zaraz na wstępie przeprosił za to Malborzyńskiego, który go przyjmował we fraku.

— Daruj, szanowny panie, rzekł ściskając go: stary jestem, ubierać się nie lubię — tyś tu kawaler, kobiet nie ma, przytem że to więcej interesu niż wizyta... przyjeżdżam w kapocie...

Udał pan Aleksy, że to przyjął jako oznakę poufałości, ale zły był... Podkomorzy w butach kozłowych wszedłszy do salonu z prawdziwą satysfakcyą pluł na posadzkę, ale humor miał złocisty i wice-gospodarza ściskał a ściskał co chwila... Pił i jadł z apetytem... robiąc uwagi dziwne nad kuchnią.

— Ależ to coś nam dałeś doskonałego, panie gospodarzu — wołał zmiatając z talerza. Bóg widzi, nie mam wyobrażenia co to jest... a smakuje mi przedziwnie. My biedna szlachta na naszych stołach lubimy jasno widzieć co się w półmisku święci, i poznawać oczyma co żołądkowi dajemy... U was... wszystko zagadki... ale nie ma co mówić — palce po nich oblizywać...

Jużci żabek mi nie dałeś?

Pan Aleksy zapewniał, że ani żab ani ślimaków o tej porze już nie było...

Po obiedzie, w paradnej salce na górze, dawnym, appartamencie księcia, dano czarną kawę, likwory i papiery. Projekta działów przygotowane były dosyć zręcznie, bo na jedną schedę, na którą szły kapitały wszystkie, dołączono też najlepszy majątek, nizko go oceniając. Właśnie tej schedy żądał Leon. Krzywda przez to wyrządzana Maurycemu, oceniona być mogła na jakie sto tysięcy rubli. Biło to w oczy... Lecz, że ludzką jest rzeczą się mylić, chciwość kapitału sprowadziła omyłkę z razu niepostrzeżoną. Ów milion rubli kaucyi, liczono jak stał, gdy wydobycie go zmuszało do znacznych ustępstw.

Kompensowały one dostatecznie fałszywie postawiony rachunek. Maurycy, który się już interesu tego dotykał, znalazł schedy równoważące się, i przystał na swoją. Ustępowano mu nawet Rakowce...

Z razu podkomorzy chciał protestować, zakrzyczał Kolemba, ale gdy Maurycy się godził stanowczo— przyjęto warunki... Dział tedy formalny, przy świad-

kach spisany i podpisany został i zapity winem szampańskiem.

Ani radości, ani smutku z niego nie okazał na pozór pokrzywdzony brat młodszy. Malborzyński tryumfował, spodziewając się sowitej nagrody za nadzwyczaj szczęśliwie przeprowadzony interes. W tejże chwili wyprawiono o tem wiadomość do Warszawy...

Gdy się jej pisaniem zajmowano, podkomorzy, który się delektował właśnie kieliszkiem starego doskonałego węgrzyna, wziął Maurycego na stronę...

— Obcięli was — szepnął mu — ale — ja nie winienem. Monitowałem, prosiłem, przestrzegałem. Bądź co bądź, końca winszuję zawsze. Wiecie co macie, a macie do kaduka wiele i tak...

— Ziemi wartość rośnie, panie podkomorzy — odezwał się Maurycy, — gdy kapitału znaczenie stosunkowo się zmniejsza. Zresztą wcale się nie czuję pokrzywdzonym, bo milion rubli w całości nie jest do odzyskania...

— To dobrze, żeście w dziale położyli, iż wcale hypoteki zań, ani odpowiedzialności nie przyjmujecie — dodał podkomorzy. Wszakże tak?

— Tak jest! rzekł Maurycy...

— Za zdrowie wasze! odezwał się pijąc stary... niech Bóg wam da dobrą żonę... dobre zdrowie i dobry humor. Reszta się znajdzie! Siedźcie na wsi — nie ma to jak życie pod starą strzechą słomianą... Tu się oddycha swobodnie, tu z Bogiem oko w oko i z naturą rozmawia... tu się żyje z ludźmi i czuje wspólność życia z nimi!

Podkomorzy lubiący całować i ściskać, objął Maurycego i do piersi przydusił.

— Winszuję szczerze...

— A ja z duszy dziękuję...

— O! nie ma za co!

I siedli do wiseczka, a Moryś do matki pojechał.

Podróż pana Leona, z pobytem jego w Rakowcach, trwała około dwóch tygodni — wydała mu się nieznośnie długą i nudną, gdy pozostałym w Warszawie czas przeleciał jak błyskawica.

Leoś radby był dniem i nocą pędząc co najrychlej się znowu znaleźć w swoim pałacyku i appartamencie, w wygódkach, do których był nawykł, w towarzystwie codziennem. Tęsknił do księcia, do hrabiego Teofila, naturalnie i do żony, nawet do marszałkowej, choć ta go czasem nudziła i niecierpliwiła. Nadewszystko pragnął się znaleźć w swoim pokoju, w swych godzinach rozrywek — w tym gorącym prądzie miejskiego żywota, wśród którego jaśniał, uznany był, oceniony i — zdało mu się, że przodował... Tysiące drobnych rzeczy, do których przywykł pieszczoszek, których potrzeba czuć się dawała dotkliwie jemu i panu Symforyanowi... stały na oczach... Były to fraszki — lecz nie żyło się bez nich... Kraj, który przejeżdżał, wydawał mu się tak dzikim, a byt w nim tak jakoś niemożliwym, iż egzystencyi istot żyjących w nim nie pojmował. I on i Symforyan, spoglądając na nich, ruszali ramionami, ubolewając nad losem nieszczęśliwych.

— Co to panie to je... jak to się panie odziewa... co piją... czem śmierdzą... człowiek musi admirować! wołał kamerdyner. Słowo honoru — jakby człowiek był skazany tu na *wygitacyę*, umarłby w tydzień.

I pluł pan Symforyan, a Leoś się uśmiechał.

— Nie, panie, to już inna rassa ludzi — dodawał kamerdyner; gdyby tak delikatniejszemu przyszło... słowo honoru... zdechłby...

Zupełnie tak myślał Leoś, mając się za istotę uprawnioną do wymagania od Opatrzności, aby mu dla jego wydelikaconego ciała dostarczała stosownego utrzymania.

Jechał zawczasu się lubując powrotem swym, rozkoszą upragnionego spoczynku, wśród wszystkiego czem się otoczył w zaczarowanym pałacyku swoim...

Nadzieje podobne bardzo często zawodzą... Tym razem nic tak niespodziewanego nie czekało go w progu, a jednak ów rozkoszny pałacyk, w czasie niebytności gospodarza, był teatrem jakiegoś wypadku niezrozumiałego, który — choć starannie tajony — zostawił po sobie wrażenie odbijające się dziwnie na zasępionem czole marszałkowej i księcia...

Rzecz się tak miała: W dni kilka po wyjeździe Leona, które hrabia Teofil od rana do wieczoru niemal spędzał u marszałkowej i u księcia, lub w saloniku Felicyi, zaszła jakaś reperacya w appartamencie hrabiego Teofila, zmuszająca go do szukania chwilowego mieszkania w mieście.

Przez tych dni kilka hr. Teofil w szczególne się wkupił łaski u marszałkowej. Przesiadywał u niej, jeździł z nią, na długich rozmowach sam na sam spędzał godziny... Z nią też potem chodził bawić Felicyę, i najczęściej matka zostawiając go u niej, wychodziła dopiero spocząć do siebie... Książę także pojednał się zupełnie z siostrzeńcem, a był tak dyskretny, że mu ani Felicyi, ani marszałkowej bawić nie przeszkadzał. Najwięccj siedział u siebie...

Z troskliwością prawdziwie kuzynowską, ten poczciwy hr. Teofil starał się rozerwać Felicyę szczególniej — i można było powiedzieć, że mu się to bardzo wiodło szczęśliwie. Po całych godzinach, często do bardzo późna, słychać było ich śmiechy i niezmiernie ożywione rozmowy... Kilka razy nawet nadchodząca marszałkowa musiała zwrócić ich uwagę, że tak głośna zabawa mogła niepotrzebnie zaciekawiać sługi. Hr. Teofil prawem kuzynowstwa wchodził poufale do pokojów młodej pani w różnych godzinach,

i był nią tak zajęty, że brat dla niej rodzony czulszymby być nie mógł.

Ostatnich dni parę przed wypadkiem owym, hr. Teofil, czy miał coś do wyrobienia i wyproszenia u marszałkowej, czy też ją chciał przejednać, siedział u niej ciągle... Szepty, narady trwały nieustannie. Mazszałkowa wśród nich, zostawiając u siebie Teofila, biegała do córki. Słowem układano coś — umawiano się... Felicya wesoła ciągle, stała się niespokojną i zamyśloną.

Gdy hrabia Teofil przy śniadaniu zakłopotał się o restauracyę w swojem mieszkaniu, dla której na dni kilka musiał gdzieś szukać schronienia, marszałkowa odezwała się głośno, przy służbie:

— I cóż się to kuzyn ma tak kłopotać? ale to najprostsza rzecz w świecie. Pokoje pana Maurycego stoją pustką, wcale się go nie spodziewamy, możesz je zająć na tych dni parę. Wszak prawda, Felicyo? gospodyni pozwala?

Gospodyni miała oczy na talerz spuszczone, i odezwała się głosem cichym:

— Jeśli mama znajduje...

Książę dorzucił:

— Cóż w tem złego? najnaturalniej w świecie... niech się przeniesie...

Hrabia Teofil wymawiał się, że nie chce czynić ambarasu, dziękował, i przyjął nareszcie. Oświadczył nawet, że z sobą, oprócz torby nie weźmie rzeczy żadnych ani sługi... że mu idzie tylko o to, aby miał gdzie przenocować, nie wynosząc się do brudnego hotelu...

Jakoż dnia tego wieczorem, w istocie nadjechał hrabia dorożką, i zajął pokoje Maurycego. Stojący w bramie szwajcar jakoś na to dziwnie patrzał, ale fakt został spełniony. Nie miał ten pobyt trwać nad dni parę...

Tegoż samego dnia, po rozejściu się wszystkich do pokojów, około północy, gdy marszałkowa leżąc w łóżku czytała jeszcze... w korytarzu niedaleko od jej drzwi dał się słyszeć chód najprzód lekki, potem nagle krzyk... jęk, i jakby upadek na ziemię ciężkiego czegoś...

Cisza wówczas panowała w domu, ale nikt jeszcze nie spał: słudzy przestraszeni powybiegali... Na korytarzu znaleziono hrabiego Teofila ubranego jeszcze, leżącego na ziemi z okrwawioną głową.

Powiadano później, że widziano stróża domu z kijem ogromnym, szybko schodzącego ze wschodów — jednakże to nie zostało dowiedzione... Gdy słudzy, a później i marszałkowa na prędce narzuciwszy ubranie wyszła zobaczyć co się dzieje — dowiedziano się od hrabiego, że — wyszedł był z mieszkania swego, bez świecy na nieszczęście, i nie znając miejscowości, pośliznął się i padł.

Upadek był dziwny... potłukł się tak szkaradnie, zakrwawił, iż nikt sobie wytłómaczyć nie umiał jak się to stać mogło na tak pięknym korytarzu i w miejscu, gdzie żadnego węgła ani ostrego nic nie było... Głowę miał zranioną, plecy sine... ręce potłuczone... Zaledwie z pomocą ludzi się mógł podnieść i w łóżko położyć... Zacna marszałkowa, książę, któremu dano znać o przypadku, przybiegli do niego... Była mowa o doktorze i narada czy go wezwać... w końcu musiano zawołać choć felczera. Przed tym znowu nie wiadomo dla czego powiedziano, że hrabia spadł ze wschodów.

Najprawdopodobniej musiał to być attak nerwowy, coś konwulsyjnego, gdyż hrabia, jak się później okazało, wyobraził sobie, że w korytarzu napadł go jakiś człowiek i kijem zbił okrutnie. Było to przywidzenie, gdyż brama pałacu od dawna zamknięta, nikomu wnijść nie dozwalała. Szwajcar jej

pilnował. Ten, gdy się to stało, leżał już w łóżku. Stróż tylko przez niego przyjęty, stary człek, spokojny, milczący, który się nigdy na świat nie pokazywał, jeszcze był na nogach, bo nocą, zwykł podwórze zamiatać.

Hrabia pod wrażeniem tej hallucynacyi plótł z razu pono nie do rzeczy, potem zamilczano o wypadku zupełnie. Nazajutrz były jakieś poszukiwania w domu... lecz na niczem się to skończyło. Hrabiego wysmarowano, obłożono i wywieziono do domu zaraz... zatrzymawszy zapewne restauracyę jego apartamentu.

Wrażenie, jakie to uczyniło na mieszkańcach pałacu, opisać się nie daje. Ludziom zakazano mówić o tem, bo hrabiemu wstyd było, że takim konwulsyom podlegał — niemniej, jak to zawsze złośliwa bywa służba, śmiechy sobie z tego stroili.

Marszałkowa prawie się z tego strachu rozchorowała nazajutrz, a pani Felicya cały dzień nie wychodziła i płakała. Książę o mało nie dostał żółtaczki.

On, co unikał tak starannie, z powodu delikatnego zdrowia, wszelkich okazyj wzruszenia — był tak wstrząśnięty wypadkiem, iż gdyby doktor nie był mu dał lekarstwa dla uwolnienia go od nadmiaru żółci — mogłoby to za sobą fatalne następstwa pociągnąć.

Marszałkowa, serce mająca litościwe, nietylko sama codzień jeździła po dwa razy dowiadywać się o zdrowie kuzyna, ale raz, gdy już był lepiej, zawiozła z sobą Felicyę... Bawiły tam obie godzin parę, i snadź to poskutkowało dobrze na hrabiego, gdyż szybko przychodzić zaczął do zdrowia. Plecy, ręce i boki najpierwej mu odeszły, rozbitą głowę okładano długo, lecz i na niej znaku rozcięcia nie pozostało...

Z tym wypadkiem, o którym oprócz domowych mało kto wiedział zresztą — wesołość i swobodna myśl z pałacyku uleciały. Hrabia się wyleczył, marszałkowa została jakby przerażona i strwożona. Felicya pobladła, zmizerniała i posmutniała. Książę był chmurny i zawsze w obawie, że się musi rozchorować. Doktor do niego codzień przychodził — ale tej melancholii i aprehensyi żadnemi lekarstwami rozpędzić nie mógł. Marszałkowa też przesiadywała u niego, pilnowała, pielęgnowała... z niewielkim skutkiem. Miał ideę upartą, że żółtaczki dostanie... Przez cały niemal dzień pokazywał sobie język w lusterku i przykładał chustkę do twarzy, aby lepiej kolor jej ocenić. Żółtaczka nie przychodziła — ale humor się nie poprawiał.

Widać, że niedorzeczne przywidzenie hrabiego, któremu się zdawało, że go ktoś w korytarzu napadł, co jawnie było niemożliwe — oddziałało na chorobliwą imaginacyę księcia, gdyż w kilka dni potem... pod jakimś pozorem, kazał przywołać szwajcara.

Pan Marcin Żabka, a dziś Żabczyński stawił się przed księciem, nie w officyalnym swym stroju, który mu służył tylko w bramie, na stanowisku, ale w długim surducie, będącym rodzajem wice-munduru. Z powagą stanowiącą attrybucyę jego powołania, zajął miejsce w progu. Książę nim się do niego odezwał, długo się przechadzał po pokoju, jakby się namyślając od czego ma zacząć, przyczem pastylki dla uspokojenia żółci przepisane z bombonierki do ust przenosił...

— Panie — jakże się pan zowiesz? począł.

— Marcin Żabczyński, do usług księcia.

— A więc, panie Żabczyński — rzekł książę: czy masz waćpan spis wszystkich ludzi do posług używanych w pałacu?... Idzie tu o bezpieczeństwo domowe... Monti i waćpan poprzyjmowaliście niektórych

do kuchni, do pośledniejszych posług... na prędce... może być z tego ambaras jaki... hm.

— Nie będzie żadnego ambarasu, odparł Żabczyński: bo to są wszystko ludzie pewni i ze świadectwami.

— Mówiono mi właśnie... o — jakimś bardzo niepozornym... stróżu... Co to jest za człowiek? zapytał książę. Skarżą się na niego, że po nocach się włóczy... niby pod pozorem zamiatania... mruk jakiś i ma wyglądać fatalnie... Co to za jeden?

— Stróż? odparł Żabczyński — stróż? ale to, proszę księcia, najuczciwszy człek z naszych wszystkich. Z lokajów tam dużo takich, na których trzeba oko mieć, a tego starego... ja znam dawno, bardzo stateczny człek... Na niego ja i państwo mogą się spuścić jak na *Zapiszę* (sic).

Książę popatrzał na mówiącego...

— Ale cóż to za człowiek? zkąd? co? spytał książę.

— Człowiek stateczny, za to ja ręczyć mogę... Jest z moich stron... znam go dawno; służył wojskowo — i jest z dobrej familii...

Uśmiechnął się książę usłyszawszy to, i popatrzał na szwajcara, który się tem zmieszać na dał.

— Czy to waćpan go przyjąłeś? pytał książę,

— Ja go nastręczyłem — rzekł śmiało Żabczyński.

— Hm? i ręczysz za niego?

— A — jak za siebie, proszę księcia.

Nastąpiła chwila milczenia i pożywania pastylek...

— Miejże waćpan na niego oko... Może pije? hę?

— On? pije? — zawołał Żabczyński i ruszył ramionami — on? ale gdzie zaś! Kieliszek wódki dla konkokcyi, tak jak każdy porządny człowiek — to nie ma słowa; ale żeby miał zaprószyć, nigdy jak świat światem się to nie trafiło...

Dodać tu należy, że odpowiadający na pytania księcia szwajcar, nietylko iż dawał mu objaśnienia niedostateczne... ale minę względem pytającego i ton przybierał niewłaściwy. Lekce sobie ważył widocznie księcia pana, jakby go tu nie za wice-gospodarza, lecz za rodzaj intruza i gracyalisty uważał. Czuł to książę i mocno był tem dotknięty, a dać poznać po sobie, że go mógł taki szwajcar obrazić — nie chciał. Wolał więc przerwać rozmowę, i skinął tylko, iż na tem ma dość. Wyszedł szwajcar, na dół się spuszczając krokiem wolnym — w złym humorze i podrażniony. Brak towarzystwa, osamotnienie dało mu nałóg brzydki mówienia pół głosem samemu do siebie. I teraz, mocno zdając się wzruszony — szeptał:

— Książę! ale też! Jaki mi potentat co z naszego tu żyje... obiadu, i chce tu sobie gospodarować. Ale! będziesz widział! Stróż mu zawadza, człek szlachetny i poczciwy... Do stróża się czepia... a w istocie do mnie... Ja to rozumiem. Radby mnie wysadził, żeby ze swej ręki kogo tu naraić! Ale — wszyscy tu oni na jeden grosz targują! Stróż im solą w oku — potem Żabczyński, a nareszcie i sam pan zawadzi... Książę — ale! Co po tytule, gdy wąż w szkatule?... Książę! Jaki mi pan!...

Poruszając się tak niepotrzebnie, szwajcar doszedł do swojej budki... Tu, dla zbytniego wzruszenia, aby je uśmierzyć, napił się wódki — i po niej nabrawszy energii wielkiej, wprost się udał do mieszkania stróża, które było w podwórzu, w kącie. Architekt pan Monti, uwzględniając wszelkie potrzeby domu, nie zapomniał i o tej izdebce stróża, lecz o ile w innych domu częściach szczodrym był w wymiarach, tu ściśle tylko co konieczne było, aby człowiek wyżyć mógł nie udusiwszy się, dla stróża wyznaczył. Była to klatka nie izba — chociaż piecyk stał w niej żelazny, i miejsce na łóżeczko ze stolikiem się znajdowało. Między piecem, łóżkiem i stolikiem przecisnąć się było można — nic więcej. Kufereczek musiał stać pod łóżkiem, a inne rzeczy na ścianach wisiały... Żyć tu, gotując sobie jeszcze w piecyku jedzenie, jak to stróż robił, zdałoby się dla zepsutych wygodami niebezpieczeństwem, nie było powietrza aby tchnąć, przestrzeni, by się rozprostować i wyciągnąć, — a żyło się wszakże... i nie piszczało.

Przez cały dzień na dziedzińcu się nie pokazując prawie, stary stróż siedział tu zamknięty, i już był nawykł do tej żółwiej skorupy. Tylko gdy kto do niego przychodził, ponieważ dla gościa, choćby jak najmniejszej objętości miejsca nie stawało, rozmowa się zwykle odbywała, u drzwi otwartych, i przybywający stał w równie obszernej sioneczce.

Dobrze wyrosłemu i tuszy pięknej panu Żabczyńskiemu wnijść do stróża było absolutnem niepodobieństwem, ale drzwi do izdebki otworzywszy... stanął jak zwykle do rozmowy. Stróż — którym, jak się tu okazało, był pan Łukasz z Zamoroczan, siedział na łóżku... z nogami zwieszonemi... W piecyku się coś skwarzyło. Żabczyński popatrzał nań.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry...

— Jakby pan Łukasz zszedł do mnie do stancyi — odezwał się Żabczyński — jest coś do pogadania. W dziedzińcu nie ma nikogo...

— A no — zaraz — ino garnek odstawię — odparł stróż — idę...

Szwajcar poprzedził go i wszedł do swej loży. Trzeba nadmienić tu, że w czasie niebytności pana Leona, szwajcar sobie pozwalał wcale nie wdziewać stroju urzędowego, chodził w surducie i laski nie brał do ręki. Książę i to jego lekceważenie sobie zanotował.

Gdy pan Łukasz wszedł do loży, już pan Marcin siedział w krześle...

— Co pan powiesz! odezwał się — już książę się mnie o was dopytywał. Co? kto? zkąd? czy pewny? Słyszał to kto co podobnego? on tu pan? ale!

Pan Łukasz się skrzywił i ramionami rzucił... ale wcale nie strwożył.

— Czyś mu, uchowaj Boże, na nagniotek nastąpił? spytał Żabczyński.

Zmilczał Łukasz... oczy mu się zaiskrzyły.

— Tałałajstwo to... mruknął wyczekawszy: tałałajstwo — i po wszystkiem... Ale jeżeli tak, mnie tu nie ma co popasać... zwietrzyli pismo nosem...

— Jakie pismo? spytał szwajcar.

— Hm — co ja przed przyjacielem i godnym człowiekiem taić mam — począł Łukasz... Co taić mam! To są pasorzyty i rajfury... Wyprawili pana Leona precz... aby tu Sodomę i Gomorę zaprowadzili. Co tam taić? A no! ja w korytarzu złapałem przekradającego się tego grafa i — dałem mu kijem naukę, aby się po nocy nie włóczył... a no! tak! Na kwaśne jabłkom go zbił...

Mnie tam pan Leon albo i Maurycy ani śmierdzi ani pachnie — mówił ze wzrastającym gniewem Łukasz. Kat ich bierz wszystkich razem! ale na szelmostwa z zimną krwią nie mogę patrzeć...

Szwajcar usłyszawszy, zerwał zię z krzesełka.

— Co acan mówisz! To on nie padł ze schodów?

Rozśmiał się Łukasz.

— Padł, ale pod moim kijem na korytarzu; a takem go z apetytem obrabiał, że aż miło... Otoż widzę zwąchali, że to ja go tak oporządziłem.

Stał asłupiały Żabczyński, mrucząc:

— Wy! wy!

— A ja — a ja! Sodomy i Gomory nie mogłem znieść... Sprawiedliwości bożej byłem narzędziem...

Teraz, jak widzę — mnie tu popasać dłużej nie ma co... Manatki związę i w świat. Tyle tego... już mi też niewiele zostało. A com rad, tom rad, żem tego furfanta poczęstował jak należy...

Odwagą tą i wielkim zapałem cnotliwym pana Łukasza poruszony do głębi Żabczyński, wpatrywał się w niego z bojaźnią i poszanowaniem. Słuchał i uszom nie wierzył. Łukasz jakby wcale o niego nie szło, uśmiechał się i krzywił, więcej uradowany z siebie, niż zafrasowany.

— A cóż wacan z sobą zrobisz, panie Łukaszu? spytał szwajcar.

— Co! albo ja wiem! Jużci mi zaległą pensyę każecie zapłacić! rzekł — no — więc na pierwszą godzinę chleba kawałek będzie — a potem... albo to Pana Boga niema? Czym to ja już i głodny nie był i bez dachu?... Czy to mnie pierwszyzna z torbą chodzić! Póki człowiek młody a niedoświadczony, to mu strach... później, choćby i zdychać — gotów, bo mu już wszystko jedno. Do Żyda pójdę służyć i w szabas świecie objaśniać. Tyle tego... dumny już nie jestem.

Rezygnacya ta większy jeszcze szacunek obudziła w Żabczyńskim, który westchnąwszy, za rękę ujął pana Łukasza.

— No — ieżeli już prawda, żeś pan tego grafa rozumu przez plecy uczył — przeciwko czemu ja nic nie mam... możeby i lepiej z oczu im zejść. Oni milczą, bo i wstyd — a no — mścić się mogą... Ale ja panu Łukaszowi miejsca się postaram.

— Bóg zapłać...

Żabczyńskiemu protekcya czyniła przyjemność tem, że w niej widział przekorę księciu... Książę chciał wypędzić i zgubić, on bronił i żywił... Podnosiło go to w oczach własnych.

— Jak Boga kocham — dodał — miejsce znajdę... i dobre...

Skończyło się na tem z rana; wieczorem stróża nie było. Szwajcar oznajmił, żeby sobie innego szukali, bo on dziedzińca zamiatać nie myśli. Pan François doniósł o tem księciu, że stróża odprawiono...

Mocno go to wzruszyło.

— A! zawołał: więc coś było — spisek! Czuli się winnymi...

Okoliczność ta i księcia i marszałkową obeszła, chcieli bowiem cały przypadek ukryć przed panem Leonem, a obawiali się spisku sług...

Wieczorem wezwano znowu szwajcara do księcia. Przybył wprawdzie, lecz mniej jeszcze grzeczny i akkomudujący się niż pierwszym razem.

— Cóż to? stróż się już sam odprawił? spytał książę.

— Nie, proszę księcia — ja go odprawiłem...

— Jakiem prawem?

— Bo ja go przyjąłem. Widziałem, że książę ma go w niełasce... wolałem oddalić. Niech teraz kto inny installuje tu...

— Cożeś to acindziej tak znowu łaskotliwy? zawołał książę. Ja go tylko spytałem...

Szwajcar nie raczył odpowiedzieć...

— No, mniejsza o to — dodał książę — ja poleciłem tu przywołać acana, aby mu dać inną przestrogę... Proszę, aby ludzie w ogóle o chorobie hrabiego (tak nazywano wypadek) nie pletli... nie bzdurzyli, i żeby, gdy pan Leon wróci, mowy o tem nie było...

— A co do mnie ludzie należą? odparł szwajcar — do mnie wrota należą nie ludzie... Ja zamykam drzwi nie gęby.

Zuchwała ta odpowiedź byłaby księciu na nowo żółć wzburzyła, gdyby szwajcar nie pospieszył zaraz

wynieść się za drzwi i nie dał księciu ochłonąć sam na sam.

Taki był stan rzeczy w Warszawie, gdy pan Leon do niej powracał.

Niespokojnie dosyć wyglądano jego przybycia, bo się lękano, aby w zmienionych twarzach i humorach nie domyślił się więcej, niż chciano. Wypadek choroby postanowiono okryć milczeniem, lecz niepokój zdradzały zmienione twarze, nachmurzone lica, rozdrażnienie marszałkowej, księcia a szczególniej Felicyi.

Obawa jednak kyła zbyteczna, pan Leon zajęty sobą, uszczęśliwiony z powrotu do życia swego powszedniego, ślepym był — a smutek na twarzach mógł tylko przypisać tęsknocie po sobie.

Gdy nadjechał, Felicya nie wyszła przeciw niemu, matka tylko oznajmiła mu zaraz w progu, że nieboraczka jest od tygodnia chora...

Ta choroba tłómaczyła smutek wszystkich. Leoś znalazł ją ubraną ślicznie, w negliżu leżącą na szezlągu, bladą i uskarżającą się na ból głowy, osłabienie. Powitanie z jego strony najczulsze, z jej było oziębłe i smutne... Marszałkowa uprzedziła go, że doktor największy spokój nakazał.

Wieczór zajęło opowiadanie o pobycie w Rakowcach, o matce i o spodziewanem przeciągnieniu działu, powierzonego Malborzyńskiemu, spodziewającemu się, iż zwlecze ukończenie sprawy póki zechce.

Zagadywano pana Leona interesami. Książę się skarzył na żółć, marszałkowa na nerwy. Przybyły, gdyby to tylko uszło — rad się był wyrwać zaraz w miasto, dowiedzieć się o konia, zobaczyć z przyjaciołmi... Tego dnia jednak nie wypadało.

Spytał o hrabiego, zdziwiony, że go nie widzi. Marszałkowa z westchnieniem odezwała się:

— Wszystko od twojego wyjazdu nam nie szło... *Guignon* jakiś! Wystaw sobie, że i hrabia był mocno chory, dotąd jeszcze z domu nie wychodzi, chociaż się ma lepiej.

Nie umiano wytłómaczyć co to była za choroba.

— W istocie, że to było parę tygodni osóbliwych dla nas — dodał książę. Felicya chora... seryo... ja z tą żółcią, nie wiem nawet dotąd czy rozpędzoną, marszałkowa z nerwami...

— Ale to wszystko przechodzi lub przeszło — przerwał wesoło Leon — mam nadzieję, że wszyscy będą zdrowi rychło... Nie trzeba się chorobie poddawać. Hrabia się pieści. Książę miewa imaginacyę...

— Ja? imaginacyę? podchwycił książę i wystawił język — patrzże język! Ciągle obłożony...

Leon natarczywiej niż o żonę, której słabość uważał za znudzenie, dopytywać zaczął o hrabiego...

— Co mu mogło być? zdrów jak ryba!

— No — nie wiem — dodała marszałkowa, ale było coś seryo... Zachorował nawet wieczorem tu u nas... Ale... o tem nie mamy co mówić...

Zwrócono rozmowę. Pożegnawszy Felicyę czule, Leon poszedł spoczywać po znużeniu. Nazajutrz przed śniadaniem jeszcze pobiegł do hrabiego, który miał polecenie dopilnować konia, aby mu go kto nie podkupił. Gdy przybył do niego, hrabia Teofil jeszcze był w łóżku z głową związaną. Nie zaraz go wpuszczono, lecz wszedł przebojem.

— Cóż ci jest? chory i co to może być? wczoraj mnie już nastraszono... Co za przyczyna?

Hrabia nie umiał czy nie chciał się tłómaczyć, ogólnikami tylko powiadał o ciężkiej swej chorobie, o doktorze... potem zwrócił się do konia, i Leosia wsadziwszy nań, umiał w ten sposób uwagę jego od siebie odciągnąć...

Nie było niebezpieczeństwa, by się pan Leon dopytywał zbytnie o cokolwiek bądź w domu, bo go więcej zajmowało życie na zewnątrz i stosunki w mieście. Im cały niemal dzień poświęcił, napawając się wrażeniem jakie czyniło jego przybycie. Witano go z taką radością niekłamaną!

Groziło skądinąd zdradzenie milczenia nakazanego w domu. P. Symforyan, który miał między służbą wielką powagę i zachowanie, lubił plotki, natychmiast po przybyciu potrzebował sprawozdania ze wszystkiego co się tu działo pod niebytność jego... Zausznik jego, młody Stasiek, w sekrecie opowiedział mu ze szczegółami jak marszałkowa sprowadziła tu hrabiego, i co mu się tu przytrafiło. Powieść była złośliwa i pełna domysłów najśmielszych, które żywa imaginacya pana Symforyana dopełniła.

Zrozumiał on po swojemu całą tą historyę, i nic Staśkowi nie mówiąc, wziął na rozwagę — czyby mu nie wypadało, skarbiąc sobie łaskę pańską — oczy otworzyć —? Z jednej strony mogło to być korzystne, z drugiej niebezpieczne. Zawahał się więc pan Symforyan i postanowił odłożyć stanowczą decyzyę do lepszego rozpatrzenia się.

Ani tego dnia, ani następnego nie odezwał się z niczem, ale zbierał z różnych źródeł materyały, a że w garderobie Felicyi miał przyjaciółkę, niemłodą już, ale piękną pannę Matyldę, która i złośliwą była bardzo i nader przenikliwą, zaczerpnął tu także ważnych poszlak i domysłów. Służąca marszałkowej sprzyjająca panu Symforyanowi i chcąca go oderwać od panny Matyldy, przysłużyła mu się informacyami. Trzeciego dnia kamerdyner już wiedział więcej niż ktokolwiek. Miarkował to dobrze, iż może na swą korzyść obrócić kiedy zechce ciekawe rzeczy, o jakich się dowiedział... i uśmiechał się tylko spoglądając z ukosa na Leosia.

Wkrótce po powrocie pana Leona, książę ciągle się uskarżający na niezdrowie, któremu może ciężyła ta atmosfera zbyt żywemi prądami poruszana, wśród której się od jakiegoś czasu obracał, objawił życzenie pojechania na wieś. Przywykli byli do niego wszyscy, ale mu się nikt nie sprzeciwiał; mówił, że zdrowie jego wymaga koniecznie spoczynku. Marszałkowa go nawet nie wstrzymywała. Na podróż znowu zażądał pożyczki pieniężnej od Leosia, obiecując mu spłacenie tego dłużku, całego razem. Jakoż wyruszył czule żegnany, przyrzekając wkrótce być z powrotem...

Marszałkowa, która na przemiany to nazbyt bywała ożywiona, to zadumana i smutna, parę razy się z tem odezwała, że chciałaby zajrzeć do Holmanowa, ale Felicya jej nie puściła. Leon zaś, najlepszy z ludzi, niczemu i nikomu nigdy się nie sprzeciwiał, z tym warunkiem, aby też jemu nikt w drogę nie wchodził. Żonie zostawił swobodę najzupełniejszą. Pożycie ich dziwnie się jakoś ukształtowało, na wzór innych małżeństw wielkiego świata. Pani miała swe kółko i zajęcie osobne; pan żył z przyjaciółmi swymi i bawił się wedle upodobania. Leoś nie przestawał być czułym, ale roztargniony był, i ta czułość wydawała się raczej formą niż rzeczywistem przywiązaniem. Ze strony Felicyi od pewnego czasu wymagania były wielkie, kapryśne, ale miłości i uczucia ani znaku. Przeciwnie zdawała się chcieć okazać jawnie, że jest jej zupełnie obojętny — ale pan Leon tego nie widział. Gderała na niego ciągle, znajdowała niewłaściwem wszystko co on pomyślał, dość było, ażeby on coś zadysponował, by się jej wydawało niedorzecznością. Łagodny jej charakter zmienił się w dziwactwo i fantastyczność.

Wymagania były z każdym dniem większe, a sprzeciwić się im nie było sposobu. Najmniejsza uwaga uczyniona przez męża wywoływała gniewy,

dąsy, milczenie. Naówczas matka brała stronę córki, obie napadały Leona i ten musiał ulegać.

Wyzdrowiawszy, z przyjemną tylko bladością na twarzy, która mu po upływie krwi pozostała, hrabia powrócił do pałacyku i znowu stał się tu gościem codziennym. Był to także sprzymierzeniec marszałkowej i jej córki przeciw Leonowi, chociaż istotnie trzeba było dobrej woli, aby wojować z człowiekiem, który w żadną walkę się nie chciał i nie myślał wdawać. Znajdowano w nim coraz nowe przywary. Marszałkowa narzekała na jego lekkomyślność i rozrzutność, choć stosunkowo Felicya traciła tyleż lub więcej od niego. Żona znajdowała go nudnym i chłodnym. Hrabia chwalił go, ale zawsze dodawał do pochwał przywary, które szalę na stronę ich przeważały.

Leoś tak był ślepy i zajęty sobą, że tego ani czuł, ani widział. Pół dnia też pędził za domem, a hrabia tymczasem miejsce jego w pałacu zajmował.

Biło to w oczy drugich, a nic a nic nie raziło tego, kogo najwięcej obchodzić było powinno...

Wśród tego trybu życia dziwnego, przyszły układy o dział, o których mówiliśmy. I one nie mogły Leona wyprowadzić z tego rodzaju apatyi, która była mu naturalną. Gniewał sie tylko, że mu to niepotrzebnie życie jego mąci... Niespokojna marszałkowa nie dawała mu też pokoju, ciągle mówiąc o interesach... Leon ruszał ramionami i uciekał do koni, kart lub męzkiego swojego towarzystwa.

Przyszła w ostatku wiadomość od Malborzyńskiego, że dział dokonany został wedle życzenia. Interes świetnym się wydawał, marszałkowa była prawie rada — milion rubli mający się podnieść z kaucyi imponował nawet hrabiemu. Pierwszym skutkiem odebranej wiadomości było postanowienie dania balu...

Bal ten od dawna już był uprojektowany, zwlekano z nim dla chwilowych różnych przeszkód. Leon chciał go mieć czemś niesłychanem, czarodziejskiem; mówił o sprowadzeniu dekoratorów z Paryża, cukrów i t. p.

Ożywiła się nawet na chwilę ta, która być miała jego królową. Położyła tylko za warunek, ażeby ogród ów zimowy był tego dnia otwarty. Właśnie go na dokupionym gruncie kończono. Chodziło o mizerne jakie parę tysięcy rubli, by żywiej poszły roboty...

Leon zajął się najmocniej balem, głównie nastając na to — *qu'il fera epoque*... Najdziwaczniejsze myśli przychodziły mu do głowy, a każdą z nich trzeba było tysiącami opłacać... Ponieważ razem z balem połączona była wieczerza *monstre*, którą kucharz jakiś umyślnie z Paryża sprowadzony miał przygotowywać — napisano do księcia, aby przybył na ten dzień po nową gastrytę.

Felicya zajęta też była, ale swą toaletą. Suknia jej z lamy srebrzystej, okryta cała koronkami, z węzłami brylantowemi, szła z Paryża. Cały nowy brylantowy przybór, naszyjnik, bransolety, dyadem, pas umyślnie był kupiony, by w nim mogła zajaśnieć. I ten nabyty został w Paryżu, jak zresztą wszystko, co strój ten dopełniało.

Felicya dla matki także w darze od siebie sprowadziła ubiór kosztowny i stosowne do niego klejnoty naśladujące stare greckie. Gorączkowe zajęcie balem na chwilę wszystkich zbliżyło i przejednało — hrabia tylko zaczął być sarkastyczniejszym, jego to nie bawiło. Z Leosia podżartowywał, ale ten nie zważał na to. Zaproszenia wczesne poszły do wszystkich znajomych, nawet na wieś. Mówiono już o balu, i zawczasu dziwy o nim wiedziano... Napierała się młodzież o zaproszenia, których nie skąpiono

wcale... Ogród był niemal gotów, a na ten dzień oświecić go miano brylantowym gazu przyrządem, który wśród zieleni drzew stanowić miał dekoracyę uroczą — niestety! ogródki paryzkie przypominającą.

Zajęty przygotowaniami, Leon był w swoim żywiole... i nie widział nic więcej nad ten bal, który najdostojniejsze stolicy znakomitości obecnością swą zaszczycić miały.

Nadszedł dzień oczekiwany — i — co się nader rzadko zdarza — nic nie chybiło, nadeszło wszystko w porze, udało się nawet to, czego się nie spodziewano. Salony zajaśniały przepychem... ogród wyglądał jak sen z tysiąca nocy... Goście zachwyceni nąpawali się, ale jednym głosem prawie powtarzano:

— Kiedyż ten szaleniec zbankrutuje?

— O! nabab pociągnie jeszcze lat parę, mówili drudzy...

— *Mais c'est scandaleux!* szeptali zazdrośni.

— Kwalifikuje się do Bonifratrów... dodawano z boku.

Wśród tłumów Felicya w brylantach, blada, śliczna jak posąg grecki, smutkiem jakimś obleczona, zachwycała. Niekiedy oczy jej podnosiły się jakby szukały kogoś, błyskały ogniem i upadały jakby omdlałym wzrokiem na ziemię.

Była wśród najpiękniejszych najpiękniejszą, a hrabia stojący z daleka u kolumny, z kapeluszem pod ręką, wpatrując się w nią tak uporczywie, iż wszystkich zwracał uwagę, zdawał się czegoś gniewny... Był w najgorszym humorze może dla tego, iż Leon był bardzo szczęśliwy. On także na kilka dni przed tem, niewiadomo jaką drogą otrzymawszy gwiazdę orderu Medzidże, pierwszy raz z nią u boku występował. Wszystkie panie mu się uśmiechały; jedna żona, ile się razy zbliżył, widocznie go dąsami i kaprysami zbywała... Tryumf, jaki odniosła, nie

wpłynął na jej wesołość... była dziwaczniejszą niż kiedykolwiek. Książę, który przybył na dni parę, jako pół-gospodarz, jaśniał nadzieją wieczerzy, zapowiadając gastronomiczne jej cuda.

Bal, który trwał do białego rana, kosztował summę bajeczną, powiódł się najszczęśliwiej — miał ten skutek, że jedni gospodarza waryatem, drudzy marnotrawcą ogłosili. Ale całe miasto o nim mówiło, pisały dzienniki domowe i zagraniczne, a okruszynami jego co się sług nakarmiło... nie zliczyć!

Szczerba, jaką w kapitale uczyniło to wystąpienie, dla pana Leona wydawała się mało znaczącą. W wydatkach swych, coraz podnosząc ich skalę, miary nie zachowywał żadnej, — nie dawały się one czuć i upoważniały do coraz większych, choć dochody na to nie starczyły... Nie było nikogo, coby pana Leona uwagę na to zwrócił. Felicyi zaś nigdy nie było dosyć. Hrabia, który powinien był przyjaciela powstrzymać, z urągliwym uśmiechem popychał go do coraz nowego marnotrawstwa. Sam on wprawdzie począł był także budować ów pałacyk cacko — ale Monti znajdował, że niesłychanie jest skąpy... Współzawodnictwo choć trzymane w pewnej mierze, z panem Leonem, i hr. Teofila narażało na wydatki; umiał jednak zawsze pozornie wyrzucać, przemyślając nad oszczędnościami skrytemi.

Wśród coraz nowych życia przyjemności i potęgującego się zbytku — zdawało się, że marszałkowa zapomniała była o Morysiu i dawnych swych planach... Tak jednak nie było — serce jej nie tęskniło, ale miłość własna i rachuba kazała jeszcze próbować szczęścia.

Jednego dnia powtórnie oświadczyła marszałkowa, że jest zmuszona choć na krótko zbiedz do Holmanowa. Tym razem Felicya mniej się już jej przeciwiała, Leoś nic a nic — ofiarował się dać powóz i służbę do podróży...

Wycieczka ta, odkładana od dnia do dnia, przyszła nareszcie do skutku, i pani Falimirska po długim pobycie w mieście, znalazła się znowu wśród ciszy, sama jedna ze służącą na drodze do dawnej rezydencyi. Malborzyński już tu oczekiwał na nią. Wchodząc w myśl swej pani, uboczną drogą dał znać Maurycemu o przybyciu... Był pewien, że i on przyjedzie na powitanie — lecz rachuba ta chybiła.

Choć chwilami tęsknił do swej pierwszej atłasowej miłości Maurycy, już żywsze jej uczucie ostygło znacznie... Bywał często bardzo w Wierzejkach, i coraz się bliżej przysiadywał do panny Malwiny, w której ani się kochając, ani myśląc oświadczać, ot tak... bardzo smakował — jak mówił.

Podkomorstwo na to patrzali z daleka, dawając nałogowi serca dojrzewać i nie chcąc pośpiechem popsuć tego, co się zdawało święcić. Podkomorzyna czasem namawiała męża, ażeby spytał Maurycego, — stary śmiał się.

— Ale bo acindźka stara jesteś, a zawsze gorąco kąpana... Cierpliwości! cierpliwości! niech owoc dojrzewa. Będę wiedział kiedy i jak zagadać. Acindźkabyś go spłoszyła tylko... niech się wprzód dobrze zacietrzewi. Ja się na tem znam...

Moryś coraz częściej przyjeżdżał — mówił i śmiał się chętnie z ładną panną; ale o miłości żadnej nigdy ani słóweczka nie bąknął. Podkomorzyna się niecierpliwiła.

— Bałamut! powtarzała. Postanowiono go albo Węgrowiczem lub innym pretendentem przynaglić. Podkomorzy nie dopuścił. Wszelką intrygą, nawet najniewinniejszą się brzydził, i gniewał gdy o niej posłyszał.

Gdy Morysiowi dał znać Malborzyński o przybyciu marszałkowej — zmieszał się chłopak... Ciągnęło go tam i lękał się. Poszedł powiedzieć o tem matce, która wiadomość przyjęła kwaśno.

— No — to pewnie u nas będzie — nie ma się co śpieszyć na powitanie.

Niechęć staruszki przeciw całej tej klice rosła w miarę, jak wiadomości nadchodziły o życiu Leosia w Warszawie, a na tych nie zbywało. Jawną rzeczą było, że tam szalenie tracą, bez względu na jutro, bez rozumu i pamięci. Wdowa to, nie bez przyczyny, przypisywała marszałkowej. Ciążyło jej teraz na sumieniu, że sama pierwsze zrobiła kroki dla Leosia; zdawało się jej, że do jego zguby się przyczyniła.

Holmanów wyświeżony wystąpił na przyjęcie swej pani — ale jakże się jej wydał po Warszawie stary, starty, niesmaczny! Wspaniałości jego niemal pretensyą śmieszną trąciły. Służąca marszałkowej nazajutrz zaraz czesząc ją, zaczęła mówić do pani!

— O! już to, proszę pani, nie to tutaj co u nas w pałacu w Warszawie. Tej wygody tutaj i elegancyi mieć nie można. Tu wiele rzeczy nie znają nawet. Jaśnie pani by tu wyżyć nie mogła...

Panna rada też była powrócić do Warszawy, aby jej Matylda Symforyanowego serca nie odebrała.

Marszałkowa cały ten dzień, mimo że Malborzyński cudów dokazywał, by ją rozerwać, smutna była jak noc. Niepokoiło ją to co zostawiła w Warszawie, myślała o Felicyi, a tu... ten, dla którego przyjechała — nie przybywał — niewdzięczny...

Chciała pisać i posyłać — namyśliwszy się jednak, wolała nazajutrz pojechać do Rakowiec sama. Tu się już jej spodziewano...

Zastała wdowę niezmienioną wcale, zawsze w grubej żałobie; panna Damianna z temi samemi lokami, w tej samej chustce; a dopiero po chwili nadszedł pan Maurycy, którego znalazła opalonym, zwieśniaczałym — ale — wyglądającym zdrowo na twarzy, jak gdyby nigdy nie tęsknił.

To ją zagniewało...

Porównanie do delikatnego Leosia między braćmi okazywało różnicę niezmierną. Leoś wyglądał niemal przedwcześnie staro, policzki miał wpadłe, cerę przejrzystą i jakby nalaną — Moryś nie miał jego dystynkcyi, ale czerstwy był i krzepki...

— Podobny się zrobił do chłopa! pomyślała Falimirska...

Rozmowa nastrajana na różne tony rwała się co chwila. Nic pani Czermińskiej nie zdawało się zajmować... a to co ona wnosiła, ledwie było zrozumiałe marszałkowej. Przemęczywszy się tak godzinę, piękna pani, która mniej piękną się teraz wydała Maurycemu, odjechała, zapraszając go nazajutrz na obiad do siebie — aby mu opowiedzieć o szczęściu Leosia.

Po odjeździe jej, Czermińska wprost poszła do pacierzy, przy których płakała. Maurycy chodził po górce i dumał...

Nazajutrz włożył frak, przybrał powagę wielką i pojechał do Holmanowa. Tu tak dalece nikogo nie było, że nawet Malborzyński za interesem do miasta wyruszył.

Znaleźli się więc sam na sam.

Marszałkowa czułą była, miłosierną dla nieszczęśliwego, ale unikała uderzenia w tę strunę, która niegdyś brzmiała tak uroczo...

Stosunek serdeczny uważać się zdawała za przeżyty i zapomniany. Był to może najlepszy sposób wskrzeszenia go, ale Moryś rad był, że mu nie przypomniano przeszłości, i mówił o rzeczach obojętnych...

Kiedy niekiedy tylko marszałkowa wlepiała w niego oko pełne zapytań, ciekawości — badające — zdziwione. Naówczas on wzrok spuszczał...

Mówiono o Leonostwie. Był przytem opis balu, wiadomość o orderze tureckim, o ogrodzie zimowym i regestr wszystkich dystynkcyj jakich młodzi Czermińscy dostępowali.

— A, panie Maurycy — dokończyła wzdychając Falimirska — jam zawsze marzyła, że i pana poprowadzę tą drogą... że mu ją otworzę... że będę na niej przewodniczką... Nie chciałeś — wzgardziłeś — stało się.

I — to: stało się — poparła głębokiem westchnieniem.

— Mama!

Falimirska przymuszonym śmiechem przyjęła ten wyraz.

— Jeszcze dziecko z was! zawołała. Zawsze mama! O dobry synu!... wszystko dla mamy...

Ale Malborzyński mi mówił, żeś posunął tak dalece posłuszeństwo, iż nawet jeździsz do pewnej panny Malwiny... Cha! cha!

Maurycy się zarumienił — zeprzeczając mocno.

— Jeżdżę — ale bez żadnego projektu — słowo daję...

— A! nie mów mi tego! Bez projektu? Całe sąsiedztwo o tem mówi. Panna hoża — widywałam ją w kościele — starsza pewnie od pana... silna, zdrowa, ręce burakowe, twarz opalona, mowa śmiała... Pewna jestem, że moja Salomea więcej ma od niej dystynkcyi... Prosta dziewka. Są jednak mężczyźni, co takie lubią! *Chacun son goùt...*

Mówiła żywo i podrażniona. Maurycy, choć — bez projektu — uraził się nieco, a odezwać nie chciał.

— Uczucia tam delikatnego pan nie znajdziesz... dodała z przekąsem — ale krew żywa... a mężczyznom na tem dosyć.

— Ja wcale nie myślę o pannie Malwinie, powtórzył Maurycy...

— Zmiłuj się! na co się wypierasz? co mnie do tego! Zazdrosną o nią nie jestem, słowo daję. Myśl o niej jeśli chcesz... ale pamiętaj, jaką sobie gotujesz przyszłość. Na wieki wieków przykuty do wsi, w błocie z nią będziesz siedział i dzieci hodował... To nie jest życie! to zwierzęcy jakiś byt... dla istot ograniczonych stworzony, co nic wznioślejszego uczuć, ku niczemu wyższemu się podnieść nie są zdolne!... Dla tego mi pana tak żal, tak bardzo żal!...

— Ja powtarzam, zimno odparł Maurycy: iż życiem mojem i przyszłością nie rozporządziłem... Więc — choć wdzięczen jestem za troskliwość pani, ale ona co najmniej przedwczesna.

Czując podrażnienie w mowie Falimirska, łagodnieć zaczęła.

— Więc, jeżeli cię tu nic nie wiąże, panie Maurycy, dla czego nie przyjedziesz do nas, nie rozerwiesz się — nie rozpatrzysz?

— Dotąd, pani wie jak wielkie na mnie spadły ciężary — jeszcze nawet majątków nie objechałem...

— No ale uczyń nam choć nadzieję...

— Bardzobym rad sobie ją samemu dać... rzekł grzecznie Moryś.

Ton rozmowy zmienił się na czulszy i poufalszy... Marszałkowa niby ulegała sile wspomnień, słabości serca, i niby się im broniła. To chwytała go za rękę, to ją puszczała — to była słodka, to smutna, to szyderska. Maurycy też pod wpływem tych promieni różowych, fioletowych, złocistych — przedstawiał się różnie. I on zapominał się czasami — a — mężczyzna, ulegał też czarowi pokus wymierzonych

więcej do zmysłów niż do serca... Z jednej strony była jak zawsze tablica Pythagoresa, z drugiej fizyologiczne drgnienia natury ludzkiej...

W kilka godzin zgoda była i porozumienie zupełne — chociaż marszałkowa trzymała Maurycego z daleka — nad przyjaźń nie dając mu nic więcej, nawet w nadziei...

Starała się malować życie w Warszawie tak, aby niem go pociągnęła w ogóle, mówiła do próżności człowieka, do namiętności mężczyzny, do miłości własnej, do poczucia obowiązków familijnych, do pewnej wdzięczności za ofiary, na którą rachowała... Wszystko to przemawiało przez jej usta za tem, że pan Maurycy ich opuszczać, odrywać się od nich nie był powinien.

Nakoniec nawet napomknęła, że Leoś poczciwy nie jest gospodarny, że ludzie z niego korzystają, i że brat spełniłby powinność czuwając nad nim... bo w tem nikt go zastąpić nie może.

To był w istocie najsilniejszy z użytych argumentów, i ten trafił do przekonania Maurycego. Uląkł się ruiny, którą marszałkowa, choć w nią wcale nie wierzyła jeszcze — widziała grożącą. Uczuwszy, iż to poskutkowało... silniej jeszcze uderzyła w tę strunę.

— Mnie nie wypada się w to mieszać... Felicya takie dziecko jak i on... Książę się w to nie wda nigdy w świecie... A choć fortuna wielka — ale... ja tam nie wiem... wszystko się na świecie wyczerpuje...

Powiedz pan o tem matce — ona to zrozumie...

Czułości nieco i pochlebstw do tego przymieszawszy, odprawiła Maurycego znacznie zmiękczonym do Rakowiec, wziąwszy słowo, że ją jak najprędzej odwiedzi.

Matka, chodząc z pacierzami po pokoju, czekała na syna. Przerwała koronkę bystro mu patrząc w oczy. Obawiała się tej kobiety — czuła w niej nieprzyjaciołkę, dorozumiewała się nawet macierzyńskiem sercem, jakiej broni używać mogła. Wzbudzało to w niej oburzenie.

Spytany Maurycy, treść możliwą swojej rozmowy powtórzył — nastając bardzo na rozrzutność Leosia... Mówił długo, Czermińska wzdychając słuchała.

— To nic nowego, rzekła — on zawsze był takim... jego nic nie przerobi, ani ty możesz wpłynąć... Jam musiała nieraz za życia ojca od ust sobie odejmować... aby ratować biednego... My jego nie ocalimy... a nie chcę, żebyś ty z nim zginął...

Marszałkowa! o! o! dorzuciła — sama taka... córka jej pewnie się wdała w matkę... nic ich nie wstrzyma... Oni chcą tym strachem ciebie tam ściągnąć... ale — póki ja żyję, póki ty jesteś dobrym synem — ja nie puszczę... nie puszczę.

Zamilkł Maurycy...

Matka poczęła chodzić żywiej po pokoju.

Milczącej zwykle, serce się zdało szerzej otwierać — łzy z oczu ciekły...

— Niech choć wszystko nie pójdzie marnie, abym nie szła do grobu z tą myślą, że na majątku tym ciężyło przeklęctwo boże...

To się nigdy nie skończy — odezwała się silniej — póki ty — póki ty — nie ożenisz się i nie oderwiesz od nich zupełnie. Czas... żeń się...

— Trudno się tak ożenić z pierwszą lepszą, bez przywiązania — rzekł Maurycy...

Matka mu spojrzała w oczy...

— Nie podobałże ci się nikt w sąsiedztwie? spytała. Mnie mówiono...

Moryś się zarumienił i poruszył...

— O kim?

— A Malwina...

Długo milczał spytany, oczy utopiwszy w ziemię.

— Panna Malwina... panna Malwina — nie mogę powiedzieć, żeby mi się nie podobała — rzekł — ale... ja sam nie wiem...

— Jeśli ci się żadna inna nie podoba więcej, to dosyć — odpowiedziała mu matka. W te wielkie miłości ja nie wierzę; to ognie słomiane, buchają jasno i prędko gasną. Dowiadywałam się o tę dziewczynę — chwalą ją bardzo wszyscy. Uboga, to tem lepiej, tobie majątku nie trzeba — jest go dosyć... Ród poczciwy — nie brzydka... czegoż chcieć więcej?

Na tę zachętę macierzyńską nic nie odpowiedział Maurycy, nie nalegała też więccj Czermińska. Rozeszli się, ale Moryś na górę wszedł zupełnie inaczej usposobiony dla panny Malwiny, niż przed chwilą. Sankcya macierzyńska nadawała myśli ożenienia, której nie miał nigdy — powagę pewną. Pierwszy raz począł rozważać możliwość tego związku... Właśnie zadumany o tem na górę wchodził, gdy zobaczył bladą z nosem czerwonym twarz Pierzchały przed sobą.

Usłużny człek czekał tu jak co wieczora — na rozkazy. Być może, iż go pani Czermińska natchnęła, może też podkomorzego wpływowi ulegał — lecz codzień niemal zwracał uwagę pana Maurycego na Wierzejki i różne interesa, jakie dwa dwory łączyły. To należało za zwierzynę dziękować, to przywoził ukłony, to proszono o coś przez niego.

Zręczne faktotum wysługiwało się, aby coś na tem zyskać. Tego wieczoru Pierzchała także wracał od podkomorzego.

— Pan podkomorzy i pani podkomorzyna zasyłają uszanowanie — rzekł, i rozśmiał się. Nawet panna

Malwina kazała mi oświadczyć ukłony i dopomnieć się co pan obiecał...

— A cóż ja obiecałem?

— Nie wiem! widać, że coś jaśnie pan musiał tej pięknej pannie obiecywać. Jak Boga kocham, że ładna i rezolutna i gospodyni... drugiej ze świecą szukać...

— Nie mówiła co obiecałem? spytał zamyślony Maurycy.

Smiał się Pierzchała.

— Nie wiem, słowo daję. Inaczej nie wypada, tylko pojechać się dowiedzieć. Oni tam panu zawsze radzi, że gdyby królewicz przyjechał, nie byliby szczęśliwsi... Podkomorzy kocha jak syna... a — słowo daję — ludzie pannę Malwinę prześladują panem.

Ruszył ramionami Maurycy, nie chcąc się puszczać w rozmowę zbyt poufną z Pierzchałą.

Ten stał uparcie w progu...

— Niech pan dobrodziej się nie gniewa, dodał — za zbytnią konfidencyę, że ja to śmiałem mówić. Te gadaniny to się tam skończą rychło — bo panna za mąż wychodzi.

— A! zawołał Maurycy mimowolnie się tem zająwszy — czy nie za Węgrowicza?...

— Ale! gdzie zaś!... podchwycił Pierzchała — Węgrowicz ma lat pod sześćdziesiąt i włosy dekoktem z orzechów włoskich farbuje. Klucznicza mi jego się na to przysięgała. Jak cokolwieczek odrosną, z pod spodu siwiuteńki... a panna gdyby róża. Toby to był grzech jemu dawać! Ale gdzie zaś! Stara się o nią na seryo pan Pastuszewski z Hermanowicz, obywatel słuszny, wieś dobra — i temu nie odmówi, bo i podkomorstwo są za nim...

— Zkądże o tem wiesz?...

— Jadę ztamtąd. Przez cały dzień — począł Pierzchała — o czem innem nie było mowy... Panna się słyszę waha z tego powodu że ryżawy. Do włosów nie ma ona szczęścia!... Ale co ma do tego, że czerwone włosy kiedy człek uczciwy? mówił Pierzchała. Podkomorzy nalega i podkomorzyna mówiła, na moje uszy słyszałem. — Do siwego włosa rutkę siać chcesz czy co? Wybierałaś dosyć — czas przecie o losie pomyśleć.

Maurycy słuchał roztargniony.

— Pierwszy raz o tym projekcie się dowiaduję — rzekł...

— Bo dopiero się oświadczył — mówił Pierzchała. Jeździł długo, patrzał z daleka... a w końcu na odwagę się zebrał — no i pannę weźmie... Prawda, że majątku nie ma — a no, gdyby jak podkomorstwo tracili, jedli i pili, coś zostanie dla niej. Wierzejki choć zadłużone — zawsze wieś, dla Pastuszewskiego nie do pogardzenia.

Wygadawszy tak wszystko, pan Pierzchała skłonił się.

— A może jaśnie pan tam co każe powiedzieć, bo ja się chcę wprosić jutro na polowanie do podkomorstwa...

— Nic — tylko się kłaniać proszę...

— A pannie Malwinie, względem obietnicy — gdyby zapytała?

Maurycy podumał.

— Gdyby zapytała, powiesz pan, że ja zawsze dotrzymuję co przyrzekłem.

Wiadomość o Pastuszewskim poruszyła Maurycego. Póki panna nie miała konkurenta — mógł zwłóczyć, żal mu ją stracić było... szkoda pomyśleć, że pójdzie za ryżego, poczciwego, ale wielce niepowabnego dziedzica Hermanowicz. Oburzało go to nawet, że się o nią śmiał starać, i wydawało dziwnem...

Myślał i o tem co mu mówiła matka... i o marszałkowej trochę...

Tego dnia dojrzał zmarszczek na jej twarzy i powłoki ryżowej, którą była pokryta. Oczy oplatała siatka gęsta. Nad wargą górną wytryskały włosy, których dawniej nigdy nie było... Świeżość była podejrzana, wdzięk dawny znikł... Marszałkowa się mocno zmieniła, lecz była tak jeszcze ożywiona, taki miała kunszt słowa, oczu, sztukę... uśmiechu urok — ruchów wdzięk... iż Maurycy zapominał przy niej o tych czterdziestu trzech, które teraz już przeszły na czterdzieści i cztery...

Z rana przyniesiono karteczkę pilną z Holmanowa... trzeba tam było znowu się stawić.

Matka już o niej wiedziała i nie była z niej rada.

— Jedź, kiedy musisz, żeby nie być niegrzecznym, odezwała się — ale powiedz, że masz interes, i że ja prosiłam cię, abyś powracał...

Tego dnia był Malborzyński — który swej pani umiał być pomocnym i podpierał silnie każde słowo... Usiłowano napróżno zatrzymać Morysia, który się złożył interesem pilnym...

Marszałkowa puściła go na pół gniewna. Namyślała się już czy pozostać dłużej i czy się to przyda na co. Nudziła się tu, a razem o Felicyę była niespokojna. Listy jej do matki niezrozumiałe, tęskne, długie, poplątane, dowodziły usposobienia, w którem doświadczona niewiasta widziała symptomata niepokojące. Felicya była widocznie nieszczęśliwa, to jest w głowie swej dziecięcej uroiła sobie strasznego coś — czem się bawiła, przebierając się za męczennicę. Lecz zwiastowało to w kapryśnem dziecku — a przynajmniej groziło wybrykiem.

W gorszym nigdy humorze nie była marszałkowa, jak gdy w kilka dni potem przyjechała żegnać panią Czermińską. Maurycego nie było, bo mu się

szopy i stodoła spaliły w Zamoroczanach i musiał wyjechać pilno. Nie mogła go więc pożegnać nawet pani Falimirska, i zostawiła tylko list na ręce Malborzyńskiego.

Tak się skończyła ta powtórna stracona wyprawa i łowy daremne...

Czermińska odetchnęła swobodniej.

Po wyjeździe marszałkowej, Maurycy wracając z Zamoroczan wstąpił do Wierzejek... ot tak — po drodze... W domu nikogo nie zastał wypadkiem, wszyscy byli na polowaniu, podkomorzyna tylko i panna Malwina wyszły na powitanie...

Piękna panna miała oczy jakby zaczerwienione i minkę smutną. Podkomorzyna chmurno i zimno przyjęła Czermińskiego. Proszono go jednak, aby na powrót myśliwych zaczekał, który wprędce miał nastąpić.

Pożar dostarczył treści rozmowie... potem polowanie.

Z panną Malwiną był od dawna Maurycy na stopie wiejskiej poufałości, która dozwala niemal po bratersku mówić wszystko...

— Czy mam pani powinszować? zapytał po wyjściu podkomorzyny.

— Mnie? czego?

— Mówiono mi ó Pastuszewskim.

— A! dajże mi pan z nim pokój! Podkomorzy, podkomorzyna... cały świat się mnie chce pozbyć. Mówię, zaklinam się, proszę, że za mąż iść nie chcę — nic nie pomaga...

— Czy w istocie ma pani wstręt do tego stanu? podchwycił Maurycy.

— Powiem panu całą prawdę — odezwała się rumieniąc panna — nie do stanu mam wstręt... ale nie z każdym do ołtarza pójść można i związać się

stułą na całe życie. Pastuszewski jest uczciwy, zacny człowiek — przecie to nie dosyć...

— Masz pani słuszność! zawołał Maurycy, biorąc ją za rękę, której mu nie broniono. Aby iść do ołtarza, trzeba się sobie podobać... myślą się jakoś wprzódy ożenić... nieprawdaż?

Malwina słuchała zdumiona i zarumieniona...

— Proszę pani — dodał ciszej — a gdybym ja się oświadczył zamiast Pastuszewskiego?

Dziewczę o mało nie krzyknęło, lecz nie umiało ukryć radości, która w oczach błysnęła.

— A! nie żartuj pan! to się nie godzi!

— Jak Bóg miły — nie żartuję... potwierdził Maurycy, nie puszczając jej ręki.

I było milczenie wymowniejsze, niż słowa; z oczu panny Malwiny dwie łzy pobiegły...

— Panie Maurycy... ale to nie może być! To nie może być... Pan!... Pańska matka na to nie pozwoli — ja jestem ubogą...

— Moja matka mnie tu przysłała — rzekł Maurycy — pani mi nie odmawiasz!

Spojrzeniem odpowiedziano tylko, a w tem weszła podkomorzyna, i widząc, że Maurycy trzyma za rękę pannę a szepcze coś, zarumieniła się oburzona. Piorunującym wzrokiem rzuciła nań. Maurycy się uśmiechał.

— Pani podkomorzyno dobrodziejko — odezwał się wstając — proszę pani, abyś się wstawiła za mną i do panny Malwiny i do męża swojego...

Pani Jadwiga w ręce uderzyła z radości, i nie mogąc się pohamować, rzuciła się ściskać Czermińskiego.

— Niech was Bóg błogosławi! zawołała — ale matka pańska... matka?

— Za jej wiedzą oświadczyłem się pannie Malwinie...

Wtem trąbki, harapy, turkot bryczek, śmiechy, nawoływania dały się słyszeć przed domem, i podkomorzy w ręku niosąc parę zajęcy, w lisiurce starej i kapuzie na głowie, wszedł do salonu...

— Powiedziałaś jejmość, że upieczesz na palcu co zabiję... proszę!

Postrzegłszy Maurycego, podbiegł, o ile nogi biedz dozwalały, ku niemu.

— Jak się masz? zkądże? Spaliłeś się słyszę...

— Mała szkoda, rzekł Maurycy wesoło: szopy były puste a liche, trzeba lepsze postawić.

— Otóż to lubię — jak Boga kocham! począł podkomorzy — to lubię, zawsze sobie trzeba wszystko na dobre tłómaczyć, tak Pan Bóg przykazał...

Napływać zaczęli myśliwi do pokoju, poubierani jak kto mógł, ale podkomorzyna nie zważała na to; jedni w kurtkach, drudzy w surdutach, w taratatkach i siermiężkach... Wszyscy ożywieni niezmiernie, lica rumiane, humory królewskie... a na ustach jeszcze polowanie huczało... Węgrowicz o ubitą sarnę spierał się ze Slaskim, bo obu się zdawało, że ją śmiertelnie ugodzili. Pastuszewski stał także na uboczu. Był to mężczyzna dorodny, z krótko bardzo ostrzyżoną głową istotnie ryżą. Panna Malwina dawno już była znikła...

Na środku salki leżały okrwawione dwa zające, które na palcu być miały pieczone. Podkomorzyna nie strwożona tem, dawała znaki mężowi, wywabiając go do drugiego pokoju. P. Czesław nie domyślając się nic nagłego, niby się opierał jejmości — wreszcie pociągnął za nią.

— Wiesz co się stało? wiesz co się stało? zawołała, wywabiwszy do drugiego pokoju.

— Hę? rzekł żartobliwie podkomorzy — a cóż? albo barszcz wywrócił się i wylał, albo pieczeń pies

pochwycił,.. Nie chybi — tak moja jejmość ma fizys przerażoną.

— Co pleciesz!

— Cóż się stało? Koty śmietankę wypiły?

— Czesiu mój — dajże mi mówić.

— Słucham...

— Maurycy się oświadczył formalnie Malwinie.

Pan Czesław cofnął się kroków parę.

— Ale? rzekł niedowierzająco: wszak to jeszcze nie Prima Aprilis!

— Jak cię kocham, serdeńko...

— A no — chwalić Boga — odparł podkomorzy, żonę w czoło całując. A nie mówiłem? a nie przepowiadałem? a nie prosiłem: — czekaj jejmość! — a co?

— Bóg widzi, żem się tego nie spodziewała...

— Cóż? i przyjąć go raczyła? żartobliwie rzekł Czesław, którego się zawsze żarty trzymały... Ja jej będę radził, aby mu harbuza dała, a wzięła Pastuszewskiego — hę? nie prawdaż?

I śmiać się począł — ale tuż wołano:

— Barszcz na stole! barszcz!

Ktoś z drugiego pokoju — dodał: — *Hora canonica!*

Podkomorzego już wstrzymać nie było można, wyszedł. We drzwiach stał służący z tacą ogromną, na niej flaszek sześć, począwszy od goldwasseru do różowego likworu z wanilią, starka, kimmel, ratafia... kieliszków cały szereg, a zakąsek tłuczeńców, śliwek, pierników i wędlin pełne talerze.

— Panowie! kto w Boga wierzy... do broni! zawołał gospodarz... W ręce pana Czermińskiego...

I wychylił starki kieliszek... patrząc mu w oczy, a mrugając jedną powieką...

Poszły tedy flaszki po rękach, a za tem do jadalni ciągnęli wszyscy miejsca swe zajmując gwarnie. Podkomorzy szepnął Grzesiowi, który był i łowczym i piwniczym i kamerdynerem u niego:

— Żeby mi Augustek był przygotowany i sześć butelek Myszki... rozumiesz?

Znaczyło to półkwartowy kielich Augustowski i najstarsze węgierskie wino...

Obiad się zaczął od prześladowania podkomorzyny ową parą zajęcy... Maurycy, którego posadzono przy rumieniejącej się, poruszonej i niezmiernie niespokojnej pannie Malwinie, cały nią był zajęty. Wydawała mu się piękną, jak nigdy, prawda, że po raz pierwszy oczy jej mu powiedzieć śmiały, iż go kochała. Podkomorzy udawał, że o niczem nie wie. Dawano pieczyste, gdy kielich kazał podać, nalał go i podniósł.

— Panowie! rzekł głośno — mam przeczucie, że tu ktoś dziś się zaswata, i że się nam obiecuje wesele... Nic nie wiem, ani kto, ani co? ale wzywam panów, abyśmy narzeczonych zdrowie wypili...

Wszyscy spojrzeli zdziwieni po sobie. Pastuszewski, który już był tak jak wziął harbuza, myślał, że z niego żartują i zżymnął się.

— Kto się poczuwa, niech mi podziękuje — dodał podkomorzy i spojrzał na pana Maurycego. Ten wstał jak struna wyprostowany, gotów do przyjęcia kielicha.

Gwar dziwny rozszedł się do koła, a potem — głuche milczenie...

Podkomorzy stał jeszcze z kielichem.

— Ponieważ sekret się wydał, który przedemną chciano ukrywać, i szydło wyszło z worka — zatem zdrowie narzeczonych pana Maurycego i panny Malwiny!

Podniósł Augustka do góry, potem duszkiem go spełnił i po piersi się pogładził...

Panna Malwina oczy sobie zakrywała... Wszyscy goście patrzali zdumieni: dopiero po chwili, gwar się wszczął okrutny i powinszowania. Pierzchała, który jak inni o bożym świecie nie wiedział, o mało się ze stołka nie stoczył...

I sześciu butelek myszki nie wystarczyło, tak, że po nowe do lochu posłać musiano.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



MK|M| 6295